



24

ZAGADKI.

66

WSPÓŁCZ.

Cz. 2 t. 1

<http://rcin.org.pl>

Egz. archiwalny IBL

ZAGADKI.

OBRAZY WSPÓŁCZESNE

PRZEZ

B. BOLESŁAWITĘ.

CZEŚĆ II. TOM I. (III).

02.11.14
INSTYTUT
BADAN LITERACKICH PAN
BIBLIOTEKA
00-330 Warszawa, ul. Nowy Świat 72
Tel. 26-68-83

POZNAŃ,

NAKLADEM I CZCIONKAMI LUDWIKA MERZBACHA.

1873.

~~1645. 9. 1. (XII. 2.)~~

1186/2


<http://rcin.org.pl>

Do pani X. X.

w W....

W jednym z ostatnich listów zarzucasz mi, pani, tendencyjność moich powieści. Z tego zarzutu trudno mi się tłumaczyć, z pewną dumą odpowiem — *Pec-cavi*. Tak, powieści moje są na nieszczęście tendencyjne, bo ja dotąd żyję wiekiem moim, krajem i każde drgnięcie przebiegające masy odbija się we mnie. Wy-stygłej téj krwi, któraby na wielki dramat patrzeć mogła nie poruszona, nie falując i nie wzdymając się to oburzeniem, to uniesieniem, to gniewem, to czcią — ja nie mam niestety! Jeśli to cnota, nie chwale się nią, jeśli wada, nie kryję jęj. Mówisz pani, że z tego powodu to, co najżywiej mogło obchodzić w chwili obecnej, jutro w proch pójdzie i zapomnienie. A! pani, ja nie jestem pono ani literatem, ani artystą, choć pi-szę wiele i kocham wszelakie piękno — ja jestem czło-wiekiem mojego wieku, dzieckiem narodu mego i gdy-bym miał nawet geniusz, starłbym go na proch, roz-szarpał na kawałki i podesłał pod nogi ludzkości, pod

stopy ojczyzny, aby się o kamień nie zraniły. Cóż mnie to obchodzi, że ja i te kartki jutro nie będą? Żyjemy z posłannictwem dnia dzisiejszego, pierwszy obowiązek dlań pracować. A! pani, nie tylko nie należę do tych artystów, co swój własny posąg dłutują życie całe, co wolą prawdę zgnieść w sobie, niż ją wypowiedzieć wówczas, gdy wypowiedzenie sławy na nich nie zleje i skroni im nie oblecze laurami — nie tylko nie należę do nich, ale się nimi brzydzę, ale się nad nimi jak nad dziećmi popsutemi lituję.

Bojować trzeba dla prawdy swojego sumienia orężem, jaki Bóg dał w dłonie, do zdechu... a nie spekulować talentem i stylem, aby laurami procentował. Niech mnie Bóg uchowa od takiego frymarku.

Równie nikczemném znajduję sprzedawać sumienie, jak dar i siłę Bożą... Więc mnie nie boli los przyszły, boli teraźniejszość, niech karty te lecą, służąc na zawijanie nabojów, jeżeli one zabić mają fałsze lub wyświecić prawdę. — Litujesz się pani nademną i losem pism! A! pani, jam nigdy o nim nie pomyślał nawet, pismo było i będzie dla mnie orężem; gdy znajdę lepszy, rzucę ten a wezmę inny. Przebacz pani gorące ale szczere słowa — chciałbym być tak rozumianym, jak ja się sam rozumiem.

Bądź co bądź.

B. Bolesławita.

Kto widział raz w życiu ów rozkoszny ogród śmierci, zowiący się neapolitańskim Campo Santo, ten nigdy go nie zapomni. Jak że tu miło spoczywać umarłym i wśród rozkwitłych róż a czarnych cyprysów, wśród kwiatów woni i szmerów strumienia, pod marmurowym wiekiem czekać przebudzenia. — Z téj wyżyny, zasadzonej drzewami, zastawionéj pomnikami i kapliczkami, nad którą wznosi się Kapucyński klasztor, widać lazurowe morze, i zatokę ubraną w białe mury i w mglistych barwach snu Castellamare, Sorrento, Capri, Ischia... i łódki rybackie z białymi żaglami jak plamki snujące się po szafirowym kraterze... W lewo stoi Wezuwiusz na straży z głową obwiniętą chmurą i duma...

W tym kraju, gdzie zima i słyty nie goszczą, a rzadki powiew wiatru przynosi chłód chyba na chwilę, zieloność trwa wiekuista i jedne po drugich tryskają pączki z wybujałych gałęzi... Campo Santo téż strojne jest zawsze w rozpeknięte róże i woniejące krzewy... Śmierć się tu jedną ciszą i milczeniem wy-

raza, nie przestraszają groby, podobne do wytwornych schronień dla szukających spokoju, anioł zmartwychwstania zdaje się już zstępować po nad sarkofagi, a z nich ulatują promienne duchy ku otwartym niebiosom... Jeszcze chwila a zabrzmie wielki hymn radości wiekuistego żywota...

Róże tymczasem chylą się ku mogiłom i szepczą im o słońcu i ślą wspomnienia ziemi i mówią o gościach... Smutek tego cmentarza cały jest ozłocony nadzieją... uśmiech jej przez splecione gałęzie przegląda... Żywy nawet, wszedłszy między umarłych, przestaje się tu lękać śmierci... jest to nieuchronna *via carnis*, wiodąca *ad templum serena*...

Nie jeden zboleły usiada na grobie i wzdycha do niego, by spocząć po walce daremnej, gdy sił i ochoty do życia nie stało — wielkiem jest szczęściem, a chodzić trupem wśród nowych pokoleń z twarzą, językiem i myślą innego wieku — straszną niedolą. Za grzechy życia czasem je Bóg przedłuża...

Szczęśliwi mrą młodo, z uśmiechem na wardze, z krasą na czole, ze złudzeniami w piersi i wiarą w duszy. Ale łachmana życia nie zrzuca się po dobrej woli, bo się nie wdziewa z ochotą, kładzie go boża prawica i zdjąć musi rozkaz boży... Wzdychać wolno do cmentarza, ale się położyć na nim nie godzi aż szczęśliwa godzina uderzy i zmęczony uczeń wybiegnie z zaduszonej szkoły na powietrze i słońce.

W téj szczęśliwój krainie nawet cmentarze się śmieją... i pogodnego dnia jesieni 1869 roku zachodzące słońce rzucało ciepłemi promieniami na kwitnące groby, w chwili gdy kilka osób czarno ubranych wiodło do skromnej mogiły, wykopanej świeżo u wierzchołka wzgórza, ubogą czarną trumnę przywiezioną z St. Lucia...

Ludzie, którzy jój towarzyszyli, widocznie szli za nią tylko jako miłosierne dusze, żadnym węzłem ściślejszym nie połączone z umarłym. Na twarzach ich był wyraz głębokiego, ale spokojnego smutku, jakby pociechy że rozbitek do brzegu dopłynął. Nie zostawiał on między temi, co go teraz przeprowadzali, téj nie zapełnionej niczém próżni jaką członek rodziny, lub stary współnik doli i uczuć niktą nagle i ubywając roztwartą rzuca po sobie. Żałowano go znać pocieszając się, że nareszcie dobił się spokoju. Nikt nie płakał oprócz jednéj kobiety ubogo ubranéj. Orszak téż żałobny składał się cały z biednych ludzi, wśród których dwie postacie się wyróżniały ubiorem i twarzami. Znać było na nich cudzoziemców, gdy reszta widocznie należała do autochtonów kampanii szczęśliwój, na twarzach noszących znamiona tyłu pomieszanych plemion, iż brzydota swą do żadnego nie należały. — Uderzać musi każdego ten starty typ neapolitańskiego ludu, jakby zwiędłego od upałów słonecznych, pokurzonego od skwaru — ta sprzeczność najpiękniejszego w świe-

cie kraju z najpoczwarniejszą i najnędzniejszą ludnością, w której kropla krwi heleńskiej wsiąkła nieodgadnięta... Na czele téż orszaku były dwie Ekscellencye, bo tu ten tytuł spotyka niemal każdego lepiej odzianego cudzoziemca...

Była to kobieta i mężczyzna...

Pierwsza pięknych niegdyś ale zwiędłych rysów twarzy, na których ból i szczęście głębokie wydeptały ślady, miała jeszcze postawę wspaniałą, ruchy żywe, ale w oczach jakby wypłakanych i zbladłych mieszkało zwątpienie nieuleczone... Patrzała niemi, niczemu się już nie dziwiąc, nic nie pragnąc, z wiedzą, że na dnie czary nie ma nic prócz trochy mętów brudnych... Szła tak zamyślona, rozmarzona, stęskniona, znudzona życiem, bezmyślna...

Obok niéj, wiodąc ją, postępował mężczyzna młodszy od niéj, surowego wyrazu oblicza, sztywny jakby niedawno rzucił ten mundur wojskowy, który na wieki w formę drewnianą ugniata człowieka, a smutny prawie jak ona. Wysokie obnażone czoło wypelzło od myśli czy troski, usta miał zsiniałe i zapadłe, a na policzkach miasto rumieńca chorobliwą żółtą powłokę. Większy w nim zapas życia — niewyczerpany, był jakby wielkim przywalony kamieniem... Znać dla obojga ich skończyła się pielgrzymka, pochód do mety doprowadził, stali u tych drzwi, za którymi rozpoczyna się żywot nowy. Postępując za tą trumienką, zadumani, każdy

w sobie, uciekli myślami gdzieś w inne strony... Czasem kobieta popatrzyła na płaczącą ubogą niewiastę i zdawała się jej łez zazdrościć. — Ta płakała z potrzeby jakiejś przyrodzonej, bez wielkiego téż żalu i rozpaczy. Po twarzy płynęły powoli łzy, które kiedy niekiedy ocierała, potrząsała głową i znowu się-jęj na nie zbierało. Może płakała nad śmiercią nie nad człowiekiem. Para starszych żebraczo wyglądających cór lazaronów wzdychały, płakać nie mogąc... Odarty mężczyzna, czarno zarosły, rzucał głową z włoską żywością, okazując, iż mu ten zgon téż był bolesny. Kapucyn w komży stał już nad otwartym grobem, z którego wyrzucona ziemia posypała się aż pod gęstych róż krzak, a gałęzie ich uciśnięte pozwieszały się jakby żaląc na uciemienie... Cicho odmawiał staruszek modlitwy... a chłopak, trzymający naczynie z wodą święconą, odpowiadał mu pół-głosem... przytomni przeżegnawszy się mruzcili modlitwy... Tymczasem gotowano sznury, trumna przysunęła się na brzeg dołu.. i podjęta zaczęła spuszczać w łono gościnnój ziemi... Grudki posypały się na wieko... Wszyscy uklękli... Ave Maria...

Kobieta, która płakała, rzuciła kilka garści ziemi, otarła łzy ostatnie i razem z innemi odsunęła się od grobu, poczynając już żywą rozmowę, której żywsze jeszcze ruchy towarzyszyły. Pokazywano sobie z boku stojących ciągle i jakby wrytych przy mogile dwoje tych obcych, których oczy pływały, zachwycone po uroczym

obrazie Neapolitańskiej okolicy. Odarty człek zbliżył się wedle obyczaju tutejszego wyciągając rękę po datek... Mężczyzna rzucił mu kilka granów... Na ostattek ubogi ludek poszeptawszy rozplynał się po Campo Santo. Przy téj sposobności każdy z przybyłych poszedł odwiedzić jakąś mogiłę, bo każdy tu miał kogoś z krewnych lub przyjaciół... Tylko tych dwoje państwa byli całkiem obcy...

— A! odezwała się po długim wpatrzeniu w lazurową dal kobieta głosem słabym — jakże tu pięknie! jak pięknie! jak się ztąd odchodzi niechce! Dla czego tak rozkoszne miejsce umarłym i pustelnikom oddano!...

— Biedny wygnaniec! szepnęła mężczyzna... dostało mu się zamiast mogiły w mazowieckim piasku... schronienie w puzolanie neapolitańskiej... pod krzakiem róż i cieniem akacyi!... ale w pustyni, bo tu nikt nie przyjdzie klęknąć u głów jego...

Któż wie? odpowiedziała kobieta... są może serca uczuciu wierne i nie wystygłe od mrozów naszego wieku, trzeba mu skromny choć kamień położyć, aby ci, co szukać będą, miejsce spoczynku znaleźli... Mężczyzna nie odpowiedział nic, oczy jego błędziły po cmentarzu i zatrzymały się na grobie..

— Cały osmutniałem od widoku śmierci tego człowieka, u którego łóżka ostatnie spędziłem godziny... a! losy nasze! losy — zawołał nie rychło mężczyzna.. Turecki fatalizm i żelazna a n a n k e starożytnych i he-

brajskie prawo niezblągane, narzucają się mimowolnie w takich chwilach. Ty tego tak jak ja nie możesz czuć, Maryo, rzekł mężczyzna, prowadząc ją ścieżkami dalej po Campo Santo. Nie mogę się obronić jeszcze wrażeniu jakie mi zgon tego biednego zostawił. Widziałś może twarz jego z okna kiedy, oglądałaś ją po śmierci taką wypogodzoną i uśmiechniętą anielsko, a co boleści! co boleści zstąpiło z nim w mogiłę!... Nigdy los mojego kraju nieszczęśliwego, mojego narodu skazanego, tak mi jak teraz uczuć się nie dał..

Wystaw sobie, Maryo, tego chłopaka... który umierając niewielą laty przeszedł dwadzieścia.. Wychował się w tym ogniu poświęceń, którym Polska gorzała cała tak długo, aż się wypalił pono do szczytu... Na sam odgłos że się biją, poleciał walczyć . Za ojczyznę! Nie spał, nie jadł, nie spoczął póki oreża w gorące dłonie nie pochwycił... A był poeta... więc w duszy jego, co na nią padło to się w diament obracało... Widział walkę heroiczną, wielką, świętą. . i w oczach jego zdeptane zostało wszystko, co czczył, zwyciężone, co kochał, obalone, do czego przyrósł duszą... Nakoniec dożył, że się kraj wyparł swych dzieci z brutalskim egoizmem ratując ostatki życia... Z licznej rodziny nie pomógł mu nikt, nie odezwał się, nie wyciągnął dłoni..

Dano mu czuć, że powinien był umrzeć. Nie udało się to na placu boju, ranny w piersi, młodością z ran

się wyleczył; ale trzeba było na chorém jeszcze po-
czyźnie sercu nosić nędzę i rozpacz tułaczą. — A był
poetą! był poetą!! Poszedł z poezją na wygnanie...
złocąc sobie je pieśnią i wiarą w ideały... Wiesz, zna-
lażłem go tu chorego, dogorywającego suchotnika,
w nędznej, wilgotnej izdebce mrącego z głodu, załza-
wionego z tęsknicy po kraju i piszącego poemata...
Wysłali go przyjaciele znać, aby na zgon niepatrzeć...
Przybył bez grosza z duszą pełną zachwyków vedi na
poli e puoi morir. Umierał i wierzył, że Polska i on
żyć będą, walczył ze śmiercią i zwątpieniem, w pośród
obcych mu językiem, myślami, obyczajem ludzi... Nie
miał mówić do kogo, pisał po całych dniach listy, na
które mu nikt nie odpowiadał. Cisza śmierci otaczała
go już za życia... Pół ze skargą, na pół z płaczem...
odzywał się do swoich, że kona, że z nędzy umiera, że
krwią płuć zaczyna, że gorączka go trawi... Siostry,
bracia... przyjaciele po długim wyczekiwaniu zbywali
go kilką słowami... Ale ostatkiem sił trzymając się
ludzi i nadziei, tłómaczył sobie tułacz słowa zimne, go-
rąco... brak współczucia... położeniem kraju... nieszczę-
ście swoje, winą własną... Płakał może wśród nocy
bezsennych, lecz gdym go w ostatnich dniach odwie-
dzał, odzywał, uśmiechał się, rozgrzewał... i wracała
mu młodość... Mówił o pracy... Codziennie biegł na
pocztę po listy z kraju i codziennie z niczém smutny po-
wracał... Opuścili go wszyscy swoi... Kiedy mi o nim

znać dano, już tylko ostatnie tchnienie przyszedłem ująć i uśmiech blady...

— Mój Boże — szepnęła kobieta... jaka szkoda talentu i człowieka...; a ileż się ich tak zmarnowało...

— Są takie lata i wieki, mówił mężczyzna, bezli-
tośne, żelazne, przekłete... nie szanujące nic. — Tak w Grecyi padały pod maczugą zdobywców arcydzieła Fidijasza, tak w Rzymie Hunny palili zwitki, na których wieki swą mądrość spisały, tak w Polsce z ludźmi obeszła się barbarzyńska wojna i dzieci wojny, żołnierze a wyrodki własne... Ludzkość jest jak słonie chowane, które dziczeją czasami a wówczas depczą kornaków i obalają pagody... W takich wiekach najnie-
szczęśliwsi są ludzie, co z innéj pozostali epoki, bo na żelazne lata potrzeba spiżowych bohaterów... a myśmy z mięsa i kości i serca biją nam w piersi...

Szli tak dróżyną w dół Campo Santo patrząc na morze...

— Boże mój, rzekła kobieta po cichu — to istny raj... a przecież serce się z niego wrywa... gdzieś w lody i śniegi północy... woła tam coś nieszczęsnego zbiega...

— Wyrwałś mi to z ust, a raczej z serca, Maryo, rzekł mężczyzna, we mnie także odżyła tęsknota po kraju, widokiem tego umierającego biednego wygnańca obudzona. Zdaje się, że konając zostawił mi puścizną po sobie żal za Polską...

— Tobie za Polską żal — odezwała się kobieta, a mnie uciska podwójny za Rosyą mój, za Polską twój, za temi dwiema rozżartemi siostrami...

— Z których jedna jest dziś katem, dodał mężczyzna...

— A jednak, nie zaprzeczysz tego Stasiu, odezwała się kobieta, że nawet mowa i twarz kata dziśby ci milszą była, niż śpiewny język Florentczyka?

Mężczyzna stanął zamyślony, jak gdyby sam badał siebie i wniknąć chciał we własną duszę...

— Tak, rzekł po chwili — miałbym to uczucie pewnie spotkawszy za granicą Rosyanina przed rokiem 1861... gdy pamięć 1831 została zatartą... Po 1864 dźwięk mowy rosyjskiej w uchu mi brzmi jak szczęk pałaszy i chrzęst karabinów co strzelały w piersi nasze... jak dzikie urągowisko...

Rok 1863 przepaść krwi pełną postawił pomiędzy nimi a nami...

— Ale niebyłoby, ozwała się kobieta nieśmiało, zadaniem wielkiem, godnym szlachetnego serca starać się katów opamiętać, a ofiarę ocalić?

Mężczyzna się uśmiechnął ironicznie.

— Przepraszam cię, Maryo, rzekł — daruj mi, trzeba prawdziwie kobiecego serca ażeby możliwość czegoś podobnego przypuścić.

— No — dodajże, grzeczny panie — ozwała się

kobieta, do kobiecego serca i głowę kobiecą. — Więc myślisz, że to niemożliwe...?

— Jestem o tém przekonany, rzekł pierwszy... a choć od 1864 kilka lat upłynęło, wiemy co się dzieje. Polska jęczy w gorszej niż kiedykolwiek niewoli... okryta kirem oplwanym... Znęcają się nad nią, aby jój trupa pogrzebać co prędzej, a przecie żyje nie-szczęśliwa...

Jedném westchnieniem podniosło się piersi dwoje... i było milczenie długie... Chodzili, patrząc po mogiłach i czytając napisy grobowe... Mrok coraz gęstszy padał na Campo Santo... Na wybrzeżu po nad zatoką zapalały się światełka jak gwiazdki na ziemię upadłe... od morza wiał wiatr przynoszący woń tę słoną i ostrą a rzeźwiącą, której pierś jest łakomą, na drzewach szemrały liście, a w kościółku kapucynów dzwonek wołał na wieczorną modlitwę.

— A! dzwonek ten na Anioł pański — zawołał mężczyzna, odkrywając głowę — dźwiękiem mi w serce uderzył... Pamiętam ten wieczorny głos smętny dzwonka za umarłych... Za moich młodych lat... słuchając go, klękaliśmy wszyscy, aby się pomodlić za drogie dusze.. Ale inaczej on dźwięczał tam na polach i nizinach naszych... głos jego był słodszy, rzewniejszy...

Tempi passati! westchnęła kobieta...

Wszystko, wszystko ulega temu okrutnemu prawu zniszczenia...

— Mój drogi, przerwała kobieta, na żywym świecie karmimy się śmiercią, żyjemy trupami, w świecie ducha téż to, co ginie, podściela się pod nogi przyszłości.

— A jednak !!

— Tylko jedne łyzy nasze marnie wsiąkają bezsilne... Z tych się już nic nie urodzi, dodała kobieta. Trochę męztwa i ochoty do życia! na Boga...

— Ale, dajże mu cel, myśl! pracę — przerwał, ręce zakładając mężczyzna. Żyć, aby tylko żyć, aby czuć, że się na nic nie zdało... że nie ma się co począć... że jutro będzie tak blade jak było dzisiaj... a! tak żyć — nie warto.

— A dla szczęścia drugich?

— Mogą być oni szczęśliwi, patrząc na to wiekuiste konanie...

Dziś, bo cię, kochany Stasiu, ta czarna trumienka wyгнаńca tak rozżaliła okrutnie... a otóż śliczny ten cmentarz wesoły... chodźmy z niego... na St. Lucia. posłyszysz choć ludzkie głosy, a w Villa Reale zobaczymy ludzkie twarze...

I ujawszy go pod rękę, zaczęła żywo prowadzić ku bramie Campo Santo, gdzie na nich czekały konie..

Przeźren dzieląca cmentarz jest znaczna, ale zbliżając się ku miastu coraz bardziej ożywiona i ruchawa. Lud téż ten neapolitański przy swych łachmanach i brzydocie odróżnia się od innych włoskich niepomiernie

nym życia pośpiechem i wrzawą. Tu nic się nie odbywa po cichu i smutnie, żadne intermezzo nie dzieli tragedyi od farsy życia... śmiech konwulsyjny tyka się z rykiem rozpaczy... Często od siebie rozpoznać ich trudno... Tam, gdzie jednego ni drugiego nie ma.. panuje sparaliżowana martwota... znieoależniałych niedobitków. Mowa staje się tu krzykiem, śpiew wyciem, pieśń zawodzeniem, nabożeństwo extazą, miłość szalem... Miasto albo milczy trupio lub wre kipiátkiem... spieszy się, leci, rwie.. pędzi... Szczególniej wieczory dni świątecznych, gdy co chwila strzelają mózdzierze, pękają lampy i biją się ludzie, a tłum falami płynie i odpływa, ryhocząc śmiechami od których dreszcze przebiegają spokojnych północy dzieci. Takim był Neapol dnia tego, gdy wjechali na Toledo, od którego w lewo idąca uliczka prowadziła właśnie ku kościołowi odpustowemu... Tłumy lały się ku oświeconemu obrazowi patronki dnia tego... Madonny w sukni atlasowej ze srebrnym mieczem w łonie... Odpust był dla nich widowiskiem równie dobrém jak San Carlino, a kaznodzieja grał też samą rolę, co ulubiony Anastazio; łajał ich 'jak on i jak on czasem ich śmieszył. Tymczasem młode chłopaki strzelały pod nogi przechodniom, a każdy wystrzał długim się śmiechem rozlegał.

Mijali właśnie tę odpustową uliczkę, gdy mężczyzna z westchnieniem i wejrzeniem pogardliwém rzekł do kobiety... — Patrz! na ten lud zdzieciniały długą

niewolą... bawiący się i szalejący jak żaki... nie żalże ci go? nie litoście patrząc na to porywa?

— Litość, żal? odparła kobieta — ja nie wiem, jeśli zawsze ma być lud ludem, czyż nie lepsza dlań taka zabawka dziecinna niż rozdziczałe namiętności polityczne i szarpanie się po ulicach dla nieznanych bohaterów i niepojętych myśli?

Mężczyzna zamilkł.

Wrzawa panująca na Toledo już ku Santa Lucia inny przybierała charakter, odpust tam nie sięgał, tu było królestwo Lazzaronów, a noc pogodna rozbudzała ich właśnie ze snu na łodzi, do pracy, do rybołówstwa... Jak czarne cienie włóczyli się z wiosłami w ręku nawołując rybacy.. Morze wygładzone marszczyło się tylko z lekka u brzegów i każda jego fala przybijająca fosforyczną frędzelką iskrzyła się obumierając na piasku... W dali jak czarny sarkofag z jedném czerwonym polyfemowém okiem stał Castel del'ovo, tajemniczy grobowiec, na skale wśród morza... zawsze zamknięty, wiecznie milczący lub niewidzialnemi działami zwiastujący gniewy i radości swoje...

Tu w gospodzie Crocelle wprost naprzeciw Capodimontę, u wrót Villa Reale, mieszkali ci, których gonimy wracających ze cmentarza. Czytelnik poznał w nich może lub się domyślił jenerała naszego i jenerałowej Maryi P'awłownej. Kilka lat w obojgu tych ludziach wiele zmian sprowadziło...

Są lata, które płyną bez śladu, są godziny, co się piętnują gorącym żelazem. Takiemi były dla tych dwojga ludzi przebyte po burzach i dramatach polskiego powstania 1863 r. — miesiące, tygodnie, godziny spoczynku i rozmyślań nad brzegami siniego włoskiego morza. Marya wozila schorzałego, współumarłego swego męża, szukając dlań ciszy... powietrza, coby odżywiło, widoków, któreby z duszy wywołały choć uśmiech zapomnienia. Jenerał ciągle jeszcze pamiętał, że umrzeć nie umiał, że uląkł się śmierci i nie dosięgnął bohaterstwa, którego czuł piękność a postradał doń zdolność. Uważał się za znikczemiałego i spodłonego odstępstwem.. za zdrajcę, chociaż nim nie był... Najdziwniejszych uczuć sprawą on, co z Polską powstańczą pojednać się nie umiał i zgodzić, teraz Polskę całą kochał znów miłością wielką i płakał gorzko nad jój losami. Stała mu w oczach męczennica ze skutemi dłońmi, ze strugami łez krwawych, obluzgana błotem potwarzy...

Marya szukała wnijścia do téj duszy zapieczęto-wanej straszliwym bólem i znaleźć go nie mogła. Sądziła, że się ono otworzy na widok natury czarownej, pod wrażeniem arcydzieł sztuki, od dźwięku pieśni, od tęczyowych promieni obrazów... od tego wesela napa-stliwego, któremi brzmiały Włochy nawet okute...

Pojechali do Włoch... mieszkali znowu w téj Genui, gdzie ich raz Arsen Prokopowicz wyszpiegował...

ale generał pustą, znajdował Genova la superba... Z Genui popłynęli do Neapolu... Neapol był nudny... Wezuwiusz jak zły aktor nawet na wybuch się nie zdo- był... Pompeja nie umiała zająć znudzonego generała... Siedli więc wśród kasztanowych lasów Castellamare... i tu w tej pustelni byłoby im cicho a dobrze, i pię- knie a rajsko... gdyby napływ Anglików nie spowsze- dnił tego raj, a spekulacya nie czyniła go nieznoś- nym. Trzeba było płacić za cień, za koloryt krajobrazu, za ścieżkę, po której się chodziło i powietrze, którym się oddychało.

Więcej rozmaitości a razem ciszy znaleźli w Sor- rento. Na chwilę Marya sądziła, iż tu nareszcie dusza się smętna otworzy. Z tych przepaścistych brzegów okrytych laskami pomarańczowemi widoki były tak cu- dne... tak miłe przejażdżki po tych grotach nadbrze- żnych, które fale wybiły w opokach... Kilka godzin tylko dzieliło od dzikiego Capri i lazuruwej schowanki Tyberyusza.... Stanisław na kilka dni o przeszłości za- pominać się zdawał... Ten krajobraz tak do dekoracyi opery podobny, tak nieprawdopodobnie piękny i wspa- niały, zmęczył go swym blaskiem... Na Capri przeżyli miesiąc, w Sorrento parę i powrócili do Neapolu i po- płynęli do Palermo, aby skosztować Wschodu... Potém znów do Parthenopy... z której długie wycieczki jaką taką przynosiły rozrywkę. Jenerałowa Marya bliską już była nabycia małej willi w Sorrento... Tu można było

zestarzeć zapomnianym, niewidzianym umrzeć i zostać ukrytym na wieki.

Lecz gdy się odrobina życia rozbudziła w nich obojgu i generał począł wychodzić z tego marazmu, jaki go męczył lat parę, — razem z władzami innemi odżyła pamięć nieubłagana i nieuleczona tęsknota... Wśród ciszy wieczora, gdy tylko mruk fali zdala roztrącającej się o skały i szelest laurów rozkwitłych dochodził uszów, a na ciemnym tle niebios latały złociste muszki... w oczach wygnańców zjawiały się blade przeszłości obrazy... Fala Sorrentyńska śpiewała... mazurka Dąbrowskiego i Boże coś Polskę... na czarnych nocy kortynach widniały obrazy męczeństw sroższych niż w San Stefano Rotondo....

Jęk z dali od ziemi ucisku przylatywał aż tutaj i do serca się cisnął... Załzawione oczy stariej macierzy patrzyły na Stasia... a śmiech szyderycy znowu szeptał mu — Tyś ojczyznę zdradził... Tyś matkę porzucił. Troskliwa o męża, bo żyła w nim tylko i dla niego, bo dlań się prawie Polką stać umiała, Marya myślała co z nim pocnie i dla niego. Sucha ta gałąź musiała odkwitnąć jeszcze.

Z troskliwością, niewieścią, badała go i przemyśliwała nad nim... a że radzić się nie miała kogo, radziła serca. Ona w tych gajach pomarańczowych tęskniła ku północy... i on też tam ciążyć musiał... Kraj pod panowaniem Rosyi był im zamknięty... ależ to nie

była Polska cała; Marya myślała, iż w okrawkach tych starój rzeczypospolitėj, które się Austrii i Prusom dostały, znajdzie toż samo, co w rosyjskim zaborze... rodziną ziemię, język, obyczaj, wiarę, ziomek z otwartymi dłońmi i sercami... pomoc i pociechę... Nie śmiała się jeszcze odezwać z tą myślą... ale nosiła ją w sobie. To był ostatni ratunek. Jak Anteusz, dotykając ziemi swój, tak półumarły Staś mógł na nowo odzyskać siły...

Z Sorrento przyjechawszy do Neapolu, generał dowiedział się tu o umierającym biednym młodym Polaku... któremu z krwią i poezją ostatni oddech ulatywał. Istnym przypadkiem poznał go generał.

Przebiegając bez myśli okolice, po raz drugi czy trzeci zwiedzał na Pauzylippie ów grób Virgilego, na którym wysechł laur niegdyś kwitnący. Tu na ścianie zdziwiony spostrzegł świeżo wydrapany nożem czterowiersz polski, smutny, rzewny, rozpaczliwy, który mu serce przejął do głębi. Przeprowadzający go i czczący nieustannie... Cellenza, Lazzaron wskazał pełnym tajemnic gestem na wchodzącego właśnie wschódkami bladego, ubogo ubranego chłopaka, który zmęczony zakaszłał się, stał oparty o skałę i usiłował konwulsyjne owo rozkaszlanie ukoić... Dobył na pół spalone cygareto i drżącymi rękami tarł gasnące zapalniczki, aby dymem cygara na chwilę rozdrażnienie piersi uśmierzyć. Pierwszy raz od czasu jak kraj opuścił generał, który zwykle

posłyszawszy mowę polską uciekał, zbliżył się żywo do nieznajomego i sam go pierwszy przywitał, podając mu zapalone cygaro. Blady chłopak spojrzał zdziwiony, kaszel się na chwilę uspokoił, wziął białą, drżącą ręką cygaro i uśmiech mu się rozbiegł po ustach. Nieśmiało, trwożnie patrzył na generała, zdawało mu się, że dźwięk téj mowy kochanej rajskiem go upoił weselem... że czekał, aby ją jeszcze i jeszcze posłyszeć...

Młodzieniec był wychudły, ale tak piękny, jak jaki anioł Fra Beato, choroba wypila zeń krew, przezroczy-stą uczyniła cerę, zapaliła oczy ogniem, po twarzy rozsiała budzące współczucie piętna tęsknoty i niedoli. — Długie jasne włosy spadające na ramiona okalały owal przedłużony, wśród którego świeciły dwie źrenice łzawe i usta zbielałe...

— A! panie! zawołał nieznajomy, ściskając rękę generała — cóż to za szczęście posłyszeć mowę tę naszą... jak ona brzmi a — nietylko całą, przesz ością... a! mów pan... bo to Bóg go zesał, abym z tęsknoty nie oszalał...

— To téż łzami i tęsknicą wryłeś pan ten śliczny wiersz... który was zdradził, a mnie dał zręczność poznania was... Cóż wam powiem? chyba to, że i ja... tęsknię jak wy!

— A! panie — dwie tęsknoty... ozwał się weselój poeta — są jak dwie negacye... znoszą się... Z dwóch

tęsknot można czasem jedno szczęście, choć chwilowe, zbudować...

Tak rozmawiając, zeszli z Virgiliuszowego grobu na Mergellinę... a pozbywszy się natręta, który dopominał się o botiglis za otworenie podróznym tój skarbnicy pamiątek.. zawrócili po chwili razem pod cienie Villa Reale... i brzegiem morza pociągnęli ku miastu. Jenerał dowiedział się z kilku słów o losach biednego poety, którego wypchnięto tu skonać... aby na konającego nie patrzeć. Opromienił mu Neapol swym wdziękiem ostatnie godziny. Ta przechadzka wszakże do grobu Virgilego była już ostatnia, a potóm z biednej stancyjki wyjść nie mógł. Jenerał ulitowawszy się nad nim, odwiedzał go, przesiadywał z nim, ale postrzegłszy, że się dlań chory do wesolości zmusza, że się sili na mówienie, ostrożniejszym był potóm... aby mu już nieuchronnego nieprzypieszyć zgonu.

Poeta zmarł, gorączkowo na papier rzucając myśli ostatnie, czekając na listy, pożerając zimne książki, które odbierał... Zgon jego głęboko zasmucił jenerała, a razem odżywił w nim pamięć kraju, o którym ciągle z sobą mówili. Chociaż nie dał mu się poznać Zbyski, przyznał się, iż był w powstaniu ostatniem.. Chłopak się też niezapierał tego i z chlubą pokazywał blizny ran, przez które śmierć mu weszła do piersi. Jednego wieczora tęskną pieśń wyśpiewawszy na pożegnanie ze światem... w nocy umarł poeta... i za jego to trumną ubogą

szedł pan Stanisław na Campo Santo, bo mu tam wśród róż i cyprysów kupił na spoczynek parę łokci obcej ziemi...

Od tego zgonu, od pogrzebu myśl o Polsce ciągle wracała.. Już noc przezroczyista oblokła cały krajobraz ów w nowe go ubierając wdzięki, gdy generał wyszedł z żoną na balkon, aby odetchnąć jej orzeźwiający chłodem.. W lewo palił się Wezuwiusz... na prawo świeciły fale morza... na niebie podnosił się księżyc... a o mur przy Castelu oparty odarty śpiewak, brząkając na gitarze, postrzegłszy ludzi dwoje przed sobą, począł głosem czystym i wprawnym śpiewać im znaną

La bella Sorrentina...

Jenerałowa rzuciła mu zawinięty w papier pieniążek... Usiedli — w obec takiej cudnej neapolitańskiej nocy... usta najszczebiotliwsze niemieją... chce się tylko płakać że na tym świecie Bożym, który jest największą ze wszystkich zagadek — za chwilę ciszy i szczęścia tylą trzeba płacić mękami... Ta uroczna noc przypomniała ową Pliniuszową, straszliwą i groźną.. ten spokój i szczęście Włoch wolnych niedolę Polski przypomniały.

— Nie — zawołał generał — nagle — im dłużej się żyje, tém mniej się cel żywota rozumie... Albo on po nad nami lub go nie ma...

— Proszę cię, jeśli my cel życia pojmujemy, możeż on nie istnieć? wzniosłżeby się słaby umysł ludzki do idei, któraby człowieka przerosła? to być nie może...

— Prawda! a jednak...

— A jednak życie musi zostać zagadką... której słowo ostatnie dopiero śmierć przynosi...

Jenerał spojrział ku Campo Santo, którego ztąd całe nie było widać, i dodał — Ten już tam jest, gdzie nie ma wątpliwości... biedny chłopak! a! serca ludzi, a! rodzinne węzły! wiara w miłość... w litość wiara... on nawet nie przeklinał, on nie zwątpił do końca... a opuścili go wszyscy!!...

— Prócz Boga, rzekła jenerałowa, Bóg przecież cudownie zesłał ciebie, abyś mu przyniósł pociechę, aby było go komu opłakać i pochować...

— Tak dawniej nie było — zawołał zaszepcony jenerał — wyjątkowo ludzie się zapierali obowiązków, trafiali się bezduszni... straszliwi bezlitośni, ale tak dawniej nie było... aby kraj wyrzekł się dzieci, rodziny, swych synów, bracia braci... matki... żony... dzieci i mężów. Teraz spotykamy co chwila tych nieszczęśliwych zaprzańców, za chwilę patryotycznego zapалу skazanych na banicyą wieczną. Carskie wyroki skazują w kopalnie i Sybir, ale się z kopalni i Sybiru powraca czasem, a tułacze biedni, z którymi my się krzyżujem po drodze, gdyby wrócili do domu... znaleźliby... miejsca w sercach i u ognisk zajęte... i obojętność wypchnęłaby ich nazad... w świat na śmierć głodną — to okropne!

— Ale któryż kraj — przerwała jenerałowa — nie skosztował téj doli wygnańczej, przypomnij włoskich

tułaczy... pomyśl o niemieckich schronionych do Ameryki...? a nasi ruscy...

Tu przerwała nagle i nie domówiła. Jenerał nie dosłyszawszy może ostatniój wzmianki, rzekł.

— Jest wielka różnica — z wygnańcami włoskim; szły sympatye narodu, z niemieckimi szła miłość cicha, z naszymi idzie niemal pogarda... wstręt... zaparcie. Wiesz, żem był powstaniu przeciwny, ale oburza ta bezlitość i bezduszość, ta przewrotność współników winy, co za siebie drugim pokutę ponosić każą...

— Proszę cię nie mówmy o tém — łagodnie przerwała żona — ile razy wpadniemy na ten temat, ty się zburzysz i zasmucisz... nie myślmy... nie przypominajmy... zapomnijmy...

— Tak zapomnijmy... o wszystkiém... a! gdyby można zapomnieć!!

Są szczęścia, których prawie od najsroższych bólów niepodobna odróżnić. Do tego rodzaju należało jenerałowej Maryi pożycie z człowiekiem, który na dnie duszy nosił nieuleczoną zgryzotę, rodzącą, niczém nieukojone niepokoje. Niegdyś losu pieszczocha, kobieta, przed którą wszystkie świata klękały potęgi, stała się dobrowolną siostrą miłosierdzia przy tym chorym, na wieczną skazanym niedolę. Jenerał nie miał, bo nie chciał mieć woli własnej, dawał się wozić, rozrywać, karmić wrażeniami, jak istota pozbawiona władzy ducha...

Nie był przykrym dla żony, owszém okazywał jój wdzięczność, czułość, poszanowanie, ale szczęśliwym nie był. W każdym jego słowie odbijało się cierpienie płynące ze źródła, którego Marya Pawłowna osiągnąć nie mogła... Sączyło się ono z tych głębin i przepaści, które tylko duch Boży nawiedza... Były chwile, gdy generał jakby odrętwiały okazywał się spokojnym, uśmiechniętym, ożywieńszym nawet, ale najmniejsze, niepostrzeżone tchnienie jakieś z zewnętrznego świata... przywracało stan pierwotny, normalny, chorobliwy.

Marya kochała go tak namiętnie, iż nawet z tém brzemieniem był jój miłym. A czegożby nie poświęciła, aby uleczyć i orzeźwić!

Wiele w początkach rachowała na czas. Przyniósł on ulgę jakąś, ale działanie jego, doszedłszy pewnego kresu, zatrzymało się i przestało być widoczném... Od r. 1865 do 1869 generał pozostał jednym. Dopiero u łoża biednego wygnańca odświeżone kraju wspomnienie wywołało zmianę — ale na gorsze. Odżyły żale, niepokoje, zgryzoty...

W rozmowach z żoną odzywały się znowu.. dziwne pragnienia jakieś, tęsknota za krajem zdwoiła.

Z dawnych stósunków petersburgskich pozostały generałowej znajomości, przyjaźnie, węzły, które w jój przekonaniu rozerwać się nie były powinny. Rachowała na niektórych ludzi... O powrocie do Rosyi marzyć nie było podobna, z dzienników rosyjskich przeko-

nywali się oboje, że tu tak zwana *raison d'état* zapanowała nad wszystkiém, głuszając uczucie sprawiedliwości, miłosierdzia... nawet zdrowszą rachubę polityczną.

Rosya od r. 1864 weszła, jeśli nie na zupełnie nową drogę życia, to przynajmniej wezwała nowe siły, użyła środków, dotąd za niebezpieczne uważanych, dla sparaliżowania żywiołów, które jój groziły wywrotem.

Niewiadomo komu należy przyznać pierwszy pomysł zużytkowania trucizny na lekarstwo. Zdaje się, że dawniej przez nas wspomniane słowo w. ks. Konstantego, najtęższej głowy z carskiej rodziny, było hasłem nowego toru w postępowaniu z polityką wewnętrzną. On to powiedzieć miał, iż rewolucya powinna iść z góry, aby sparaliżowała tę, która groziła od dołu. Od roku 1863 datuje poślubienie przez rząd idei rewolucyjnych w ten sposób, by ich zewnętrzny blask zaspokajał tych, którym dość jest pozorów... a wewnętrzny virus umiejętnie został oddzielony. Próba ta, wielce niebezpieczna, nie zupełnie szczęśliwie dokonana została, ale przecież wydała ona już dla rządu owoce, nim je zrodzi dla sił i celów innych. Naród, ogół, opinia, dziennikarstwo, patriotyzm bezwzględny zawezwane zostały do współdziałania z rządem razem. Rząd pochłonał zaraz w ten sposób pewną część żywiołów radych, że mogą liberalnie paplać a despotycznie działać, zmuszonym jednak

został czuwać nad rozwojem opinii i nad czynnościami patryotów często za gorących.

Bądź co bądź, Rosya znalazła sobie derywacyą, która chwilowo odciągnęła chorobę. Była to wezykatorya postawiona umiejętnie.

Na nieszczęście, gdy w organizmie jest chorobliwy jad, krążący we krwi, gotów się on i pod niewinną odezwać wezykatoryą. Tak i tu się stało po troszę. Wiele sił, pragnień, patryotyzmów różnego rodzaju do-
 było się z ukrycia, któremi trzeba było kierować, kiel-
 znać, głaskać, aby wozu państwowego na przepaście nie
 poniosły...

Każdy z wielkich działaczy, ofiarujących się dla
 idei państwowej, zawarowywał sobie swobodę w wybo-
 rze środków i samowolę zupełną. Patryotyzm ów nowy,
 specyficznie ruski, namiętny zrywał z przeszłością, ze
 stósunkami, z tradycjami i bohaterko szedł, siekąc na
 prawo i lewo... Podbijanie i eksterminacja żywiołu
 polskiego, russyfikacya... stały się hasłem chwili...

Jenerał więc, gdyby się liczył za żywego, jużby nie
 mógł się w Rosyi ani pomieścić, ani w niej wyżyć —
 jenerałowa nadto należała do lepszej nieco przeszłości,
 by się z tym stanem pogodzić mogła.

Widząc wszakże tęsknotę męża, czując ją sama,
 zaczęła marzyć jeśli nie o powrocie, to o zbliżeniu się
 do kraju, o osiedleniu w inną jego część. Całkiem
 fałszywe pojęcia o prowincjach polsko-pruskich i pol-

sko-austryackich służyły za podstawę. Przed mężem jednak wahała się jeszcze z objawieniem swęj myśli, chciała wprzód stronę jęj. praktyczną obmyśleć. Przypadek, który jenerałowi nastreczył spotkanie z umierającym poetą, zbliżył Maryą Pawłównę do dawno znanej w Petersburgu i Moskwie rodziny.

Jedyną rozrywką dla obojga państwa były ciągle po muzeach pielgrzymki. Raz, gdy w dawném Museo Borbonico oglądali ową sławną kameę, jedyną w swym rodzaju, jenerałowa usłyszała za sobą rozmowę rosyjską, odwróciła się mimowolnie i spostrzegła za sobą stojącego siwego mężczyznę z młodziuchną panienką... Ten ujrzawszy twarz jęj, cofnął się aż zdziwiony, potem poskoczył krok naprzód i nie zastanowiwszy się zawołał — Marya Pawłowna! Jenerałowa zarumieniona, bo nie chciała, by widział Stanisława, żywo zakryła go sobą i z uśmiechem a dobrze odegraném, zresztą w części rzeczywistém zdziwieniem odpowiedziała — Aleksander Nikitycz!!

Na pierwszy rzut oka w starcu tym znać było potomka staręj rodziny arystokratycznęj, któręj krew azyatycka na typ europejski się ukształtowała. Aleksander Nikitycz miał rysy szlachetne, którym: wiek delikatności i wdzięku nie odjął... ale piękność ta mężka zarazem marmurowo była zimną. Znać było z twarzy, że człowiek ten nauczył się śmiać, płakać, gniewać, radować, nie czując wesela, smutku ni rozdrażnienia... No-

sił maskę posłuszną na twarzy, której zwyczajnym wyrazem była łagodna obojętność, ale z téj neutral tint przechodzić mu było łatwo we wszystkie tęczy kolory. Aleksander Nikitycz, gdyby coś w nim nie zdradzało Rosyanina, najpodobniejszymby był może do francuskiego wielkiego pana... Był téż Rosyaninem z koniecznej potrzeby, a dla własnej satysfakcyi Francuzem, szczególniej za granicą. Język, obyczaj, pojęcia, gusta miał paryskie, żył od czasu jak wyszedł ze służby, tylko w Paryżu i za granicą.

Aleksander Nikitycz, hrabia Isakow, należał do jednej z tych rodzin, które niezblągany historyk szlachty rosyjskiej, książę Dołhoruki, liczy do najstarszych. Wprawdzie papiery Isakowów poszły na ogień z innemi za Iwana Groźnego, ale znaczenie rodziny na tém nieucierpiało. Utrzymała się ona na wysokich stanowiskach u dworu i w wojsku, a gdy przyszły owe czasy Elźbiet i Katarzyn, owe niewieście rządy, co tyle ofiar pochłoneły, Isakowowie stracili téż kilku ze swoich na wygnaniu, na rusztowaniu, ale z mniejszych gałęzi odrosli. Ogromne dobra, których część stanowiły kopalnie w Uralu... konfiskowane były, zwracane, pomnożyły się nadaniami nowemi i ostatecznie familia była jeszcze jedną z najbogatszych w Rosyi. — Przez małżeństwa łączyła się z najpierwszemi rodami w cesarstwie, z Woroncowymi, Dołhorukimi, Strogonowymi i t. p. Za cesarza Mikołaja Aleksander Nikitycz nie był w wielkich łaskach, bo

Mikołaj tylko wojskowych stupajków miłował, wszakże zajmował wysokie synekury i z senatorstwem honorowym wyszedł na spoczynek.

Jak twarz, tak charakter Aleksandra Nikitycza był nierozwiązaną zagadką. Zdaje się, że najtroskliwszém staraniem całego życia jego było nie dać się zbadać nikomu, a w stósunkach codziennych zasłaniać jak najba-
czniej zachowywanemi formami. — Zdania jego były zawsze najogłędniejszém odbiciem faktów samych, o których mówił, lub cudzych przekonań...

Co on czuł i myślał, tego nikt nie odkrył, wszakże Aleksander Nikitycz wyrażał się zawsze w sensie urzędowej większości, strzegł się nawet cienia opozycyi, nie poddawał krytyce wypadków... Nie poruszały go téż one wielce, raczój rozrywały przyjemnie. Opowiadał o powieszeniu lub rozstrzelaniu, o rzeziach na Kaukazie, jak o teatrze i paradzie. Schwycić go nieprzygotowanym, dobyć z niego słowo serdeczne, było niepodobna... Budził się już z uśmiechem szatana i z nim zasypiał. — Zdaje się, iż musiał mieć to przekonanie, że wielkiemu panu i dygnitarzowi nie przystały ludzkie słabości i afekta. Całe téż życie wedle tego planu było urządzone. Ożenił się za wolą rodziców i N. Pana, żył z żoną bardzo przykładnie, nie widząc, czego nie powinien się być domyślać... pochował żonę i opłakał wedle prawideł w świecie przyjętych, syna ożenił jak wypadało, wnuczkę po nim pozostałą, bo pułkownik Isakow zabity zo-

stał na Kaukazie, wychowywał starannie i kochał jak dziadowie wnuki kochać powinni....

Anna Aleksandrowna, stojąca właśnie przy nim, wysmukłej postaci, śliczna blondynka z niebieskimi oczyma, pomimo świeżości i wdzięku młodości, nie miała arystokratycznych rysów dziada. Była to piękność nieco pospolita, wieśniacza, biała, różowa, bujno rosnąca, miłego oblicza i wyrazu twarzy... ale jeszcze jakby ze snu dziecinnego nie przebudzona. Mimo lat swych siedemnastu było to dziecię wesołe i szczęśliwe, wpatrujące się oczyma zdziwionemi w tego kościanego, zimnego dziadka.

Aleksandra Nikitycza nie widziała generałowa od bardzo dawna, znikł był jój z oczu przed rokiem 1861, wyjechawszy za granicę, nie wiedziała nawet, czy zna życie jój, losy i przebyte koleje. Grzeczne bardzo przywitanie dowodziło w każdym razie, iż hrabia nie wahał się znajomości odnowić; a znając go Marya Pawłowna była aż nadto pewna, że niedyskrytnego pytania ani słowa obawiać się nie może. Była przez chwilę w niepewności, czy ma męża mu przedstawić, gdy usłyszała, że generał żywo i o cichu się oddalił w głąb muzeum, dając jój do zrozumienia, iż znajomości robić sobie nie życzy. Marya Pawłowna pozostała więc sama z senatorem i jego wnuczką, zakłopotana nieco ale rada, że rodzinną mowę usłyszała, że zobaczyła kogoś z dawnych znajomych. I ona tęskniła za krajem...

Senator odezwał się po rosyjsku.

— Cóż to za miła dla nas niespodzianka spotkać was tu, Maryo Pawłowno... na drugim końcu świata! Niewiem czy znacie wnuczkę moją?... Annę Aleksandrównę... Anuszka... ta pani to nasza dobra dawna znajoma i przyjaciółka rodziny...

Anuszka uśmiechnęła się białymi ząbkami, podała rączkę, poprawiła włosów i niemając czém lepszym przyjąć przyjaciółki dziada, błysnęła jój wesołością swoją.

— Dawno jesteście za granicą? spytała generałowa.

— A! Maryo Pawłowno! ja ciągle dla mojego zdrowia włączyć się muszę... Lord Brougham miał słuszość wielką: im bardziej człowiek starzeje, tém dla zachowania się przy zdrowiu, dalej powinien uciekać na południe...

— Widać, że prawo to musi być skuteczném, bo doskonale wyglądacie...

— A! Maryo Pawłowno! postarzałem straszliwie, rzekł z uśmiechem łagodnym stary... Wy to wyglądacie ślicznie.

— Ja! rozśmiała się generałowa — ja! o mój Boże! tego mi już nie mówcie... cierpiałam wiele... a cierpieć nie umiem cierpliwie... jestem starą babą... ale tém lepiej — dodała — przedź się to już wszystko skończy!

— O! nie mówcie tego, Maryo Pawłowno. to się nie godzi — zaprzeczył stary, uśmiechając się ciągle — człowiek. 'gdy dla siebie żyć przestaje. niepowinien trać ciekawości przynajmniej. Uciecha to niepospolita patrzeć na grę dobrych artystów...

— Tak, gdyby komedya czy farsa życia była cokolwiek więcéj urozmaiconą, rzekła jenerałowa, ale jak w teatrze tak i tu, od razu piąty akt przewidzieć można.

— Ale gra artystów?...

— A! najczęściej tak niezgrabna i pospolita...

— Ja tego nie znajduję, mnie życie bawi rzekł stary...

— Jesteście szczęśliwi...

— Cóż dziwnego, mając Anuszkę taką, musi być człowiek szczęśliwy.

Anuszka znowu się, całując w ramię dziadka z ruchem pieszczonego dziecięcia, rozśmiała się do niego i spojrziała na jenerałową.

— Od dawna jesteście w Neapolu? spytał Senator...

— My? ja? poprawiła się Marya — a dosyć już dawno... próbowałam Sorrento, Castellamare... Capri... a teraz już wszystko zużyte... A wy?

— Myśmy nie dawno jeszcze i bawimy się doskonale... My, to jest Anuszka... bo ja, jam tu już da bywał i spił pierwsze wrażenia, którym nigdy powtórac

niedorównają. Dla Anny ma to jeszcze urok nowości. Byliśmy już w Herkulanum i Pompei, nosili nas na Wezuwiusz... Mamy medaliony z lawy, kupiliśmy mnóstwo koralu... Teraz kolej na Psią grootę, Puzzoli, Baję, Kumy... Castellamare, Sorrento i Capri...

— Tak... musi się to Annie cudnie wydawać po naszej twerskiej gubernii i Nowogorodzie... a jednak, ja stara... czasem pod laurami tutejszemi tęsknię do zimy moskiewskiej...

— Nie łatwiejszego jak do niej powrócić z tą pewnością, że się ją zawsze znajdzie w Rosyi kochanej przez dziesięć miesięcy roku, dodał stary...

-- Nie łatwiejszego! wyrwało się generałowej prawie mimowoli — a! jak komu!

Na te słowa Aleksander Nikitycz spojrział dziwnie, jakby przestraszony na generałową, ale nie śmiał ję pytać o tłumaczenie. Ostygł nawet jakoś nagle i zakłopotał, chociaż mu się to wielce nieprawdopodobnym wydało by generałowa nie mogła powrócić, gdy zechce. Z wyrazu twarzy i zdziwienia jego Marya Pawłowna nauczyła się tylko, iż Senator o losach ięj nie wiedział wcale. Zmieniła więc żywo przedmiot rozmowy...

— Macie, spytała, dzienniki rosyjskie i często zapewne listy?

— A jakże, rzekł Isakow. Kazałem za sobą posyłać Moskiewską gazetę i Głos i S. Petersburgskie

Wiadomości. Dzienniki teraz tak urosły, tak się rozruszały, że ich przeczytać niepodobna!

— Cóż mówicie o Rosyi? spytała nader nieostro-
żnie Marya.

Senator zaciął usta... potem ramionami ruszył.

— Tylko się cieszyć należy, rzekł — zapewne mamy jeszcze ciężkie bardzo do przebycia chwile... ale wielkie dzieło rozpoczęte... i idzie dzielnie...

— A! a! zawołała Marya i zamilkła... Spojrzeli sobie w oczy, ale z senatorskich źrenic nic się nigdy wyczytać nie dało, a jenerałowej wzroku nie śmiał badać stary, aby się niedowiedzieć czegoś, coby go mogło zakłopotać.

Rozstali się po chwili, bardzo grzecznie i uprzejmie żegnając, a stary powiedział, gdzie mieszka... Pokazało się, że hotel Villa Reale był bardzo blizki Crocelli... Zwiastowało to odwiedziny wzajemne. Godzina już dosyć późna, zmusiła senatora do wyjścia, Marya obejrzała się za mężem i musiała go pójść szukać aż w etruskich wazach, które zdawał się z wielkiem oglądać zajęciem.

— Znałeś kiedy Isakowa? spytała...

— Spotykałem go, widziałem z daleka, rzekł jenerał... zbliżyć się tutaj nie chciałem... byłoby to dla nas obu zbyt żenującém...

— Ale to prawie nieuniknione, że się spotkamy z nim!

— Wy! może, ja — nie... I owszem, jeśli to was, Maryo droga, rozerwać ma... co do mnie!

— Zrobisz jak chcesz! masz mieszkanie oddzielne... Zresztą stary Aleksander Nikitycz jest dyskrecją samą... można być pewnym, iż nie spyta o nic i zadowolni się tém, co mu zechcemy powiedzieć. Jenerał zamilkł. Gdy zmiarkować mogli, że senator ich o wiele wyprzedził, wyszli, by wrócić do domu...

Nie można już potem było uniknąć odwiedzin wzajemnych, rozmów dłuższych; a że u senatora zbierali się wszyscy podróżni Rosyanie, Marya zetknęła się tu z wielu znajomymi, którzy otwarci byli i więcej mówiący, niż Aleksander Nikitycz...

Z rozmowy we cztery oczy z nim przekonała się naprzód, że trochę dziwny system terażniejszy powszechnie był przyjmowany za dobry, inni ziomkowie, różnie go sądząc, chwalili jeśli nie wszystko, to główniejsze części programu. Zdziwiła się nieco, znajdując u wszystkich dziwną obojętność na losy Polski i chłodne jakieś okrucieństwo... które uchodziło za wielką politykę. Niektórzy wzdychali nad biednymi Polakami, przyznawali się do sympatyj dla pojedynczych osób — kraj i naród wszakże skazywali na zagładę z rodzajem rezygnacji... O żadnym przejednaniu mowy nie było... Najliberalniejsi głosili, że raz trzeba przecież skończyć z tą Polską i dobić ją, żeby się nie męczyła... jak się strzela w łeb sarnie na polowaniu, gdy kona za długo...

Z tych rozmów, z tego towarzystwa wyniosła smutne przekonanie, iż ludzię się lepszą, inną przyszłością było niepodobna. — Pomiędzy Polską a Rosyą oprócz owęj przepaści, krwią napelnionęj, stał mur idei dwóch skrajnie sobie przeciwnych.

Na żadnem z pojęć ogólnych tyczących się położenia — obowiązków — zejść się razem nie było podobna.... Zabolala jenerałowa, ale niewyspowiadała się z tego mężowi...

Aleksander Nikitycz z dawnych jeszcze czasów miał znakomite stósunki w Berlinie, a po troszę z dyplomataami, ministrami, dygnitarzami całego świata. Było to słabością jego mianować się przyjacielem osób najwyżej położonych. Zdało się Maryi Pawłownie, że, przyznawszy się nieco do nieszczęść swych przed człowiekiem tak zacnym a poważnym jak senator, będzie mogła z jego pomocą wyrobić dla męża pozwolenie okupienia się i osiedlenia a pobytu w Księstwie Poznańskim.

Nie mówiąc nic mężowi, gdy się jęj zdało, że senatora nieco przygotowała, poprosiła go o posłuchanie na cztery oczy.

Odmówić go nie mógł, ale znać było, że sama myśl jakięjs sprawy, jakięjs protekcyi, przeraziła go...

Stał się jeszcze zimniejszy, niż zwykle... Naza jutrz rano nastąpić miała rozmowa. Aleksander Nikitycz, krochmalny, zimny, przesadnie grzeczny, przyjął

jenerałową stojąc. — Jestem na jój usługi, co Marya Pawłowna rozkaże...

— Marya Pawłowna prosi tylko... Czy wiecie, że jestem zameżna? że mąż mój jest Polakiem? i że mu do Rosyi wrócić niepodobna...

Senator milcząco zrobił minę zdziwioną...

— Nic nie wiem! rzekł.

— Wiedząc, iż dla niego przebaczenia spodziewać się nie podobna, nie myślę starać się o nie — dodała jenerałowa...

— Macie zupełną słuszność, trzeba czekać — nie pora! pospiesznie dorzucił senator — nie pora!

— O co mi innego idzie, Aleksandrze Nikitycz... wy macie tak rozległe, tak wysoko sięgające stósunki... On tęskni za swoim krajem, ja pragnę widzieć go szczęśliwym... Gdybyście mogli przyczynić się do tego u hr. Bismarck'a... u ministrów, aby nam do Prusjechać i osiedlić się dozwolono?...

— Ale dla czegożbyście nie mogli tego uczynić? spytał senator — jakież położenie męża waszego? czy...

— Jest emigrantem... a z tym tytułem... trudno się gdzie dobrego spodziewać przyjęcia...

— W istocie... to prawdziwe nieszczęście — rzekł stłumionym, cichym, nagle chrypnącym głosem stary. — Lękam się, żeby nawet pozwolenie pobytu nie było połączone z trudnościami wielkimi... Wy, szanowna

Maryo Pawłowno, zbyt macie wielkie wyobrażenie o moich stósunkach... Prawda, że znam kanclerza z czasów jego pobytu w Petersburgu, że mnie zaszczyca swą przyjaźnią... ale w tych sprawach...

— Wiecie co? — dodał po chwili — zdaje mi się, że nierównie łatwiej wam przyjdzie gościnność znaleźć w Austrii, w Galicyi... Beust est bon enfant i ten mi nie odmówi... Napisałbym do Wiednia, mam tam przy cesarzu kilka osób... Polacy w Austrii są lepij widziani.

— Spróbujemy! — ściskając jego ręce, odpowiedziała jenerałowa — dziękuję wam. Nic jeszcze o tém nie mówiłam mężowi, aby mu nie dawać przedwczesnych nadziei...

Senator zawahał się.

— Spodziewam się — dodał cichutko — że mi do-
chowacie tajemnicy. Odmówić wam nie mogę, ale po-
mujecie, że gdyby wiedziano o mojem interesowaniu się
losem Polaka, emigranta... nawet tytuł waszego męża
nie obroniłby mnie od podejrzeń...

Westchnął.

— Wiesz, Maryo Pawłowno, byłem i jestem zawsze najposłuszniejszym poddanym, najwierniejszym Rosy synem... a mimo to mówiono mi, że uchodzę za malkontenta! lękam się cienia! otóż, Bóg widzi, jestem niewinny!! Takie czasy... Nie skarżę się na nikogo... przecież ostrożnym być trzeba...

W tój chwili uciał nagle...

— Ale, zdaje mi się, że cesarz jest jeszcze za granicą — dodał żywo — wybyście mogli pojechać i... w mnóstwie dawnych przyjaciół...

— Nie mam przyjaciół! — odparła generałowa — dacie mi list do hr. Beusta... zobaczymy.. Westchnęła wstając...

— Takie czasy! ciężkie... kryzys... naturalnie... trzeba być bardzo oględnym... Odprowadził ją do drzwi generał. Nazajutrz list do hr. Beusta miał być gotowy, tymczasem coś niespodzianego spowodowało wyjazd w nocy senatora z wnuczką... a przyniesiono tylko grzeźny bilet jego z pożegnaniem, w którym się tłumaczył, iż po rozmyśle baczniejszym żadnego listu dać nie mógł z powodów, które kiedyś ustnie opowie...



To było pierwsze zetknięcie się Maryi z rodakami, a zostawiło jój po sobie uczucie przykre osierocenia. W życiu nigdy jeszcze na sobie nie doznała tego wrażenia, jakie spada na człowieka, gdy drugi człowiek, co był dlań dworakiem w szczęściu, zaprze się go w niedli. Naprózno boska nauka ewangelii usiłowała wszczepić w serce ludzkie miłość nieszczęśliwych, litość nad upadłymi, miłosierdzie dla cierpiących, — zwierzęcy instynkt, instynkt bydlęcia odzywa się w sercu, ilekroć widzi słabość i słyszy jęk... Naówczas usiłuje sofizma-

tem się usprawiedliwić przed samym sobą i szuka winy w niedoli i widzi kary, gdzie może być tylko próba... a w końcu, aby nie potępić siebie, potępia ofiarę.

Wszystko to działo się po za plecami generała, który o niczem nie wiedział, zdał on siebie i cały kierunek losów swych na Maryą, posłusznym był jój jak istota pozbawiona woli i nie pragnąca jój odzyskać.

Po kłatkach płakała kobieta mimo swój dumy i męstwa, mężowi jednak okazywała zawsze jeśli nie wesołą, to spokojną twarz...

Jednego wieczora gdy siedzieli na balkonie w Crocellach, patrząc na płonący Wezuwiusz i cicho szmerzące morze... Marya odezwała się:

— Wszystko to bardzo piękne... ale kiedy się nie ma własnego kraju — obcy najpiękniejszy znuży wreszcie... nie znajdujesz, że moglibyśmy ruszyć gdzieś indziej, gdzieś dalej, gdzie może nie byłoby tak czarownie, ale też nie tak samotnie i gdzie proza życia odwiodłaby od snów i marzeń niebezpiecznych?

— Ale dokądże i jak jechać? — zapytał obojętnie generał—ja już nie wiem, choć mi to wszystko jedno...

— Neapol z całą swą pięknnością, trochę przybrudzoną — rzekła Marya — nie jest stolicą europejską... nie ma w nióm towarzystwa... są przyjezdni i malkontenci pozamykani... Wiesz co? a gdybyśmy... pojechali choćby do Wiednia? ztamtąd o trzy kroki jest kawałek twój kochanój Polski, w której już byłbyś jak w domu.

Jenerał spojrział zdziwiony i drgnął.

— Myślisz, że to możliwe? — zapytał.

Jenerałowa uśmiechnęła się.

— Najzupełniej—odpowiedziała, przysuwając się. —

Nie weźmiesz mi tego za złe, gdy ci się przyznam, że pewne wstępne poczyniła starania i kroki... Mam tę pewność, że nas z Wiednia nie wygnają... a ztamtąd... pojedziemy na zwiady do Krakowa i Lwowa, i... wszak nas nic nie wiąże, siądziemy tam, gdzie się nam zda lepiej a wygodniej...

— Dobrze — wybornie, rzekł Stanisław, wstając z krzesła — w istocie mnie nic nie pozostało nad to, by sobie szukać wygody i spokoju... nie mam obowiązków, jestem jakby umarłym, nie mam ojczyzny, nie mam zawodu.

— A! dość! cicho! cóżem ja winna i czym ja winna temu? — przerwała Marya.

Stanisław zwrócił się żywo i pochwycił ją za rękę.

— O! Maryo moja droga — rzekł — nie przypuszczajże nawet we mnie téj myśli niewdzięcznej. Z całego narodu twojego tyś może jedną istotą, wybraną, coś kochać i poświęcić się umiała. Sądzi szcze, iż ja nie pojmuję ciebie, nie umiem cenić serca i nie kłękam w duszy przed ofiarą twoją? Milczę... bo słów nie ma na uczucie poszanowania, jakie mam dla ciebie... Ty jedna mogłaś mnie z Rosyą przejednać...

— Jeszcze raz — chwytając go obu rękami za

szyję, zawołała Marya — jeszcze raz — cicho! mój drogi! dosyć tych kadzideł. Najmilszém dla mnie byłoby cię widzieć szczęśliwszym... Mam jakieś przeczucie, że czas się nam zbliżyć do kraju — jedźmy...

— Jedziemy! — zawołał generał z uśmiechem dobrej wróżby — jedziemy — posłuszny memu komendantowi... jestem już gotów do drogi, pozwolisz mi tylko Maryo pójść pożegnać grób biednego wygnańca. Wezuwiusz i ten sen Caprei na widnokręgu i turkusowe morze... i wszystko, co tu tak uroczy było piękne... potem w drogę!! Ale tu — dodał — na tém wygnaniu można było pozostać samotnemu z założonemi rękami, obojętnym na stronie... tam, trudniej mi daleko będzie nie mięszać się do życia, nie zamarzyć o jakimś współdziałaniu? Mam się li tam zjawić jako Stanisław Zbyński, czy jako Melchior Szarliński? A jeśli w Melchiorze poznają Stanisława?

— No — dosyć przypuszczeń... dosyć tych postrachów.. jedziemy! — zawołała Marya — a co nas spotka? możnaż zgadnąć—? W każdym wypadku będziemy musieli radzić sobie... Przewidywania są zawsze próżne, bo nikt albo tak jak nikt nie odgadł nigdy jutra... Nie mamy w Wiedniu znajomych... a jeśli się nawiną?... zobaczymy, co począć z sobą i z nimi...

Następny dzień poświęcony był pożegnaniom, w których łagodny smutek mięszał się z jakimś weselem. Ludzka to rzecz pragnąć czegoś nowego i dusze naj-

bardziej wypróbowane a odczarowane jeszcze się ku niemu rzucają, z nadzieją nadziei.

Dzień był prześliczny znowu, a przejażdżka na Campo Santo jest jedna z najmiłszych wycieczek w Neapolu... Po drodze spotkali małą trumienkę dziecięcą obwieszoną kwiatami i skromną, zamykającą zwłoki starca, który już tak przeżył swoich i siebie, iż się go pozbywano z obojętnością... Ludzie, rodzina, idąca za trumną, przybierała miny smętne gdy ujrzała obcych, ale wyminąwszy ich gwarzyła wesoło aż do obojętności.

Ciągnąc się tak powozem pod górę dosyć wolno, generałowa ujrzała pieszo idącego, widocznie turystę, w zaniedbanym stroju człowieka, który, obcym będąc, nie dba za kogo wzięty zostanie. Był średniego wieku, śniady, ogorzały a typ jego twarzy uderzył Maryą Pawłównę charakterem przypominającym jój ludowe fizyonomie w Moskwie spotykane. Małe, czarne, żywe i ruchawe oczki, nos nieco zadarty, szczęki wydatne, ironiczny ust uśmieszek... zapowiadały człowieka gorącego temperamentu, namiętnego a spragnionego życia... oglądał się, patrzył, stawał, chciał niby pochwycić sobie wszystko, przyswoić a razem wzbraniał się widocznie, by go entuzjazm nie opanował... Dla tego, choć oczyma pożerał, szydersko śmiały mu się usta....

— Patrz Stanisławie — rzekła z cicha generałowa — przysięgłabym, że to ziomek mój. Dawniej za granicą

oprócz arystokratycznych twarzy Isakowych nie można było spotkać innych, dziś Rosya wysyła już i te dzieci ludu, aby posiadały nieco piersi téj cywilizacji europejskiej, która wszakże, według Katkowa, ma być za-trutą.

Jenerał spojrział.

— Masz słusność, — rzekł, — jest to z pewnością jakiś Iwan Iwanowicz...

Poeóż pominął turystę, który weń ciekawém rzucił okiem... pojechali na cmentarz. Jenerał kazał nad grobem poety położyć prosty kamień z napisem nazwiska i dnia śmierci... Młody chłopak na łożu już kreśląc po kartkach ulotnych to poezye to myśli swe, to niedokończone listy do krewnych... do przyjaciół, na jednéj z nich zanotował, iż gdyby mu kto chciał kamień kłaść u grobu, prosi, aby na nim wyryto:

O morte sia fino al mio dolore ..

Słowa te w istocie wyrzeźbiono mu na grobowcu, a pobożny rzemieślnik z własnego domysłu dołożył Ave Maria. Na grobie żółta jeszcze ziemia nie porosła, ale z dwóch sąsiednich krzewy gałęzmi powyginanemi zaczynały przysłaniać go litościwie...

— Na rok przyszły... — odezwała się po rosyjsku Marya — nie będzie śladu ni człowieka, ni kamienia... kwiaty pokryją ziemię i pamięć biednego...

— A!! — zawołał głos z tyłu, — co za szczęście ... wszak... przebaczenie — państwo z Rosyi!

Był to ów turysta, który dogonił ich tu pieszo i z otwartemi wesoło ustami i z podniesioną, czapeczką witał ich dosyć natrętnie.

Jenerał nie lubił wogóle nowych znajomości, a najmniej improwizowanych wśród drogi... ponuro nieco zwrócił się ku nieznanomemu. W takich razach Marya Pawłowna zwykle głos zabierała...

— Nie mylisz się pan — odezwała się śmiało, ale z trochą dumy niedopuszczającą zbytniego spoufalenia, ja jestem Rosyanka...

O mężu nie powiedziała nic i on téż uchyliwszy tylko głowy, nie tłómaczył się ze swego pochodzenia.

Młody podróżny popatrzył na oboje państwo, nakrył głowę i stanął śmiało obok nich, postanowiwszy, znać dla jakiej potrzeby wywnętrznięcia się, bądź co bądź zmusić ich do rozmowy.

Z blizka go widząc, łatwo było odgadnąć, że Marya Pawłowna miała słuszność upatrzwszy w nim typ ludowy. Obejście się jego, mowa, ton zdradzały młodzieńca świeżo napompowanego znać teoryami demokratycznymi, który szukał tylko zręczności, aby za nie kruszyć kopie..

— Ja także, jak mowa moja świadczy — odezwał się turysta, — jestem Rosyanin; że mam honor przedstawić się Ilija Michajłowicz Nizin... z Moskwy, z białokamiennój mateczki naszój Moskwy...

Rozśmiał się. — Jak widzicie — dodał niezrażając

się milczeniem, którym przyjęto przedstawienie się — poszedłem w świat przypatrzeć się tej sławionej cywilizacji zachodu!

Ruszył ramionami.

— No, tak, my barbarzyńcy... ale cóż tu po dwóch tysiącach lat cywilizacji zostało? Dwóch tysięcy lat przesady...

Marya i Stanisław spojrzeli po sobie.

— Wy mi przebaczycie, — dodał Nikicz, — że ja tak niegrzecznie czepiam się z prawa pobratymstwa narodowego... ale, miły Boże, ruskiemu człowiekowi już nie tyle za kwasem, co za mową swoją tęskno. Chciałoby się choć ją posłyszeć — choć nią przemówić do kogo...

Może i to słuszność... ale człowiek, jak wiadomo, słaby!

Rozśmiał się sam z siebie.

— Czy dobrowolnie puściliście się w podróż, dla nauki? — spytała grzecznie Marya.

Nizin rozśmiał się.

— Mam się przyznać z prawdą całą? A, nie! nie pani moja! musiałem uciekać, bo mnie tam posądzano, że do nihilistów należałem, że z Neczajewem byłem w stosunkach, że państwo i cesarstwo chcą wyrócić? Cóż? jak miałem iść etapami na Syberiją, wolałem już pieszo za granicę...

Popatrzał po swych słuchaczach, badając, czy to

zeznanie bardzo ich nastraszy i oziębi, i chcąc z tego wymiarkować, czy się zbliżyć do nich więcej może. — Ani Marya Pawłowna ani generał nie okazali strachu ni wstępu, ośmielony więc mówił dalej:

— No! prawda, kraj piękny... choć szatańsko gorący... ale ludzie?

— Byliście już oprócz Włoch więcej gdzie? — spytała generałowa.

— A jakże! byłem w Paryżu! siedziałem w Szwajcaryi, a oto odbywam teraz pielgrzymkę tylko i do Genewy powrócę... albo — uśmiechnął się tajemniczo — kto tam wie, gdzie się znajdzie!

Jenerał milczał dotąd; nie miał on nigdy do socyjalistów i demokratów zbytniego nabożeństwa.... a człowiek ten pachniał mu rewolucją, spiskiem i nihilizmem. Jednakże raz się losem spotkawszy z reprezentantem systemu i idei, choćby fałszywój, ciekaw był może form, jakie przybiera i jak się w rzeczywistości wciela.

Ponieważ Nizin nie zdawał się wcale gniewać za to, że mu się nawzajem nie prezentowano, generał począł rozmowę. Nie chcąc wszakże narazić Rosyanina na nieprzyjemną niespodziankę, otworzył ją od wyznania, że jest Polakiem.

— A! dziwna rzecz! pani Rosyanka! pan Polak... Domyślam się, — mówił Nizin — że małżeństwo! — Takich nie wiele na świecie, bo Rosyanin z Polakiem,

przepraszam za porównanie, jak pies z kotem. . i — darujcie mi — to nie nasza wina...

Począł się śmiać z własnego dowcipu...

— Długoby to o tém i wiele mówić, Ilijo Michajłowicz — odparł jenerał — czyja wina a czyja prawda, lepiej temu dać pokój...

— E! wy myślicie, żem ja nieprzyjaciel Polaków? — podchwycił Nizin — zachowaj Boże... ja ich lubię nawet, to naród sprytny, tylko nie praktyczny i feodały ... feodały!

Szli dalej ulicą cmentarną. Nizin nie miał najmniejszej ochoty rozstać się z nowymi znajomymi. Chociaż jenerał wprost na jego wykrzyknik odpowiedzieć mu nie chciał i przyjął go półuśmieszkiem... Nizin mówił dalej.

— Ja naszego rządu nie lubię, ja republikanin... ja demokrata, socyalista... ja zwolennik namiętny Bakunina... no, ale w terażniejszym położeniu co było robić, trzeba było Polskę przydusić... Darujcie! (Izwinitie) Podniósł nieco czapeczki i szedł dalej.

— To prawda, dodał, można było inaczej... ale na to rząd carski rządem... on jak krawiec z tępemi nożycami musi takimi krajać, jakie ma...

Nie otrzymawszy jeszcze odpowiedzi żadnej, Nizin znowu wpatrzył się w towarzyszków.

— Przepraszam, państwo pewnie za paszportem legalnym z Rosyi, a może... razi ich moja mowa?...

— Nie, odezwał się generał, ja nie jestem już poddanym rosyjskim i nie powracamy do kraju, możesz pan mówić, co mu się podoba... przekonania powinny być swobodne...

Rozpromieniła się twarz chłopcu i stał się o wiele śmielszym.

— Jeśli tak, odezwał się, to choć przynajmniej wygadać się mogę swobodnie, a wy może lepiej zrozumiecie niż cudzoziemcy.

Postawa chłodna generała i generałowej nie była wprawdzie wielką zachętą, ale w młodości są chwile takiej potrzeby wynurzenia się, zamiany myśli a choćby wyklócenia o idee, że się staje natrętem i niegrzecznym. Nizin był młody i rozmarzony pomysłami, potrzebował dzielić się z niemi.

— Chociaż uszedłem z Rosyi, rzekł, nie wyrzeknę się mojej ojczyzny ani pracy dla niej. Nasza matka ma wielką przyszłość przed sobą... a choć jeszcześmy do niej nie gotowi, przynajmniej się gotujemy. Narodom łacińskiego szczepu bije ostatnia godzina, germańskie plemię trochę więcej ma siły, ale poślubiwszy cywilizacją łacińską, wyrzekłszy się samoistności, już tóż nie długo pożyje. Chwyci może na chwilę najwyższą potęgę i doszedłszy do szczytu, spadać zacznie... naówczas światowi słowiańskiemu pora stawać do roboty!!

Era słowiańska przychodzi. My barbarzyńcami byliśmy, dodał, no tak, ale w tój skorupie barbarzyństwa przechowała się pierwsza może i najstarsza tradycya ludzkości, jądro żywotne. My mamy młodzieńczą siłę do wyrobienia z siebie nowój cywilizacyi.

Jenerał się uśmiechnął.

— Słyszałem to, rzekł — rzecz nie nowa, są i w Rosyi ludzie, co tak mówią. Szkodo tylko, że ci, co się z tą mrzonką noszą, nie uczyli się historii lub nie zrozumieli.

— Proszę! proszę! wytłómaczcie! słucham, rad jestem i odpowiem, odparł ochoczo Ilija Michajłowicz...

— Cywilizacyi dwóch właściwie nigdy na ziemi nie było, rzekł jenerał, jedna wyrastała z drugiej i na drugiej; wszystkie jak ogniwa jednego łańcucha wiążą się z sobą. Jeśli się od pnia głównego odłamała jaka gałąź sucha, nie puściły z niej już liście ni korzenie. To, co wy zowiecie pierwotną tradycją i macie za wyłączną własność słowiańskiego plemienia, jest po prostu znanym stanem przechodnim, zacofaniem tylko i opóźnieniem. Nie może Rosya zużytkować swych młodych sił inaczej, jak czerpiąc ze źródła tój samój cywilizacyi, którą zgniłą nazywa...

— Tak! aby z niej zaczerpnąć fusy i męty... odparł Nizin — ech! ech! panie szanowny... Jeśli się człowiek lub naród tak poczuwa do wielkiego posłannictwa jak my dzisiaj... to je mieć musi...

— Być może — zawołała generałowa, i bodajby tak było. W Rosyi wszakże to posłannictwo dziś ogranicza się do bezmiernej ochoty burzenia wszystkiego. Można by więc przypuścić, że misją naszą będzie rozbić i zniszczyć jak Hunny, aby na gruzach kto inny budował...

— My idziemy z postępem wieku... przerwał Nizin, śmiejąc się dziwnie, my już dalej w pojęciach ustroju społecznego zaszliśmy niż zachód... Niech pani poczyta Wyrubowa...

— Zawadziliśmy o zbyt drażliwy przedmiot, rzekł generał, myślę, że lepiej dłuższej nie mieć już rozprawy. Powiedzcie nam raczej, co myślicie z sobą...

Nizin chwilę się zdawał namyślać a potem dodał.

— Co wam się mam tać — wy przecie do trzeciego oddziału mnie nie doniesiecie... Ja naprzód sam naocznie chcę przekonać się o stanie Europy... dowiedzieć się wielu rzeczy... Szczęściem jestem w lepszym położeniu niż większa część takich jak ja wygnańców, ojciec mój bogatym kupcem w Moskwie, choć nie bardzo skoro grosza przysyła, ale z głodu umrzeć nie da. Pracować nie potrzebuję na chleb powszedni... Jak mi się zatęskni do białokamiennej mateczki... o! to się znajdzie sposób do niej dostać, a tam między swoimi skryć i.. (westchnął) dalej do dzieła...

Jenerał spojrział nań pytająco.

— Chcecie wiedzieć, do jakiego dzieła! zawołał — stary świat przecie runąć musi i to, co się dziś zowie porządkiem społecznym a co jest uorganizowaną grabieżą przywileju.. Ziemia będzie dla wszystkich..

— Już wiem! rzekł generał — reszty domyśleć się łatwo. Ale szanowny Ilijo Michajłowiczu, gdy się wam szczęśliwie uda dokonać waszego wielkiego dzieła, zdziwicie się pono mocno, gdy owocem jego stanie się despotyzm stokroć straszniejszy niż był kiedykolwiek.

— No! no! to ja też wiem, bom już o tém czytał, rozśmiał się Nizin — ale nim do nowego porządku przyjdzie... teraz burzyć! burzyć! niszczyć i wywracać.

— Nawet cywilizacyą? spytała Marya.

— Wszystko! wszystko! co robić! potem się ona odrodzi jak Feniks z popiołów. Nie ma rady..

— I nie pomyśleliście, ile ofiar takie zniszczenie kosztować będzie — ile krwi..

— A cóż bez ofiar! a co bez krwi! przerwał Nizin, na wodzie różanej tylko cukierki się robią...

Zamilkli. Stanisław nie uląkł się wcale bujnej owój fantazyi młodzieńca, uśmiechnął się.

— Wy tego jak my pragnąć powinniście, dodał Nizin — Polacy, odzyskacie prawa narodowości — nie będzie państw... będzie gmina i ludzkość... Narodowości rozwijać się będą, mogły wedle przyrodzonych sił swoich..

Stanisław ruszył ramionami.

— Wierz mi, kochany panie, rzekł, ile razy ludzkość chciała równemi nogami przeskoczyć przestrzeń, którą powinna była przechodzić powoli — zawsze wpadła w dół, z którego się długo potem wydobyć nie mogła. Najbezpieczniej jest iść krok za krokiem, zwolna. Reformy powinny być stopniowe a postęp zdobyty pracą mozolną...

— Wiadomo! wiadomo! znam tę teorią — żwawo zawołał Nizin — ale każdy ma swoją i niech każdy przy swojej zostanie.

— Dawno pan jesteś w Neapolu? — spytała chcąc przeciąć rozmowę Marya.

— Ja?? a! już dość, bym się śmiertelnie nudzić począł! Bardzo piękny kraj dla malarzy, ale zresztą... nie ma tu z kim gadać. Nawet Mazzini postarzał bardzo... a Garibaldi...

Ruszył ramionami.

— Państwo tu na długo? — z kolei zapytał Nizin.

— My wyjeżdżamy — jutro...

Z pewnym niedowierzaniem i uśmiechem odpowiedź tę przyjął Nizin, znać było, że mu się zdawała wymierzona na to tylko, żeby się go pozbyć... Jenerał to rozumiał.

— Szczera prawda, szanowny panie — dodał — jedziemy jutro...

— Aby tylko nie w tę stronę, co ja! — rozśmiał

się Ilija, bobyście państwo myśleć mogli, że za nimi w ślad gonię i gotowibyście mnie uważać za... no! za urzędnika trzeciego oddziału, stróża porządku sjołecznego, vulgo szpiega. Ze wszystkich posądzeń, jakie na człowieka spaść mogą, jest to jedno z najnieprzyjemniejszych...

— A jedziesz pan, dokąd? — zapytała generałowa.

Nizin zawahał się trochę — Myślę, że pojedę na Wiedeń, do braci Serbów, Kroatów, Czechów, Bułgarów i t. p. Chciałbym nawet zwiedzić Czarnogórę, gdzie się najwzorowiej pono przechowała pierwotna tradycja słowiańska. Zresztą, któż to wie, gdzie człowieka losy zaniosą...

Jenerał nie przyznał się wcale, że także ma jechać do Wiednia, spojrzeli tylko na siebie z żoną. — Nizin towarzyszył im chwilę jeszcze.

— Aż mi rzeźwiój — szepnął — żem trochę swoim językiem pomówił; były już chwile, że miałem ochotę sam do siebie w głos jak w tragedji klasycznej prawić monologi... Ten włoski język nie do rzeczy... wypieszczony, wygadany... coś mi się tak wydaje, jak gęba stariej kobiety, której dużo zębów powypadało... W naszej mowie jeszcze wszystkie białe i zdrowe...

Jenerał rozśmiał się.

— Tak — rzekł — bo wiele z nich jeszcze nie wyrosło.

Od lat dziesiątka tak Wiednia jak Austrii poznać trudno. Wielki to i straszny czynnik swoboda, zwłaszcza gdy przychodzi po długim nawyknięciu do niewoli i działa na stwardniałe ciało państwowe w oryginalny sposób, do jednych jego przystając części, nie mogąc ująć się drugich. Nawyknięcie do patryarchalnych rządów z łaski Bożej pozostawia na długo w obyczajach, w ruchu społecznym, w mechanizmie życia niezgluzowane ślady. Dzieje się więc, że tu świeży powiew wolności gdzie nigdzie kwiaty rodzi, owdzie chwast bujny, in-dziej zaschlą, zostawia rolę.

Ale bądź co bądź, społeczność zostawiona sama sobie, gdy umie szanować prawa i godzić swobody jednostek z interesami ogółu — choćby zeszła chwilowo na manowce w pierwszym szale wyzwolenia, trafi zawsze na prawy gościniec.

Przy nieszczęściach i stratach, jakie spotkały Austrię — mimo popełnionych błędów, porusza się ona, dźwiga i, jeśli nie ocali się państwo, złożone z wiekowych zaborów, zlepek zdobyczy dyplomatycznych, — owocu owego sławnego *felix Austria nube* — odrodzą się w pocie czoła składowe jego części.

Dziś, jak w każdej epoce przejścia wszelki kraj i naród wszelki — Austrija chaotycznymi, konwulsyjnymi ratuje się ruchy. — Nie łącno jest z fałszywego wyjść położenia, gdy długim siedzeniem wszystkie się

stawy zakłękły. Trudniej to jeszcze, gdy choroby wieku ogólne epidemicznym zarażają jadem.

Tak téż Austrii na kryzys odrodzenia przypadały szaly spekulacji giełdowych i niepomierna chęć używania, na zepsucie stare wszczepiona.

Przeszłość nie zostawiła ludzi po sobie, terażniejszość ich nie wyrobiła jeszcze, poszczerbione narzędzia stare, niedostrzone nowe... krają bardzo niezręcznie, a i ręka niewprawna. Przytém nałóg rządu i mięszania się do wszystkiego, choćby swoboda była w literze prawa, nie tak łatwo opuszcza.

Ciężka to więc do przebycia godzina. Na Wiedniu wszakże tego nie widać; stary Wiedeń odmłodził świetnie, wesoło, zamożno, jakby miał przed sobą wielką przyszłość i nie potrzebował jój z Pesztem dzielić.

Charakter dwóch największych stolic niemieckich czyni je jakby dwoma przeciwnymi biegunami magnesu. Berlin jest podobien młodzieńcowi, który, ze szkólnej ławy zszedłszy ledwie, zaciągnął się do wojska i wdział piękny mundur nowy. Wiedeń wygląda jak jeden z tych miłych, wyświeżonych, uperfumowanych staruszków, galantów, co się jeszcze kulis teatralnych i kolacyjek nie wyrzekli, zepsutych do kości, ale z kośćcami miłych i kochanych. — Zepsucie dwojga stolic wcale różne; w Berlinie jest to żołnierska, chłodna rozpusta, hamowana regulaminem wojskowym, w Wiedniu ubiera się ona w sentymentalizm, w namiętność i rada, by jój uwierzo-

no, iż z serca płynie... Wyrazem pierwszej proces Zastrowa, drugiej historia Chcrińskiego. — Junkry téż berlińskie, potomkowie krzyżaków, cale nie są podobni do arystokracji austriackiej... pierwsi śpią w mundurach i orderach, drudzy, choćby nie byli nimi, maskują się na dyplomatów... u tamtych ton kordygardy bywa uważany za najlepszy, u tych salonowa ogląda dochodzi do przesadnego bałwochwalstwa wykwinności.

Bankrut berliński jest najczęściej zjedzon niepowściągliwymi chuciami cielesnemi, dziko wybuchającemi, wiedeński zrujnował się na czułości, na przepych, na chorobę państwa. Język i twarze w obu stolicach różne i fizyognomia ulic jest inna. W Berlinie czuć, że to surowa jeszcze kanwa, na której przyszłość ma wyhaftować może stolicę... w Wiedniu, jak na starym gobelinie, wyglądają złotem i jedwabiem szyte kwiaty nowe. — Izraelita nawet, ten żywił dziś niezbędnie w pewnej dozie znajdujący się w każdym narodzie jak szpikowanie w pieczeni — wygląda w Wiedniu na barona, — w Berlinie raczej na literata; w stolicy Austrii ciśnie się do salonów, nad Spreą do redakcyi dzienników; tu jest jeniuszem finansowym, owdzie wzdycha do wcieleńia w siebie potęgi intelligencyi. W Austrii jest on — o ile się to daje — za starym rzeczy porządkiem, w Prusach domaga się instytucyi liberalnych.

Do nieskończoności pomnożyłby można rysy podobieństwa i różnic dwu stolic niemieckich, z których za-

dna może nie odegra w przyszłości téj roli, jaką sobie obiecuje.

Dla przybywającego do Wiednia najbardziej uderzającą będzie mieszanina narodowości, składających ludność stolicy, tak jak one wchodzą w skład państwa. Żywiół niemiecki jest tu wprawdzie panującym i najwybitniejszym, ale nie najliczniejszym może. Typy twarzy, dźwięki mowy dziwnie mieszają się z sobą... Węgier, Kroat, Słowak, Polak, Czech, Włoch przedstawiają tę aglomeracyą narodów, która się zwała Austryą i władała długo cesarską koroną Niemiec. — Dziś jest to jeszcze cień dawnéj wielkości, złamanéj a nieumiejącej się przejednać z rzeczywistością... Swoboda, jak prawie zawsze, sprowadziła zrazu wybuch namiętności raczej niż rozwój władz powołanych do życia... Wesoło więc wygląda Wiedeń konstytucyjny, któremuby z grobu powstały Metternich uwierzyć nie chciał.

Państwo Szarlińscy (gdyż pod tém imieniem mieli dane paszporta) przybyli do rakuskiéj stolicy, sami nie wiedząc, ani jak długo w niéj przebędą, ani w jaką sferę rzuci ich tu przeznaczenie. Majątek generałowéj dozwalał im podróżować wygodnie i żyć na stopie pańskiéj. Stanęli więc w hotelu u Munsch'a a zajęli dosyć drogie i piękne mieszkanie. Pierwsze dni zeszły na przejażdżkach po mieście, zwiedzaniu galeryi, pałaców, ogrodów, okoli, o ile pora roku dozwalała. Wieczory spędzali w teatrach... Życie to znośne na czas krótki,

przecignięte dłużej, staje się nader dokuczliwém. Wicznie być obcym w pośród świata otaczającego, zawsze tylko życia świadkiem... męczy w końcu i nęka. Już byli bliscy oboje znużenia tym Wiedniem, gdy jednego wieczora, będąc w Burgu i zapomniawszy, że poznana być może, Marya Pawłowna wychyliła się z łoży dla przysłuchania lepszego grze aktorów. W chwili gdy światło padło na jój twarz, której rysy nadto były znaczące, ażeby się znajomym rozpoznać nie dały — z przeciwnego końca skierował na nią lornetkę mężczyzna podżyły i długo a bacznie wpatrywać się począł. Po niejakim czasie jał się tak samo przyglądać z uwagą generałowi, przetarł szkła, podniósł je znowu, posuwał, skracał perspektywę teatralną, zdawał się mocno zdziwionym i zamyślił głęboko. Zbierał niby wspomnienia dawne, rozrachowywał coś, ważył i znowu patrzył i, jakby oczom nie wierzył, powtarzał po kilkakroć badania swoje. Nareszcie zwyciężony rzeczywistością, zrezygnowany ale zdziwiony, począł z afisza liczyć akty, potem niespokojny w końcu drugiego wyszedł. Krążył jeszcze po korytarzu w niepewności, co z sobą pocznie... Spoglądał na zegarek, naostatek odważył się i, otworzywszy drzwiczki łoży, zajmowanej przez generała, ukazał się na progu.

Niespodziewany ten gość ubrany był po cywilnemu, choć po wojskowemu się trzymał, mężczyzną był pięknój postaci, twarzy niegdyś przystojnej ale wypłowiałej i przedwcześnie pomarszczonój. Wyraz przebiegłości

i rozumu bił z jego czoła i oczek, pokrytych złotemi okularami. Głowa była nieco wyłysiała, ale czaszka zyskała na tém, pięknie odsłaniając kształty. Z trudnością poznać było można, do jakiej należał narodowości i twarz uspokojona traciła cechy plemienne, dopiero gdy się rozśmieł, wschodnio-tatarska krew zdradzała się w wyrazie ust otwartych. Był to wszakże wyszlachetniony już téj krwi potomek, a ruchy i postawa ozna-
czały człowieka nawykłego do wyższego towarzystwa.

W chwili gdy zwolna i ostrożnie drzwi łoży otwierał i zapuszczał w nią wzrok ciekawy, Marya Pawłowna i jenerał odwrócili się razem i pozostali jak wryci. Mężczyzna przybyły jeszcze się wahał z powitaniem, potem uśmiech grzeczny rozwiązał mu usta, zwrócił się do jenerałowej i odezwał po francusku.

— Jakimże cudem Maryą Pawłownę szczęście mam spotkać? A! ależ to najszcześniejszy z cudów, jaki mi się mógł w Wiedniu przytrafić! Oczom mym przed chwilą wierzyć nie chciałem. Sądziłem, że mnie mylą. Lecz nie ma dwóch Maryi Pawłowien na świecie!

Jenerałowa pobladła trochę, podała mu rękę powoli i bez wielkiej oznaki radości, uśmiech wymuszony przebiegł po jój ustach...

— Maryi Pawłownej — rzekła cicho — nie ma już na świecie Mości księżę, widmo jój tylko snuje się jeszcze po ziemi.

— W parze z widmem zmarłego Stanisława Kar-

łowicza — rzekł książę, dając rękę generałowi, który ją w milczeniu uściskał, zmieszany równie jak żona. — Same więc cuda, o których tłómaczenie, z góry zapowiadam, że pytać nie będę. Proszę być spokojną, Maryo Pawłowno, un homme du monde, znający swe obowiązki, nie dziwi się niczemu, nawet umarłym chodzącym po świecie... Rad jestem, że was widzę i dość mi na tém...

— Bądź księżę pewien, że ja niemniej mu rada jestem... odpowiedziała generałowa... odpowiadam za siebie i za mojego męża. Na tym ostatnim wyrazie położyła nacisk umyślnie. Książę, siadając na taborecie w głębi łoża, spojrział tylko na Stanisława i skłonił głową...

— Cóż księżę robisz w Wiedniu? nie jesteś w służbie? przeniósłeś się li z wojska do dyplomacyi? Ale naprzód, czy wolno go o to pytać?

Książę skłonił się znowu, uśmieszek niedostrzeżony przebiegł mu po ustach... myślał trochę, co ma odpowiedzieć.

— Ja? — rzekł w końcu — byłem trochę chory, jeździłem do Gasteinu, jakiś czas jeszcze myślę przepędzić dla spoczynku w Wiedniu... dostałem urlop nieograniczony... Bawię się — szukam rozrywki. Wiedeń jest stworzonym dla tych, co się chcą kąpać w Lethe zapomnienia... można się zanurzyć i zostać dla całego świata niewidzialnym... no! chybaby się na taką po-

kusę było narażonym, jak ja, dziś Maryą Pawłownę zoczywszy. Naówczas po nad fale wynurza się głowę... Was nie śmiem nawet pytać, co tu robicie i jakim przypadkiem??

— Widma przenoszą się z miejsca na miejsce jednym wiatru podmuchem — rozśmiała się smutno Marya — jesteśmy tu, zupełnie jak wy, aby się w Lecie zanurzyć...

— Zapewnę na całą zimę? — spytał książę.

— Któż to wie — przerwał długie swe milczenie generał — jeśli nam będzie dobrze, zostaniemy... jeśli się znudzim, popłyniemy dalej — Chi lo sa?

— Jedziecie państwo z Włoch? — rozśmiał się książę. — Poznają to po téj zdobyczy, która Stanisława Karłowicza zdradziła.

— Byliśmy we Włoszech! — szepnęła generałowa, rumieniając się.

— A! jakżeście państwo szczęśliwi — żywo, zapomniawszy się, zawołał książę; — cóżbym ja dał, żebym mógł raz tam zajrzeć i te cuda oglądać; ale człowiek jest niewolnikiem obowiązków.

Słowa te znać mu się wyrwały mimowolnie, bo już je chciał czémś zatrzeć, gdy generałowa pochwyciła go za nie.

— Wszakżeście mówili, że jesteście na urlopie i swobodni.

— Tak, nie inaczej — zawołał książę widocznie zmięszany — ale teraz już zapóźno, a wprzód musiałem siedzieć w Gasteinie.

-- Właśnie na zimę wszyscy do Włoch jeżdżą.

— Maryo Pawłowno! czyżbyście się mnie ztąd pozbyć chcieli? — rozśmiał się przybyły... a to niewdzięcznie.

Jenerał patrzył nań, nic nie mówiąc.

— Dawnoście z Petersburga?

— Przed paru miesiącami opuściłem go — rzekł książę — i wcale doń nie tęsknię. Dawniej Petersburg był bardzo miły, dziś w nim zamieszkały troski. Rosya ma wiele do spełnienia dla uratowania terażniejszości, dla przygotowania przyszłości... Musimy pędem biedz, aby zachód doganiać ... iglicówki, działa gwinutowane, kartaczownice... koleje... i dyplomatyczne kręcielstwa... wszystkiego uczyć się trzeba razem.

Wszyscy milczeli, wspomnienie Rosyi, polityczny zakrój dany rozmowie powiały chłodem. Książę to zrozumiał i zręcznie zwrócił się zaraz ku innej treści.

— Przekonany byłem — rzekł — że Wiedeń jest miastem niemieckim... Tymczasem prawie do bram jego mogłem się rozmówić a przynajmniej zro-

zumieć z bracią słowiańską a tu... co chwila mowa swojska obija mi się o uszy... O! i nie mniej tu robot słowiańskich jak u nas... dodał ciszej — o ile się tak z daleka i ze wzmianek przekonać mogłem...

— Nie zachorowaliście i wy na panslawizm? — spytała Marya żartobliwie. Pytanie to rzucone było bez myśli, ale zdało się dotyczyć mocno kniazia, który ramionami zżymnął i gorąco zaprzeczył.

— Ja! cóż znowu! to nie moja rzecz! do czego mi się w to mieszać? jestem na urlopie i chory... Tylko — dodał zaraz — mimowolnie przejeżdżając kraje, których mowa, obyczaj, twarz przypominają mi nasze, serce się ścisza patrząc, jak ich tu Niemcy duszą i wypleniają... Uczucie politowania rodzi się mimowolnie a gdy się jeszcze rozmówi z Czechami, z Serbami... którzy dla Rosyi tak żywą mają sympatyą.

— Tak, to nie mając co lepszego do roboty, można zostać Słowianofilem — rozśmiała się generałowa.

— A! o to nie posądzam kniazia — zawołał generał — Wiedeńki nadto są ładne i słyną z zalotności, a księżę niegdyś słyszałem z wielkiej słabości dla niewieścich wdzięków.

Kniaziewi przypomnienie to, acz przy generałowej, nie było nie do smaku; rozpromieniał, poprawił włosów na łysinie.

— Stanisławie Karłowiczu, westchnął, wszystko ma swój czas... jam już postarzał.

— A czém się skorupka za młodu napije... wrzuciła jenerałowa.

— Tego już na starość ma dosyć i nie polyka więcéj, dokończył kniaź.

Potém jakby zwracając rozmowę:

— Państwo mają tu znajomych?

— My? upiory? jakże chcecie? — odpowiedziała Marya — każdy od upiora ucieka... nie mamy żadnych...

— A! Maryo Pawłowno, Stanisławie Karłowiczu, jeśli tak, na miłość Bożą... nie odrzucajcież stręczącego się wam starego znajomego i sługi.

Złożył ręce.

— To mybyśmy was o to prosić powinni — grzecznie ozwała się Marya.

— Gdzież mieszkać państwo?

— Hotel Munsch...

— Najdroższy w mieście, ale bardzo dystyngowany... ja — dodał kniaź — po namyśle, po rachunku wyniosłem się z Hotelu na mieszkanie prywate... bardzo skromne. Ten nieszczęsny tytuł mój wszędzie drogo przypłacić muszę.

Podniesiono kurtynę, kniaź wstał i pożegnał, wyszedł... Jenerał lżej jakoś odetchnął. Ha, szepnął do żony, trudno to podróżować po świecie, gdy się dla

świata umarło, bądźcie pewni Maryo, że tę swoją przygodę opowie w Petersburgu...

— Sądzę, że ona tam tak bardzo nie zdziwi nikogo, odpowiedziała żona, wiedzą o niej po troszę... O to mniejsza, więcej się lękam, ażeby ciebie nie męczył.

— Ja najbardziej ciekawym — dodał Stanisław — co on tu robi właściwie. Ściśle biorąc, mógł być chory i jeździć do Gasteinu, jednakże — jednakże prędkibyśmy przypuścił, że został z misją jakąś sekretną wysłany... Znam go zdawna, jest czynny i należał do zagorzałych Słowianofilów; jeśli dłużej bawi w Wiedniu... podejrzany mi jego odpoczynek...

Milczeli już potem przez cały akt, gdy w następnym przestanku drzwiczki łoży znowu się uchyliły a w nich z pokorną i szyderską razem miną pokazał się — Nizin.

— Bardzo przepraszam — zobaczyłem państwa z parteru, a dojrzawszy jeszcze i kniazia w dodatku, już byłem pewny, że się nie mylę i że to państwo jesteście. Otoż i ja w Wiedniu!! Dalibóg, przepyszne miasto, rozkoszne życie, Niemki śliczne... i wesołe za katy, tak że można o reformie społecznej zapomnieć a tylko młodość swą nosić i używać...

Nizin był wyświeżony, przebrany już w wiedeńskie sukienki, i wyglądał na — reisendera...

choć chciał być dystyngwowanym. Przysiadł przywitawszy się w kątku...

— Państwo, jak widzę, znają kniazia! ho! ho! znam i ja chociaż w inny sposób, bo zasiadał w pewnej komisji, z którą ja miałem nieszczęście mieć do czynienia... Dobry chłopiec — no! ale za granicą musi być liberalny... bardzo... Przysięgłbym, że nie przyjechał tu po dobrej woli...

Widząc, że mu nie odpowiadają, Nizin zamilkł.

— Rozkoszny Wiedeń, rzekł, i taki tu człowiek swojego brata choć zapyta, bo i ruskich jest dosyć, i Serbów i Czechów i wszelkich Słowian, którzy, jak którego z nas zobaczą, cisną się, bo czują, że my ich przewodzcami będziemy.

Jenerał obejrzał się i uśmiechnął.

— Kiedy i do czego?

— E! da się to widzieć! mruknął Ilija — a no tylko to wam powiadam, że ten instykt mają wszyscy... Słowiańszczyzny reszta zubożała, zgnędziała, wychudła pod panowaniem Niemców i Turków, my zamożniejsi i ducha w nas więcej... to darmo...

Wszystko to — dorzucił — bodaj nie narody a materiały tylko, z którego się one robią. Ot że, czytaliście pewnie, co Czechów poszło do Moskwy i przyjęło prawosławie.

O! to prawosławie!! uśmiechnął się, ono dla mnie

wcale nic nie warto — ależ... to przecie chorągiew... a póki nowój nie ma i ta dobra...

— Niezabawne rzeczy mówicie — przerwała jenerałowa — a mieliście przecie po młodemu się bawić w Wiedniu...

— A! to swoją drogą, zaśmiał się Ilija — ja już, niech pani daruje, mam kochankę... Proszę spojrzeć, tam w trzecim rzędzie krzeseł, czwarte od brzegu, gdzie obok moje miejsce próżne! Widzi pani, co za cacko dziewczyna! A wystrojona, a trzyma się! No! to trzeba im przyznać, że u nas i w salonie trudno znaleźć taki szyk! A to — proszę pani, prosta magazynierka, co perfumy sprzedaje... Pozawczoraj się w niej poko-chałem przez okno, poznałem i dziś bilet kupiłem do krzeseł.

Marya smutnie spojrzała na niego i nieco surowo...

— Nie ma przecie w tém nic złego, rzekł Ilija — ale żeby człowiek jak był polityką zajęty, proszę pani, młodości zupełnie z głowy i serca nie wypędzi...

— No, to idźe pilnuj pan swój dulcynei — przerwała Marya, bo oto oficer w białym mundurze bardzo się coś pochyła blisko z drugiego rzędu do czulej rozmowy...

Nizin rozśmiał się.

— My, terazniejsza młodzież, rzekł — nie jesteśmy wcale zazdrośni.

Pokłonił się i wyszedł.

Ale był to wieczór spotkań, gdyż po trzecim akcie, gdy drzwi łoży skrzypnęły znowu i jenerałowa spodziewała się powrotu jednego z tych, co ich wprzódę nawiedzili, weszła postać nowa, cale jęj n'e znana. Weszła, przystanąła na progu, popatrzyła na jenerała długo i wyzywająco a nie śmiejąc się dalej posunąć... dała znak, prosząc go, aby wyszedł. W półcieniu łoży Stanisław nie mógł poznać gościa, który był tak okryty i zakryty, jakby poznanym téż być sobie nie życzył. Gdy wyszli na oświecony korytarz i twarz nieznajomy odsłonił, rysy jęj przypomnialy się mglisto jenerałowi, jednakże nazwiska przypomnieć sobie nie mógł.

— Wszak się nie mylę — odezwał się nieśmiało po polsku przybyły — ukazując pod lampą rysy twarzy wychudłej, zmęczonej choć młodej, szlachetne, ale jakby ręką śmierci już napiętnowane — wszak się nie mylę, pan Stanisław Zbyski... który był w szeregach naszych w 1863... walczyliśmy razem... Widzę ze zdziwienia jego, że pan mnie sobie nie przypomina — dodał — bardzo to być może, blisko znajomymi nie byliśmy z sobą, aleśmy się spotykali w ogniu...

Podał mu rękę chudą, spotniałą i drżącą... jenerał wyciągnął swoją żywo, bo w téj dopiero chwili przypomnial sobie rysy, dziś niezmiernie chorobą i cierpieniem zmienione... człowieka, o którego się ocierał w czasie służby swój w powstaniu.

Był to młody urzędnik z Warszawy, którego w wojsku zwano Turem, milczący, odważny, zapamiętały w boju żołnierz. Opowiadano sobie historią jego, bo na głos kraju, wołającego swe dzieci, rzucił był posadę, z której żył, matkę staruszkę i narzeczoną, czule ukochaną. O swém poświęceniu, o sobie nie mówił nigdy, do żadnych rad wojennych nie należał, poszedł jako prosty żołnierz, bił się walecznie, nie skarżył nigdy na nic... i mówiono, że legł na tém samém pobojuwisku, na którym ranny śmiertelnie pozostał Zbyski. Sympatya mimowolna jakaś zbliżyła ich do siebie, ale rozwinąć się nie miała czasu i sposobności. Tur był małomówny, jenerał także, porozumiewali się oczyma, półsłowami, uściskiem dłoni.

Nieraz spoczywali u jednego ogniska i Stanisław z obojętniejszych rozmów poznał w Turze człowieka wykształconego a razem wielkiego, energicznego charakteru. Znać po nim było, że się czego innego w powstaniu spodziewał niż zastał, ale nie szemrał jak drudzcy, nie parł się do rady, stał z karabinem w szeregu i pełnił powinność.

Zimna odwaga, z jaką walczył, zamknięte usta, niezłomny ów charakter zyskały mu cichą przyjaźń Stanisława. Rozpoznawszy go teraz w chwili, gdy się jakiś niemikiej może spodziewał znajomości, jenerał radośnie zawołał:

— Tur! — i pochwycił w obie dłonie ręce jego.

Od dawna po raz pierwszy oko mu się rozśmiało .. Biedny człowiek, który lękał się może być odepchniętym, uśmiechnął się i łza a raczej pół-lezka srebrzysta zaszkliła mu w oku zapadłém.

— A! więczeście mnie poznali! Darujcie! nie mógłem się oprzeć chęci sprawdzenia, że was widzę i uściśnięcia waszój dłoni... Teraz... mogę już odejść — cieśzę się, że żyjecie, szczęśliwym, zem was oglądał.

— Czekaj pan — rzekł Stanisław, widząc, że mu się już wrywa — dwa słowa, nie puszcze was tak... powiedzcie mi co o sobie, bo, wierzcie mi, jam téż rad a bardzo rad, iż was widzę. Zostaliście dla mnie z tych ciężkich czasów prawie jedyném wspomnieniem miłém... o! ciężkie bo to były czasy!

— Jam was miał za umarłego! — zawołał Tur — jakżeście się potrafili ocalić?

Jenerałowi chmura na to wspomnienie czoło zasnuła.

— Nie pytajcie — rzekł — uczyńcie mi tę łaskę, nie pytajcie!! powinienem był umrzeć, straszny fatalizm chciał, bym żył. To dosyć. Mówcie mi o sobie.

— Ja także nie wiem, dla czego żyję, bom sto razy umrzeć był powinien. Cicho — szepnął pokaszlując Tur — ranny zostałem na owój łączce ślicznój, gdzieśmy pono oba padli. Miłosierne ręce zniosły mnie już prawie nieżywego do chaty włościańskiéj, gdzie skryty przeleżałem dni kilka... Zabrano mnie do dworu...

Ludzie litościwi wypchnęli mnie jeszcze z otwartymi ranami za granicę... Tu, już byłem prawie uratowany... bośmy wszyscy sądzili, że, raz z pod panowania Moskwy wyrwawszy się, znajdziemy za granicą tę u cywilizowanych ludów wolnych współczucie, pomoc, opiekę. Uśmiechnął się gorzko.

Odezarowanie było bolesne. O ludy obce już mniejsza; w tém, co się zwało niegdyś Polską, co było ojczyzną, zdumieni natrafiliśmy na wzgardę prawie, na gniewy, na dziką niemal nieczułość. Obchodzono się z nami jak z winowajcami, co kraj na nieszczęście i zagładę narazili... Trzeba było uciekać z Polski... W Niemczech znaleźliśmy cyniczną obojętność, która nieszczęśliwym patrzała w dłonie... czy mają czém gościnność zapłacić... pchano nas chorych, nagich, zrozpaczonych dalej a dalej, do Szwajcaryi. W Szwajcaryi były serca ale chleba nie było... Francya mruczając i niechętnie przyjmowała kontrolując rany i skąpiąc jałmużny. Jak tylko wróciły mi siły, począłem pracować — mówił po cichu Tur — robiłem, co tylko mogłem robić, byle daremną nie żyć jałmużną... Ale trzeba się było uczyć języka, pracy, ich chleba nawet i strawy... klimatu i ludzi, rzemiosła i idei epoki. Świat nas otaczał inny, nowy, nie ten, któregośmy się spodziewali, smutniejszy stokroć niż marzyć było można... Cóż chcecie? byłem we Francyi fotografem, kramarzem, konduktorem na kolei, nadzorcą przy gościńcu... introligatorem... stola-

rzem... nie mi nie szło... tęsknota dobijała... Powiedziano mi... idź tam, do Galicyi, znajdziesz pracę, opiekę, braci, chleb i powietrze swoje... i—

Tu się opowiadający zatrzymał nagle, w oczach łąza się kręciła.

— Resztę — rzekł — dopowiem inną razą... reszta nie ciekawa... musiałem ujść z Galicyi i oto jestem w Wiedniu, starając się jeszcze o wyrobienie pozwolenia pobytu, choć wiem — dodał — że pobyt ten będzie pasmem zawodów i rozczarowań. Ale na swojej ziemi cierpieć jakoś lżej i znosić, co los zesze, toć obowiązek... Jestem w Wiedniu dla téj sprawy, która mi idzie opornie... Niemcy, jeszcze jak Niemcy, pozwoliliby oddychać powietrzem naszém, ale rodacy... Ci się tak boją téj rewolucyjnej emigracyi, że gdyby nie wstyd, skazaliby ją całą na wytępienie głodem... byle się pozbyć raz na zawsze. Wszystkoby to niczém było—rzekł w końcu Tur — ale mi się zdrowie popsuło, miałem w piersiach rany... pierś choć zgojona osłabła... kaszlę... czuję się bezsilnym. Może to przejdzie...

Jenerał, który z zajęciem słuchał, nie mógł go tak puścić. Czekał — rzekł — za chwilę kończy się teatr, siadź w naszej łoży, przedstawię cię mojej żonie, a potem musicie z nami pojechać na herbatę, tam pomówimy obszerniej... Wielu rzeczy pragnąłbym się od was dowiedzieć. Ale naprzód uprzedzić muszę, żona moja

jest Rosyanka... nie przeszkadza jój to mieć uczucie sprawiedliwe dla Polski — możecie mówić śmiało...

Wciągnięty do łoży, zaprezentowany Maryi, Tur tłumiąc, jak mógł, odzywający się kaszel, siadł w kątku i zadumany pozostał do końca. Wyszli więc razem, a powóz, oczekujący u drzwi, zawiózł ich do hotelu Munscha. Ubrany ubogo, ze swą twarzą wybladłą i schorzałą Tur wydawał się paradnej służbie hotelowej jakąś bardzo dziwną postacią, nie bywałą w tych sferach. Późno już było, gdy podano herbatę... Widząc męża ożywionym, wesołym prawie, Marya, która czuła za to wdzięczność dla nieznanego, podwoiła dlań uprzedzającej gościnności.

Tur po długich walkach z chłodem ludzi, do których zbliżyć się musiał, uczuwszy tu trochę życzliwości, ożył jakby na nowo. Smętna twarz mu się uśmiechnęła... zapomniał o tém, co go czekało za progiem.

W pierwszej chwili Marya i mąż jój przyznali się zaraz, iż mają myśl udania się do Galicyi. Spojrzeli pytająco na tego, który z tamtąd powracał, ale Tur nie zebrał się ani na odpowiedź, ani na radę żadną. Nie chciał zachęcać ani zrażać.

— Znacie państwo tę prowincyą? zapytał po namyśle.

— Dosyć, że jest polską, odezwała się generałowa. Przecież Polska, która na rozewiartowanie się skarży,

jakimś jednym wszędzie charakterem, myślą, obyczajem łączyć się musi.

Tur nie mówił nic — ale milczenie jego mówiło bardzo wiele.

— Państwo możecie być pewni — wyjąknął naraz widząc, że od niego wymagają odpowiedzi — że tam będziecie dobrze przyjęci. Nic to nie dowodzi, że ja, że my, odarci, ubodzy z nieufnością, ze wstrętem, z obawą, ledwie się tam po cichu wkraść możemy. Ubóstwo naprzód źle zawsze uprzedza, w ubogim zaraz domyślają się rewolucjonisty, któryby wszystko chciał wywrócić, aby na tém coś skorzystał. Majątek, stósunki, imię każą przebaczyć nawet to, że się służyło powstaniu... W szeregach terażniejszych Stańczyków ci, co najzjadliwiej pluja na nas, wszakże mają jeszcze na rękach blizny od kajdan ołomunieckich... ale ich blizny są szlachetne, a nasze rany są podłe! — Tam imiona, majątki... pewne rękojmie są potrzebne... bardzo. Z niemi nic nie przeszkadza osiedlić się, żyć, mieszkać spokojnie... bez tego trudno... Państwu zapewne nie zbędzie na stósunkach, na protekcji a w ostatku na majątku, który za nie starczy.

— Stósunków nie mamy żadnych, odezwał się generał — nie znamy tam nikogo, nazwisko, które noszę jest pożyczonem...

— Ale papiery w porządku być powinny — rzekł Tur... Zresztą pojechać tam zawsze można, nigdy tylko

nie ma pewności, że jutro fantazyja urzędnika lub denuncyacya nie wygna.

— Ależ sympatya kraju... zawołała generałowa.

— Sympatya kraju — rozśmiał się nieznacznie gość — wieleby to o tém mówić trzeba. To, co stoi najwyżej a co nawet polskiém się mieni, ma największą sympatyą do świętego spokoju i do Thiers'owego: Chacun chez soi, chacun pour soi — Galicyanin jest zazdrosny i Polak z innych prowincyi uważa się tu za obcego. Małeńkie gronko ludzi innych jest zasad i uczuć, ale ono może tylko protestować po dziennikach i wołać o pomstę do Boga... w kraju mało ma siły...

Nie ludźcie się państwo, dodał — licząc na schronienie miłe w tym kraju niegdy polskim... a dziś galicyjskim... Obowiązek każe choćby cierpieć między swoimi, więc się tam iść musi i cierpieć bez szemrania powinno...

Nie było to bardzo pocieszajacém, co mówił Tur, ale można go było posądzić o gorycz i przesadę.

Rozmowa zwróciła się potém na inne przedmioty. Jenerał, wzięwszy na stronę biednego emigranta, usiłował wybadać, czy mu w czém użytecznym być nie potrafi — odebrał wszakże odpowiedź grzeczną, chłodną, która dalej iść nie pozwalała. Mówili jeszcze o biednym poecie zmarłym w Neapolu, który był w Galicyi znanym i z którym Tur się spotykał. Wieczór

zszedł przyjemnie, a Marya bojąc się, by im ten szczęśliwie pochwycony gość nie uszedł, zmusiła go odchodzącego już, by przyrzekł być nazajutrz...

Wszakże to, co mu się mimowolnie z ust wyrwało o kraju... dało wiele do myślenia obojgu, generał posmutniał... zawahał się...

Jedna okoliczność wszakże zmuszała go posunąć się dalej. — Po dosyć długo ostygłych stósunkach z matką odżywszy nieco Stanisław napisał do niéj, oznajmując o przybyciu do Krakowa... Pułkownikowa uszczęśliwiona, odżywiona odpowiedziała mu, że choć słaba... przybyć musi tam, ażeby go uściskać.

Można sobie wystawić, jak biło serce macierzyńskie, gdy ten syn, którego zwała umarłym, wstał dla niéj z téj ciszy grobowej i na nowo miał się jéj żyw, kochający ukazać. Z inném uczuciem oczekiwała Marya Pawłowna widzenia téj, którą matką nazywać miała prawo; lękając się i pragnąc razem spotkania z nią i rodziną, której chciała przedstawić się godną...

Stanisław wreszcie oderwany od tak dawna od swoich, na chwilę dla nich zobojętniały — powracał z podwojoną tęsknotą, z odrodzonym uczuciem dziecięcym. Marzył już o spotkaniu tém z matką... o przejednaniu z nią, o długich wieczorach, które na opowiadaniu przygód spędzić mieli.

Czekał już tylko w Wiedniu na oznajmienie, gdy matka przybędzie do Krakowa... Powrót do dawnych

związków i życia dawał się czuć w nim całym, a Marya Pawłowna w duszy cieszyła się pomysłem swym, którego skutkiem był ów szczęśliwy list do matki i jaśniejsze czoło męża... jakiego dawno nie oglądała.

Dnie spływały w Wiedniu na wycieczkach, w których im teraz na przemiany książ i Tur towarzyszyli. Nizin nie pokazał się tak prędko. Sprzeczniejszych dwóch natur ludzi nad Rosyanina tego i Polaka spotkaćby trudno; były to téż dwa skrajne typy narodowości, zamykające w sobie cały zasób ducha i tradycyi obu plemion, wyszłych z jednego pnia a żywionych całę różnemi sokami. Stanisław i jego żona, oboje oswojeni i obyci obcowaniem z najsprzeczniejszemi objawami charakterów i przekonań, umieli cenić lub znosić i książa osłonięgo tajemnicą i poczciwego Tura, nieumiejącego się ukryć z żadném wrażeniem i myślą; starali się wszakże dla nich samych uniknąć spotkania. Jenerał przestrzegał dawnego towarzysza broni o petersburskim znajomym, któryby dlań mógł być niemiłym, a książowi powiedział otwarcie, iż jako Polak ma znajomości polskie, na których spotkanie nie chciałby go narażać.

Tur jak najmocniój prosił, żeby mu naznaczono godzinę pewną, by się z nieprzyjacielem nie zetknął. Książ przeciwnie oświadczył, iż ciekawymby był choćby

trochę porozprawiać z takim zagorzałym Polaczkiem. Do tego jednak generał ani chciał ani mógł dopuścić.

Udawało się też przez kilka dni jak najszcześliwiej, a że Tur nie narzucał się wcale, o niego nie było obawy. Inne a niespodziane spotkanie groziło im w chwili, gdy się tego ustrzedz chcieli. Korzystając z pięknego wieczora, pojechali na Prater i przebywali główną ulicę powoli, gdy powóz ich skrzyżował się z drugim, w którym siedział mężczyzna i kobieta, bardzo niesmakownie a wykwintnie przystrojona. Oboje mieli oczy zwrócone w przeciwną stronę, tak że osób dostrzedz nie mogli, ale mężczyzna jadący na widok ich porwał się aż z siedzenia, ręce złamał z wyrazem podziwienia i dziękiéj jakiéjs radości, rozśmiał się, rzucił w głąb zakrywając, a wyminąwszy jeneralstwo, począł żywą rozmowę z woźnicą, nakłaniając go datkiem i prośbą, aby zawrócił i z oczów nie spuszczał wskazanego powozu, jadąc za nim póty, póki by się przy hotelu jakim nie zatrzymał. Kobieta towarzysząca temu jegomości napróżno ciągnęła go za rękaw od płaszcza i badała, chcąc się od niego coś dowiedzieć, mężczyzna wcale się o nią nie troszcząc i nie czyniąc z nią ceremonii, póty się nie uspokoił, dopóki nie postawił na swoim. Naówczas ukrywający się w powozie z miną rozradowaną, począł ręce zacierać, mrużyć coś sam do siebie i nawet podśpiewywać.

Wytlómaczoném to będzie dla czytelnika, gdy mu powiemy, iż tym jegomością był niezbyty Arsen Prokopowicz, którego przeznaczenie zanosło właśnie na tę chwilę do Wiednia. Czcigodny członek komitetu zarządzającego, odkarmiwszy się już dobrze na pensyi i wyderkafach królestwa, jeździł tego lata za urlopem do Baden. A że tęsknoby mu było samemu długą podróż odbywać i trudnić się wszystkimi szczegółami podróży, uznał właściwém pożyczyc sobie za gospodynią pewną panią aptekarzową z Leszna, z którą był zrobił znajomość czułą. Osoba nie była ani nazbyt młoda ani bardzo ładna, ale śmiała, rezolutna, okazała i jak na swój stan wykształcona. Arsen Prokopowicz bywając w jéj domu (owdowiała bowiem od roku) nałogowo przywykł do jejności, którą żaden skrupuł religijny nie wstrzymywał od zamążpójścia za Rosyanina, ku czemu téż zmierziała. Z nią odbywał przejażdżkę tę urzędnik... Na szturmujące zapytania towarzyszki, coby to wszystko znaczyło, p. Arsen odpowiadał zżymnięciem ramion tylko i ruchem ręki dla pozbycia się natrętnój. To do was nie należy, rzekł, to moja osobista sprawa! Puściaki! daj mi pokój...

— Ale w powozie tym siedziała kobieta... przerwała aptekarzowa.

— No, choćby i tak? nie mam potrzeby się tłómaczyć, ani wy się macie czego obawiać... to rzecz polityczna.

Aptekarzowa dąsała się, ruszała ramionami, nic to nie pomogło, pojechali tak aż do hotelu Munsch'a a Arsen Prokopowicz przekonawszy się, że tu wysiedli, doróżce kazał do domu powrócić. Trzeba mu się było namysleć, rozsmakować w tém, jak cieniem Banka miał się znowu zjawić przed Maryą Pawłówną i jój mężem. Wystawiał sobie już, jakie na nich uczyni wrażenie... jaki cios zada ludziom już uspokojonym... Dla takich istot jak Arsen zemsta jest przysmakiem, który radzi-by przyprowadzić z całą sztuką gastronomiczną, smakoszków. Dla tego miły człowieczek chodził, robił plany — wahał się, osnuwał coraz nowe i nie wiedział sam, jak ma się zjawić we dnie, nocą, gdy będą w miejscu publiczném lub sami...

Aptekarzowa, której głosu nie słyszał, łajęła go tymczasem, podejrzewając o jakiś spisek miłosny; pokazywała mu zdala kulaki, klęła niewiernego i nie czyniła na nim najmniejszego wrażenia. Już zabierała się płakać, gdy Arsen, któremu to przeszkadzało, wylał ją na sposób, czysto rosyjski i obudził gniew, który doszedł do paroxyzmu takiej kłótni, iż piękna jejmość zaczęła się pakować do drzwi, czemu Arsen nie przeszkadzał... Jednakże ostateczne rozwiązanie odroczone zostało, Eleonora Herte zamknęła się w swym pokoju, a oswobodzony urzędnik zasiadł przy groku zimnym, który sobie nalał do ułożenia scenario swego dramatu.

— No! już to sobie przyznać muszę — mówił w du-

ehu — że jestem w nieszczęściu szczęśliwy jak rzadko. ... Niby się mi nie wiedzie — ot, ot, szala przechyła, mam lecieć głową na dół ... wtém niewidzialna ręka mnie podtrzyma i jeszcze przysmaczek podstawi... Kto by się był spodziewał po téj zdradzie i wywiezieniu mnie, że ja się wydobędę, dostanę do l'olski i réj im wodzić będę, a potém spotkam moich wrogów... żeby się na nich słodko zemścić. Ale tu! rozum miéj! Arsen Prokopowicz! tu dopiero sztuka, co zrobisz... jak ty mi się pokażesz?... Ostrożnie, żeby nie spłoszyć! Tobie pilno, ja wiem, — ciebie prze polecieć — pokazać się, napoić zemstą, ale żeby dobra była jak wódka — musi postać!!

Arsen chodził, pił, myślał, pięścią stukał we drzwi, po za któremi słychać było płacz aptekarzowej przeszkadzający mu nieco.... brał się za głowę.., siadał, wstawał, kładł a nic jakoś nowego i efektowego wydumać nie mógł. Gniewał się sam na siebie. — Bał się przy tém, ażeby mu jego ofiary nie uszły, boć mogły niespodzianie wyjechać z Wiednia. Wziął więc kapełusz, nasunął go na oczy i poszedł na zwiady do portyera hotelu, którego ułagodził naprzód wspaniałomyślną ofiarą 10 złotych w. a., a potém zaciągnąwszy do jego izdebki, rozpytał, kiedy przyjechali ci państwo, co robili, kto u nich bywał i jak prędko prawdopodobnie wyjechać mieli... Dowiedział się, czego pragnął, a co więcej, ponieważ jeneralstwa nie było w domu, dane mu do obej-

rzenia zostawione dla nich bilety wizytowe kniazia, Nizina i Polaka, który się Turem nazywał... Dowiedziawszy się godzin, w których wstawali, przyjmowali, wyjeżdżali z domu, kiedy byli razem lub sami — Arsen podziękował szwajcarowi i zniknął. Po drodze plan już był osnuty... Prawdę rzekłszy, obawiał się nieco jenerała, który rozgniewany mógł nie być łagodnym, daleko mniej kobiety, o której łaski teraz wcale nie dbał, pragnąc tylko pomścić się na niej. — Ponieważ Stanisław zwykle sam wychodził rano a pani zostawała w domu, Arsen postanowił nazajutrz oddać jej, jak nazywał, czolobitność.

Wrócił do domu spokojny o swoją aptekarzową, że choć się pakuje, nie wyjedzie pewnie. — Zastał ją téż na kuferku siedzącą, więcej gniewną niż zmartwioną, pożartował obojętnie i cofnął się do swego pokoju na herbatę z rumem.

Noc przepędził niespokojny, nie mogąc usnąć do rana; jakkolwiek człowiek wytrawny namiętym był, gdy mu się wyrządzenie zła komu nadarzało... Nic go już teraz tak nie poruszało jak to żółciowe zemsty nasycenie... Śmiał się ciągle na samą myśl wrażenia, jakie wywoła... a gdy nadedniem usnął, marzył o rozmowie z Maryą Pawłówną. Głęboko potém i twardo zasnąwszy znużony, nie zbudził się aż dobrze około południa i przestraszony, by mu chwila sposobna się nie wysliznęła, ubrał się na prędce, biegnąc do Munsch'a.

Drzwi i numer szwajcar mu ukazał, meldować się nie chciał, wiedział, że zastanie we wspólnym saloniku generałową przy śniadaniu, które późno dla niej podawano. Pilno mu tak było, iż nie zapukawszy otworzył drzwi i wpadł krokiem nadto żywym na, tak we wszystkiém obrachowanego człowieka.

Nie mylił się, Marya siedziała z książką sama jedna przy herbacie a sądząc, że wszedł kelner, nie podniosła nawet oczów. Dopiero suchy, stłumiony śmiech szatański Arsena Prokopowicza przebudził ją, spojrzała i przerażona zjawiskiem upuściła filiżankę, książkę, obaliła krzeselko, cofając się co najdalej od człowieka, który cichym ku niej zbliżał się krokiem...

Na twarzy jój znać było wstręt, gniew, obawę zmieszane razem. Obląkana prawie w pierwszej chwili szukała machinalnie w powietrzu, po ścianach dzwonka, którymby kogoś w pomoc przywołać mogła.

Nie mówiąc słowa Arsen kłaniał się i przysuwał coraz bliżej, milczeniem tém dręcząc może więcej niż najboleśniejším szyderstwem...

Wybuchnął nareszcie śmiechem stłumionym, kłaniając się do ziemi.

— Do waszych usług, Maryo Pawłowno... stary znajomy...

Nie odebrawszy odpowiedzi — zawołał nieco głos podnosząc.

— No cóż? nie gracz? ot! wrócił z oddalonych

gubernii, dostał już od téj pory Annę z gwiazdą... i dobre miejsceczko i cały i zdrów... i nic mu... a wam Maryo Pawłowno? a wy? no jakże się powodzi?

Błąda, z wargami drżącemi, walcząc z sobą, ażeby mu nic nie odpowiedzieć, Marya nie spuszczała go z oka, ręką wciąż jeszcze szukając dzwonka... Ruchu tego nie umiał sobie wytłómaczyć domyślny Arsen Prokopowicz, wiliział tylko, że do szaleństwa przestraszył — to go cieszło.

— Ani słóweczka! stary więc sługa i przyjaciel nie posłszy nawet głosu Maryi Pawłownej! — Czyżby się gniewać miała? A toż gniewby słuszniej przypadł temu, kórego wy wystrychnęliście na dudka... no! a przecie, dobry chłopiec, jak tylko się dowiedział, że wy tu jesteście w Wiedniu, przybiegł zaraz pokłonić się...

Na stach jenerałowej drżał od dawna jeden wyraz, któr nareszcie zdołała wymówić spazmatycznie, gwałtownie, ruchem ręki ukazując mu drzwi.

— recz! precz!

Druą ręką chciała pochwycić dzwonek, który znalazła u ziany, gdy uderzenie krwi z gniewu osłoniło oczy, zagliło źrenicę, odjęło mowę i Marya Pawłowna padła ja martwa na ziemię skronią o ostry mur... krew brzęła...

Na widok téj niespodzianéj katastrofy Arsen Prokopowicz przeląkł się, czując, że w proces krymi-

nalny wmięszanym być może, i już się cofał do drzwi, chcąc uciekać, gdy te się otwarły, generał stanął w progu, jednym rzutem oka zmierzył salon, zobaczył leżącą na ziemi żonę, stojącego wybladłego ze strachu Arsena i bez namysłu oburącz chwyciwszy za piersi nikkczemnika, który składał dłonie, nie mogąc słowa wymówić, cisnął go przez otwarte jeszcze drzwi nawschody. Łoskot spadającego z pierwszego piętra człowieka całą służbę hotelową wywołał.

Jenerał klęczał już przy żonie, z której zola lała się krew... oczy jój były otwarte, usta skrywione... słowa wyrzec nie mogła... widoczne było uderzenie apoplektyczne... Nadbiegającego sługę posłał po doktora, tymczasem Stanisław uniósł ją na rękach i złożył na kanapie, tamując, jak umiał, krew ucbdzącą.

Wszystko to stało się w mgnieniu oka. Arsen Prokopowicz potoczywszy się głową na dół po wchodach, potłukł okrutnie a w dodatku, nim się ciekwej służbie z rąk wydostał, dowiedziano się, iż na órze zaszła jakaś napaść i walka, i ten sam szwajcar, który wczoraj dostarczył szczegółów Arsenowi Pokopowiczowi, teraz go oddał w ręce policyi.

Doktor znajdował się nie daleko, nie upłynęło więc kwadrans, gdy nadbiegł. Jenerał w dwóch słwach powiedział mu, iż żona jego przestraszona została i rozgniewana napaścią łotra dawno im znanego i padła tknięta, jak się zdawało, apopleksyą. Puszczono krew

natychmiast, obandażowano skroń, lekarz wszakże oświadczył, iż skutkiem uderzenia pozostał paraliż, którego kuracya musiała być stopniową i powolną. W istocie Marya Pawłowna mówić nie mogła wcale, straciła władzę... a zbadać było trudno, czy jój została przytomność...

Piorun ten w chwili, gdy lepsze nadzieje przyszłości zdawały się przyświecać — znowu Stanisława pogrążył w niemym smutku dawniejszym. Szczęściem teraz dlań było towarzystwo Tura, który sam chory, za ledwie dowiedziawszy się o wypadku, stawił się do usług Stanisława, nie chcąc go na chwilę odstąpić. Teżoż samego dnia Nizin i kniaź dowiedzieli się o słabości jenerałowej i zostawili swe karty... Wiedeń dosyć jest plotkarski, tajemnicza więc owa historia ranna z komentarzami odgadywanemi rozmaicie rozeszła się po mieście. Policya, że się nie od Arsena Prokopowicza dowiedzieć nie mogła nadto, iż był rzeczywistym radcą stanu i kawalerem orderów a urzędnikiem na urlopie, odgrażającym się skarżyć do ambasady, udała się po objaśnienie do jenerała.

Jenerał powiedział całą prawdę, nie schodząc do niepotrzebnych szczegółów, oświadczył, iż człowiek ten był mu wrogiem, że w niebytności jego napadł żonę, którą gniew i oburzenie przyprawiło o upadek i chorobę życiu zagrażającą — co lekarz mógł poświadczyć; był więc w swém prawie w przystępie gniewu pozbyć

się go wyrzuceniem za drzwi. Dodał, iż napaści poszukiwać, nie myśli i prosił, aby napastnika wypuszczono. Po zasięgnięciu objaśnień w poselstwie, gdzie Arsen Prokopowicz miał przyjaciół i znajomych, uznano właściwem rzeczywistemu radzcy stanu kazać we dwadzieścia cztery godziny z Wiednia wyjechać... Wysmarowany, okryty plastrami, przeklinający świat cały, odgrając się ze straszliwą zemstą, Arsen Prokopowicz czule i troskliwie opatrywany przez aptekarżową, wyruszył natychmiast cichuteńko do Pragi, gdzie pod Niebieską Gwiazdą postanowił się ostatecznie wyleczyć, nim do Warszawy powróci.

Policya chciała także generałowi nakazać wyjazd z Wiednia, lecz świadectwo lekarza i list rekomendacyjny, z którym generał dopiero teraz pojechał do kanclerza, zapobiegły spełnieniu wyroku.

Ażeby się uchronić od oczów ciekawych i natrętnego sług szpiegowstwa, Stanisław, jak tylko chorą przenieść było podobna, wyjechał na prywatne mieszkanie w cichej ulicy... które poczciwy Tur, znający dobrze już Wiedeń, wynalazł z łatwością.

W pierwszych zaraz dniach po katastrofie generał napisał do matki, nie tając nic przed nią i prosząc, aby się ze swą podróżą wstrzymała. Jechać do Wiednia pułkownikowej było za daleko przy słabém i nadwątloném jéj zdrowiu, cóżby tu zresztą robiła przy łożu choréj bez nadziei, nieméj i bezwładnéj synowéj?

Przywołano lekarzy, nie brakło największej troskliwości, ale siły były wyczerpane długimi cierpieniami poprzedniami, które system nerwowy osłabiły; kuracya więc szła z trudnością wielką i postępy były mało znaczące... Po kilku tygodniach osiągnięto przecie tyle, że chora odzyskała mowę, acz z wielką trudnością po kilka słów cichych mogąc wyrzec powolnie, i ruch a władzę w jednym ręku. Pozostał jój wszakże strach i rozdrażnienie, najmniejszego nie znoszące szelestu... a nawet głośniejszego słowa... Jenerałowi lekarze nie powiedziec nie chcieli, Turowi wszakże wyznał doktor S..., iż najmniejszej nie było ocalenia nadziei, że słabość przeciągnąć się tylko mogła, ale zdrowia przywrócić nikt się nie spodziewał.

Mówiono o jakichś wodach na wiosnę, jeśliby do wiosny się nie pogorszyło. Sama chora zdawała się znać ten swój stan, gdyż zaledwie uczuła się nieco lepiej, zakłęła męża, aby jój dozwolił rozporządzić prawnie tém, co posiadała... wymagając od niego przyrzeczenie przyjęcia zapisu ocalonego mienia. Dobra w Rosyi, których jój prawo pozbyć się nie dozwalało, i tak przypaść miały rodzinie, chciała, by kapitały ze spieniężonych majątności własnych, domów i klejnotów dostały się mężowi. Potrzeba było zakłęć i względów na jój zdrowie, aby skłonić jenerała do przyjęcia téj ofiary. Nie mogąc mówić, pisała ołówkiem, nieustannie przynaglając i modląc o to jak o łaskę... A że doktora ta-

kże wciągnęła do swego spisku i przez niego sprowadziła potajemnie prawnika, testament prawie bez wiedzy męża został spisany. — Nie umrę inaczej spokojna — napisała Stanisławowi — i na drugim świecie męczyć się będę, jeśli nie poszanujesz méj woli. Moja ojczyzna pokrzywdziła⁷ twoją, niech ja choć w cząsteczce dług ten spłace, abym z niej zdjęła to przekleństwo, którém ją obarczać musicie.

Z wielką téż trudnością, powoli, pisząc noty do testamentu, dokończyła go temi słowy: — Przekazuję ci jako cel życia, kochany Stanisławie, abyś wszelkiemi starał się środkami dwa nieprzejednane kraje w imię Chrystusa, w imię braterstwa, w imię miłosierdzia nakazanego prawem Ewangelii zbliżyć ku pojednaniu. Nie żądam, byś się wyrzekł twych uczuć dla Polski, wiem, że to nie podobna, chcę, byś po Chrystusowemu umiał przebaczyć zaślepionym nieprzyjaciołom, bo nie wiedzą, co czynią .. Pomnij w każdój życia chwili, że ja się modłę i proszę o miłość i przebaczenie dla méj braci. . Nie taj prawdy im, nie zapieraj się Polski, ale nie miéj nienawiści dla tych, których nazywasz katami. Któż więcéj miłosierdzia potrzebuje nad tego, kogo Bóg uczynił oprawcą własnéj braci, kto więcéj nad obłąkanego, który się sądzi rozumnym?

Z całego postępowania jenerałowéj mimo upartéj choroby i bezwładności widać było, iż nie postradała przytomności, pamięci, że nienaruszone władze umysłu,

owszem żywiój jeszcze pracowały, gdy ciało dogorywało...

Ostatnie chwile były dla niój jakby rozjaśnionym wieczorem po burzy, jakby pogodnym słońca zachodem... modliła się, kazała sobie czytać, pisała po słów kilka... a najczęściej wyzywała męża, aby jój coś z przeszłości opowiadał... Tur, który się stał domownikiem ich, przypuszczanym był czasem do pokoju chorój siedzącej nieruchomie w fotelu... Pomimo cząstkowej bezwładności twarz Maryi przybrała dziwny wyraz spokoju, jaki czasem zbliżanie się śmierci zwiastuje... Wypiękniała prawie... czoło wygładziło się, usta zdawały uśmiechać... znużona pół dnia była jakby uśpioną, choć słyszała wszystko, co się koło niój działo. W tym stanie, raz wieczorem, gdy ją sądzono uśpioną, generał usłyszał lekkie westchnienie i nieruchomy pozostał na czatach, nie chcąc jój przerywać spoczynku. Dopiero po godzinie dotknięcie jój zimnej, skostniałej ręki zrodziło wątpliwość i przestach... Przyniesiono światło, przywołano lekarza... Marya Pawłowna nie żyła...



Nie smutniejszego nad widok tych miast, które swą wielkość przeżyły. Tam, gdzie przeszedł oręż oszalałego zwycięzcy i gród obrócił w perzynę, ruina zachowuje majestatyczną swą wielkość i skarży się wie-

kom przyszłym na dokonaną nad nim zbrodnią... Lecz biada grodom, które życie ustępujące z nich powolnie na długie, mizerne konanie skazało. Stei tam wszystko, co mieściło w sobie potęgę, co było życia skorupą, w czém grały siły przed laty zwycięskie, ale głązy te, mchem i pleśnią, a prochem i kałem okryte, urągają się przeszłości... Czepia się do nich znędziała rzeczywistość, lepi do nich jak jaskółcze gniazdo życie powszednie, chciwość wyrzywa cegły, podłość ściery z marmurów pamiątki... Kostnieją, członki rozpaść się nie mogąc i magni nominis umbra pozostaje z wieku na wiek świadectwem znikomości rzeczy ludzkich... Zamki bez królów, kościoły bez kapłanów, pałace bez panów, chaty bez ludu, ulice zarosłe i kałużami zaplwane a na tém wszystkiém mrówia trochę skarłałego ludu, który się wielkim mniema jak chrząszcz w złotwiej skorupie... choć ona nie z jego krwi wyrosła... Z każdym dniem ściery się jedna tradycya i rodzi fałsz nowy na ruinach, co rok rozbija się jakaś ściana, by wpuścić nędzę tam, gdzie królował przepych... nareszcie robactwo rzeczywistości osnuwa, objada, szczyrbi, maże, póki z majestatu nie zrobi poczwarnego czegoś, co nie jest starém, nie będzie nowém, nie może być wygodném a piękném być przestało...

Do tego stanu, dzięki Bogu, jeszcze nie doszedł Kraków nasz, ów mały Rzym, owa polska Pompeja... stolica, nad której losami krwawemi łzyby płakać mo-

żna... ale kroczy ku upadkowi, jeżeli fantazyja losu nie tchnie weń życiem nowém.

Ze wszystkich majestatów, które mieścił w sobie Kraków, pozostały mu w kościołach majestat Boży, w akademii majestat światła i nauki, modlitwa i wiedza... Szyderstwo losu na modlitwie już kładzie znamię faryzejstwa, na nauce suchéj pedanteryi cechę. Dwa ostatnie majestaty je rdza powoli. Oprócz tego dwojga Kraków już nie ma nic. Na Wawelu ani Zygmunowskiéj sali o gadającym stropie, ani owych podwoi królewskich rzeźbionych dłonią, ani szczątka miejsc, gdzie obradowano, gdzie biesiadowano... Na ostatku przeszło oblężenie i wojna i wymiotły resztki...

W smoczéj jamie mieszkają nietoperze a gospodarują austriacy żołnierze, trzymając ją pod kluczem, aby z niéj nowy smok nie wypadł na państwo rakukskie. W ulicach tłumy żydów cheiwe, zwadliwe, nastliwe a brudne, pośród nich chodzą ludzie ruiny. Starzy czy młodzi, na wszystkich ich obliczach napisano... Baltazara głoskami ruina... Dzieci czuć już stęchlizną... W pośród tego upadku strzeli gdzieniegdzie na przekorę przeznaczeniu biała ściana otynkowana trupio, zimna, goła, straszna... przysięgłbyś, że z pustek pilno było komuś urodzić — więzienie. Cały bo Kraków uwięziony w ciemném kole fortów i wałów, ściśnięty, dusi się i tchnąć nie może...

Lud zdaje ci się złożony z żebraków, a mieszczań-

stwo z emerytów na łaskawym chlebie; wszystkie wielkości miejscowe wydają się nadbankrutowanymi... Nawet owe przystanie wesela, owe gospody dla gąb i gardeł stworzone, przypominają czegoś garkuchnie u wrót cmentarzy i szyneczki na drodze ku mogiłkom... Hotele nie różnią się wielce od więzień policyjnych... a ktoby o konfort i elegancją śmiał pytać, temu twarze odpowiadają — Memento mori. Jest to zdanie wypisane niewidzialnymi głoskami po wszystkich murach... wysadzone brukiem pod stopami twemi... w nocy pałające w okopconych gazowych latarniach...

Miasto to — wielkie cmentarzysko, po którym chodzą widma stękające. W duchu jego jest coś, co żyć przeszkadza i wierzyć w przyszłość nawet młodzieży, której téż skelety czynią wrażenie rzymskich przy biesiedzie — Carpe diem!

Taką jest zewnętrzna szata Krakowa... budzi ona poszanowanie razem i przestrach — ale dłużej tu pożyć potrzeba i robaczkciem wtoczyć się w stare mury, to się je kocha i oderwać od nich trudno... i umieraćby się tu chciało, bo żyć — za prawdę trudno.

Żywot Krakowa ma podobieństwo téż do życia starca na schyłku; albo drzemie w krześle lub łaje sługi i kłóci się z rodziną... Milczenie głucho, wśród którego strzeli paszkwil, skandal — i cicho znowu... Staruszek spoczywa...

Napróżno wiatr rzuci tu jakie młode nasionko,

któreby inném jak miejscowe życiem chciało się rozrósnać, w téj gęstej atmosferze zaduchy wiekowej błędnie kiełkująca roślina, zółknie, chyli się, więdnije, umiera.

Czujesz, że to szpital nieuleczonych... schronienie chromych na umyśle staruszków i kalek... Gdyby nic innego nie było... Czasby cię o tém przekonał. Stańczykowski bunt zupełnie téż wygląda na porwanie się dziadów i babek ze szpitala przeciwko księdzu proboszczowi... który po młodemu chce gospodarować, ale o tém — cicho — nie trzeba ran octem polewać.

Z tym swoim smutkiem, z tą żalobą swoją piękną jest jeszcze ten stary Kraków, a pełen świętości i pamiątek, które na nowym człowieku czynią wrażenie głębokie... Na Wawelu śpią królowie i bohaterowie: Zygmunt i Kościuszko, Łokietek i Kazimierz W. i ks. Józef Poniatowski; po ulicach znać stopy wielkich ludzi, choć je warstwa błota przykryła...

Gdzieniegdzie na murach, od świeżych pożarów okopconych, rozpaczliwej restauracyi synowskiej oznaki, pobożne ręce chciały przeszłość zatrzymać, odtworzyć, uprzytomnić i nią zasromać teraźniejszość. Ten wysiłek czuć w sercu widza, bo wspaniałość tych dziecięcych wieńców na rodzica trumnie odbija jaskrawo przy opuszczeniu reszty...

Dla podróżnego, który Krakowa nie widział w życiu, ta uszczuplona stolica, ten sarkofag Polski piasto-

wskiej i jagiellońskiej — jest czémś może w całej Europie jedyném. Inne już się w proch posypały lub nowém zakwitły życiem, ta skamieniała jakby i stoi a rzekłbyś — czeka na Polskę! I stawiając stopę na téj poświęconej ziemi, strach jaką relikwią nadeptać.

Z takim uczuciem średniego wieku mężczyzna, słusznój postawy, twarzy smutnój, wysiadał z wagonu jednego dnia roku zeszłego, rozpatrując się w gospodarstwie miejscowém, wcale do żadnego z zagranicznych niepodobném. Opuszczenie, zaniedbanie, biedne wynędzniałe twarze ludzi, straszne z oszarpanemi zaprzęgami dorożki — pozór nędzy ogólny a raczej jakiegoś zrozpaczonego nieładu; niemiecka mowa urzędników kolei—dziwniej tu brzmiąca niż wszędzie indziej—w osłupienie go niemal wprawiały... Dał się zabrać i wieść, nie mówiąc słowa, patrząc na wieże, na mury, na domy, na ulice, jakby go czarodziejska siła o dwa wieki w przeszłość nazad przeniosła. — Europy ani znaku, Polska... ale jakaś umarła... czekająca zmartwychwstania — odrodzenia...

Zawieziono go przed hotel... na ciasnój bocznej uliczce... Tu już mu Kraków znikł z oczów, bo na zapytanie ciche o osobę, która z Królestwa przybyć miała, odpowiedziano mu wskazaniem numeru, pod którym się znajdowała. Nie myśląc więc o niczém już więcej, rzuciwszy swe bagaże na łaskę służby, mężczyzna ów — poznajecie w nim jenerała—spiesznym krokiem pobiegł

na górę. — Tu w pokoiku skromnym ujrzał w krzesło siedzącą kobietę, raczej zestarzałą, niż starą, która otwarta na widok jego rękę, chciała wstać i zachwiawszy się padła mu na szyję z płaczem. Przez chwilę nie było słyhać nic, tylko cichy ten płacz i jakby modlitwę... Jenerał był wzruszony... i jemu łza płynęła z powiek na zółkłą twarz...

Z boku stała młoda kobieta, piękna, ale także ze śladami cierpienia w twarzy, nie śmiejąc się zbliżyć, — patrzyła, aż i jój od tego widoku na łzy się zebrało.

— Mój Staś, którego mi Pan Bóg powrócił! O! bądź pozdrowiony! bądź błogosławiony ty, coś o stariej matce sierocie pamiętał... I dość łez... bądźmy szczęśliwi!

Dopiero z uścisku matki, która się napowrót w krzesło osłabiona potoczyła — podniósłszy głowę, jenerał spostrzegł stojącą kobietę i poznał w niej Michalinę.

Podbiegł, milcząc jeszcze, pochwycił jój rękę i do ust przycisnął.

Rozmowę zacząć — od czegoż??

Myśl obojga snuła się około grobów... nie można było ust otworzyć, by o nie nie potraćić. Matka ocierała oczy, jenerał stał chmurny... W takich razach instynkt kobiecy umie obejść to, coby bolało, rzucając się na drobne szczegóły powszedniego życia, które od wielkich zaprzątnień odwodzą. Matka odezwiała się coś o mieszkaniu, o zmęczeniu drogą... o śniadaniu. Jene-

rał podziękował, oświadczył, że nic nie potrzebuje i że mieszkanie obiecano mu dać obok.

Wszyscy milczeli, bo każdy obawiał się dotknąć boleści pełnych wspomnień a niemniej boleściwej terażniejszości... Naostatek generał cichym głosem począł z uśmiechem dziwnym, smętnym o samym Krakowie i wrażeniu, jakie on na nim uczynił. W niektórych rzeczach przeszedł oczekiwanie, w innych obudził zdumienie upadkiem...

— Upadek... moje dziecko — odezwała się pułkownikowa — upadek to piętno nasze... Gdziekolwiek jeszcze Polska Polską została, tam ruiny... Gdzie znajdziesz życie, ruch, gdzie świeci nowość, gdzie płynie strumieniem złotym praca jakaś, tam ona obca, tam wynarodawiająca i niszcząca... Nigdzie w Polsce polskiego naszego nie ma ruchu i życia, a jeśli jest, to pożyczane i obce... bośmy nie swoi... Życie u nas, to kwiat na gruzowisku...

— A jednak, bądź co bądź, trzeba gdzieś na polską ziemię powrócić, choćby pod kościołem się przyszło — odezwał się generał — człowiek należy krajowi swemu... musi dlań i w nim żyć, choćby on go odpychał... O powrocie do Rosyi myśleć nawet nie mogę, szukam tu gdzieś schronienia.

— Ale potrzeba dobrze, dobrze się wprzódy rozpatrzyć — szepnęła po cichu Michalina — bo, ja nie wiem, ale z tego, com słyszała... co mówią...

— O! ja się téż ani bardzo gościnnego przyjęcia ani miłych chwil tu nie spodziewam — odezwał się Stanisław. — Położenie moje pogarsza to, że muszę dla wszystkich być Melchiorem Szarlińskim.. Zresztą nikogo tu nie znam.

— A ja bardzo mało kogo — odezwała się pułkownikowa. — Z dawnych moich stósunków nie wiele na świecie zostało...

— Niech się mama o to nie troszczy — dodał jenerał — dla mnie trocha walki z życiem, trudności do przełamania, niepowodzeń nawet są dziś potrzebne... Na piersi cięży mi tyle, tyle, o czémbym rad zapomnieć...

Westchnął, Michalina spojrzała nań pobieżnie i zwróciła się ku oknu. Matka nie mówiła nic, spojrzała na żalobę, którą jenerał miał na sobie, potrzebowała go pytać, nie śmiała... Spotkanie to z razu, mimo wewnętrzznego uspokojenia, smutek w duszach posiało... Stare, przeżyte bóle się odzywały. Po chwili Stanisław wyszedł pod pozorem przebrania a Michalina podbiegła do bladój pułkownikowój, widząc, że znowu płacze.

— Co się z nim stało przez te lata! — odezwała się matka — co ten człowiek duszą i ciałem musia, przebyć i przecierpieć! jak się on zmienił! jak zestarzał! A gdyby zajrzeć do głębi, co tamby się znalazło... Dziecko to moje — a nie mogę powiedzieć, bym je

znała, nie wiem, jak mówić do niego... lękam się za-
drasnąć.

— A! droga pani moja — zaczęła cicho Micha-
lina — to pierwsza chwila wrażenia... Niech się pani
nie trwoży... znajdzie się wspólna myśl i zrozumiały je-
zyk... Tak! na tym człowieku znać cierpienie, jakby
znać było, gdyby go dziki zwierz podrapał... Przecież
ni mógł on stracić ani polskiego uczucia ani uczucia
dla Polski.

— Moje dziecko... tyle lat z tą kobietą...

— Przecież nie była ona dlań złą żoną... a jako
kobieta dowiodła takiej stałości uczuć —

— O! ty jój pamięci bronisz zawsze — odezwała
się pułkownikowa — ani téż ja ją potępiam. Biedna,
nieszczęśliwa była... a wierna poślubionemu uczuciu do
zgonu... Żal mi jój — płakałam po niój, modłę się za
nią, a jednak — jednak — przyznaję się do grzechu...
Lżej mi się zrobiło, gdym się dowiedziała, że umarła.
Ciężyła mi ta jój ofiara dla mojego syna... bałam się
wpływu... któż i teraz wie, co te lata zrodziły... Wszakci
my, cośmy podobnym nie ulegli codziennym wrażeniom,
czujemy na sobie, że coś w nas jest zmienionego a widzi-
my, że cały niemal świat się przeobraził w oczach naszych
po téj katastrofie! Cóż dopiero on... który się wyrwał
z płonącego stósu popalony...

Mówiła staruszka po cichu, jakby się lękała, aby
kto głosu jój nie podsłuchał. Michalina nie przerywała

jéj. W istocie téż trudno jéj było co dorzucić do tych myśli, których uznawała trafność.

— Po trzydziestym — mówiła pułkownikowa, nieco się uspokajając — było na chwilę coś podobnego, ugięły się dusze, ale natychmiast podniosły. Duch narodu był jeszcze sprężystszy... dziś... o biednej Polsce jak o wielkiej winowajczyni nawet wspomnieć nie można. Polska winna, że ją tak szalenie kochały jéj dzieci... aż do nierozumu, ona winna rewolucyi, ona zgrzeszyła szaleń, ona popełniła samobójstwo to ostatnie. I odpryśli od niéj nawet ci, co ją dawniej kochali gorąco...

— A! powrócą! powrócą! — zawołała Michalina. — Ja zresztą tego tak strasznego, ogólnego odstępstwa nie widzę... W Królestwie cale się ono czuć nie daje tylko na najnikczemniejszych istotach... Dopiero tu w czasie kilkodniowego pobytu w Krakowie natrafiłyśmy na to szyderstwo z miłości ojczyzny, na potępienie świętego uczucia, na apostatów, co w języku matki jéj się zapierają...

— O! tak! tak! nie trzeba było robić rewolucyi — przerwała pułkownikowa — ona zgubiła nas... ona za sobą pociągnęła te następstwa... Lecz, Boże mój, gdy zawiąła chorągiew, gdy zabrzmiała pieśń, gdy zabiły serca... jakże się tu było orzeć?

— Nie, nie, kochana dobrodziejko moja — przypadając jéj do kolan i całując po rękach, poczęła Michalina — nie mówmy bo o tém, nie mówmy, cieszymy

się powrotem pana Stanisława... Starajmy się go rozzerwać, odżywić, róbmy plany na przyszłość a zapomnijmy o...

— Jakże o Polsce zapomnieć!—szepnęła staruszka.

Takie było po długich niewidzenia i milczenia latach pierwsze spotkanie matki z synem. Tegoż dnia wieczorem, gdy przyszło do bliższego zetknięcia z rzeczywistością i planów na przyszłość, Stanisław oświadczył, że ma zamiar, rozpatrzywszy się w Wielkiej Polsce i Galicyi, osiąść tu lub tam i okupić. W takim razie naturalnie matka byłaby została przy nim. Więcej ani on ani ona nie dopowiedzieli. Pułkownikowej śniło się zawsze o połączeniu tych dwojga istot, które najwięcej w życiu kochała, syna z Michaliną, ale dla tego właśnie, że marzyła o tém, postanowiła nie dać poznać po sobie, iż myśl tę przechowywała do dziś dnia. Jenerał nadto jeszcze czuł stratę kobiety, dla której wedle pojęć matki i Michaliny musiał mieć najżywszą miłość, a pułkownikowa téż nie była nawet pewną, co się działo z sercem jój ulubienicy, w którym z razu mieszkał umarły kochanek. . a potem mógł je kto żywy pochwyć. Nie śmiała nigdy pytać i zgoła nie wiedziała o usposobieniach jój, chociaż słyszała często opowiadania o nowych znajomościach, nawet wzmianki o mężczyznach, co się o nią starać chcieli, Michalina zbywała je krótko, zdając się trwać w postanowieniu niewychodzenia za mąż.

Zobaczywszy teraz jenerała, może z miłosierdzia nad jego niedolą, może dla wspomnień jakichś i odgadując myśl pułkownikowej, zarumieniła się, zmieszła i zdziwiła samą sobie, że uczynił na nią jakieś dziwne wrażenie. Po kobiecemu usiłując je sobie wytłómaczyć, pogniewała się na serce, w którym niby odżyła odrobina zapomnianego i nierozwiniętego uczucia. — Wszakżem go nigdy ani myślała kochać? — powiedziała sobie — a jednak doznaję czegoś, jakby radośnie zmartwychwstającego przywiązania, które istniało... A! nie — to chyba część macierzyńskiej miłości, zaczerpnięta w obcowaniu z moją tą d b ą pułkownikową...

Tak sobie mówiła Misia i uśmiechnęła się, spojrzawszy w zwierciadło, w którym świeżą jeszcze ale już zmordowaną i znękaną swą ujrzała twarzyczkę.

— Obawa płonna, rzekła do siebie — nie jestem już dziewczką ową, której śnił się każdy uśmiechający się do niej młodzieniec. — Ot — po prostu — żał mi to serce ścisnął... a zakłopotalam się, bo mnie zawsze to miesza, że on myśleć musi, jak matka mnie pragnie wydać za niego — téj myśli już się choć teraz przynajmniej wyrzec musiała... Zdaje się, że nie przystalibyśmy nawet do siebie. O! nie! nie! ten mój biedny umarły będzie jedynym moim kochankiem.

Po pierwszém wrażeniu téj pustki krakowskiej, gdy się z jój licem oswoiły oczy, tak ona polską się wydała wszystkim, tak im tu było doma, że pojęli, jak tu mieszkać, żyć, umierać można. Warszawa ze swą półeuropejską, pół niestety moskiewską już elegancją, odbudowana, odnowiona, aby pod nią starój mazowieckiej pani widać nie było, zachowała polskość w charakterze mieszkańców, Kraków ma ją i w stroju poszarpanym... Tu jeszcze austriaccy żołnierze gośćmi się wydają, moskiewski już niby gospodarz rozkłada się po ulicach téj świętej męczennicy, która od czasów Suworowa wszystkich spróbowała katuszy. Dla tego po Warszawie ubogi i nie świetny Kraków wydał się rozczulająco pięknym pułkownikowej. Płakała na Wawelu, płakała u Panny Maryi, u Floryańskiej bramy, u starych domostw ciemnych i brudnych... Gdzieś może jeszcze pył na nich osiadł, który wjazd królewski zmiótł z ulicy... Równie żywo zajmowało miasto Michalinę, która podobnej narodowej relikwii nigdy w życiu nie widziała. Pułkownik zdumiony był wśród Europy takim kątem, którego ruch ogólny nie tknął i twarzy pomarszczonej nie otynkował.

Z razu cała baczność zwracała się na mury, powoli przeszła na ludzi. Pułkownikowa miała tu starych znajomych, co dla spokoju pouciekali do tego szpitala, a choć nie spieszyła ku nim, aby jój nie odbierało syna i nie mieszało spokoju, musiała wreszcie

pomyśleć o przypomnieniu się im choćby dla tego, że mogli osiedlić się w Galicyi i potrzebowali lepiej się z nią obeznać. Projekta jenerała dotąd wszakże wahały się pomiędzy Poznaniem a Krakowem, między Wielkopolską a Galicyą.

Wiedział on dobrze, iż osiedlenie się i otrzymanie praw obywatelstwa w Prusach daleko było trudniejszém, gdyż tam starano się raczej zmniejszyć siły żywiołu polskiego niżeli je pomnażać. Po roku 1831 patrzano na to przez szpary, później systematycznie zaparto drogę emigrantom, z największą trudnością dopuszczając krótkiego tylko pobytu. Przez stósunki wszakże, umiejętnie chodząc około tego, można było weisnąć się po cichu między tutejsze obywatelstwo, jakkolwiek i ono nie zbyt przyjazném okiem patrzy na polskich przybyszów... Wszystko to z opowiadań i przez ludzi znaném było Stanisławowi, który potrzebował naocznie się przekonać, dotknąć stósunków miejscowych, aby wiedzieć, co o nich trzymać. Tak samo chciał téż zbadać Galicyą, w której osiedlenie się było łatwiejszém, usposobienie nawet mieszkańców mniej dla gości nieprzychylném... Dawne stósunki pułkownikowój do pewnego stopnia ułatwić miały zapoznanie się z krajem. Od dnia jednak do dnia ociągano się z oddaniem wizyt i zawiązaniem ich... Dnie upływały w domu na nieskończonych opowiadaniach wzajemnych o chwilach grozy a burzy, o ofiarach, o podróżach... o doznanych wra-

zeniach i o gospodarstwie nowém, które wywracało wszystko w Królestwie. Pułkownikowa, opowiadając o tém, unosiła się, płakała i wyznawała, że szczęśliwą będzie, jeśli się od widoku tego powolnego męczeństwa uwolni. Jenerał słuchając milczał zasepiony. Własne przekonania a najbardziej zakłęcia umierającej Maryi Pawłownej, znajomość natury Rosyan i rządu skłaniały go do szukania środków, jakimiby pomiędzy Rosyą a Polską choćby modus vivendi znaleźć było można, gdy teraz tylko moriendi modus się przedstawiał. Nie wyjawiał jednak swój myśli, wiedząc, jak ona dla wszystkich wyda się niemożliwą i wstrętliwą. Od wjechania na ziemię polską rządzoną przez Niemców, czuł, że mu w piersi brakło oddechu. W Polsce, zabraniej przez Rosyą, choć gospodarzył żołdat — mogło się czuć uciśniętym ale w domu, tu czuło się wyciskanym... choć przez obcych.

Z razu wszakże pozory swobody łudzące dla pułkownikowej kraj ten czyniły znośniejszym. Trzy dni upłynęły w ciszy, czwartego z rana przyniesiono jenerałowi małą drukowaną na pół, w pół pisaną karteckę, zapraszającą go nazajutrz rano do dyrekcji c. k. policyi.

Sądząc, że to zwykła tylko formalność, jenerał wcale się tém nie poruszył, ubrał i o naznaczonej godzinie poszedł, gdzie mu wskazano. Na małej uliczce w jakimś przycienionym wewnątrz gmachu, dopytawszy

przedpokoju, w którym proszono go czekać, siadł zamysłony... Gdy kolej na niego nadeszła, otworzyły się drzwi i mężczyzna średniego wieku niezmiernie grzecznie zaprosił go do obszernego salonu, w którym pośrodku stał stół zarzucony papierami... w rogu była kanapa... Nago, sucho i zimno zresztą. Mężczyzna ów bardzo grzeczny, który w progu go powitał, zaprowadził na kanapę, posadził, sam siadł na rożku, trzymając w ręku paszport Melchiora Szarlińskiego. Z uśmiechem wpatrywał się w twarz jenerała, jakby ją pragnął z rysopisem porównać, miał arkusz ten w ręku, tarł czoło i jakby nie wiedział, co począć.

Stanisław czekał na zapytanie.

— Pan Melchior Szarliński?

— Tak jest...

Spojrzał w paszport, na paszport, na stronę odwrotną, na pieczęć, na wizę, na końce swych butów, na paznogie u rąk, na kanapę i powtórzył:

— Pan Mel-chi-or Szar-liń-ski.

— Tak jest...

— Pan jedzie z Wiednia?

— Tak jest.

— Do??

— Do Galicyi?

— Tak jest.

— A celem podróży?

— Interesa prywatne.

— Interesa prywatne!! Długo pan tu zabawisz?

— Nie wiem.

— Pan wie jednak zapewne, przepraszam, że ośmielim się uczynić tę uwagę, jaką za sobą odpowiedzialność pociąga użycie fałszywego — chcę mówić, niewłaściwego paszportu?

— Czy pan mój paszport podejrzewa?

— Uchowaj Boże! zwracam tylko uwagę, iż gdyby... biorę pierwsze lepsze nazwisko, jakie mi na myśl przychodzi... np. Stanisław Zbyski... jechał z paszportem Melchiora Szarlińskiego?...

Spojrzał na generała, którego twarz nie zmieniła się wcale, pozostał spokojnym...

— Rozumiem, byłaby to wina wielka, pociągająca za sobą wygnanie, odezwał się generał. Na nieszczęście mogę panu dowieść, iż Stanisław Zbyski umarł i pogrzebiony został w Warszawie w roku 1863.

— Ale ja imię powiedziałem pierwsze lepsze, uśmiechając się dodał grzeczny człowiek... a o żadnym Zbyskim my tu nie wiemy... ani też posądzam pana o tak wielką winę... tylko, tylko zwracam jego uwagę. Ja myślę, dodał, że pan tu długo bawić nie zechce... Kraków jest smutny... towarzystwa nie ma, bruk szkaradny, klimat ostry, bliskość Karpat... Gdybyś pan dobrodziej życzył sobie opuścić Kraków, na rozkaz jego w jednej chwili wizowałbym mu paszport, gdzie się po-

doła... Chociaż wątpię — rzekł uśmiechając się, ażebyś pan życzył jechać do Rosyi.

— Na teraz, nie — odparł spokojnie generał... jak pan powiadasz, klimat jest ostry, a tam nierównie niż tu ostrzejszy... zwłaszcza w tój porze roku...

— Tak! w tój porze roku! w tój porze roku! mnóstwo chorych! rzekł człowiek grzeczny, uśmiechając się ciągle i zacierając ręce. Pan Szarliński? wszak tak? bliski jest krewny pani pułkownikowej Zbyskiej z Warszawy?

— Bardzo bliski...

Znowu uśmiezek i ukłon bardzo niski, grzeczny, słodziuchny. Było to coś nakształt pożegnania, nakształt odprawy, generał skłonił się i wcale niezłękniomy odchodził.

— Paszport wizowany będzie na zawołanie. Czy... dalej do Galicyi? spytał urzędnik.

— Sądzę, że do Lwowa... przynajmniej dla poznania miejscowości.

— Wie co pan? nie ciekawa!! tam nad Pełtwą wyziewy, wyziewy, błoto... nieprzyjemnie... W tój porze roku... Do nóg upadam...

— Najniższy sługa! rzekł generał, unikając odpowiedzi.

W ulicy wszakże zrobiło mu się tęskno i przykro, rozmyślał, czy mówić o tém matce, zostać czy jechać. Dano mu wiedzieć, że go znają i że będzie śledzonym,

przestrzeżono, by się miał na baczności, nie chciano zresztą gwałtownie się pozbywać, strachem tylko wykuryć... Nieprzyjemne jakieś uczucie nim owładło, nie miał się z czém ani taić, ani ukrywać, a jednak... być na łasce i na oku... męczyło. Przed matką, wszakże zamilczał o wszystkim.

Dnia tego po obiedzie pułkownikowa wybierała się do państwa Skwarskich. Skwarscy podwójnie jój byli mili a drodzy i od bardzo dawna znani; sama z czasów młodości jeszcze i pensyi w Warszawie, on jako żołnierz z roku 1831 i podkomendny pułkownika. Wiedziała, że oddawszy majątek dzieciom schronili się tu dla spokoju do kamieniczki, którą w rogu Wiślnój ulicy sam pan Skwarski posiadał. Tak dawno wszakże nie spotykała ich już pani Zbyska, iż po raz pierwszy nie chciała z sobą brać syna... Zabrała tylko Michalinę i pojechały na zwiady.

Na rynku było dość pusto, w kamienicy żywego ducha, sień ogromna, ciemna, z niej wschody fantastyczne wiodły na piętra. W głębi widać było okolony gankami dziedzińczyk. Michalina ofiarowała się sama dobiez na pierwsze piętro i dowiedzieć, czy tu żywi ludzie byli; już się zabierała iść, gdy w wielkim negliżu służąca zbiegła, oparła się na poręczy i spytała:

- A do kogo to państwo chcą?
- Wszak to kamienica państwa Skwarskich?
- A tak... ja właśnie od nich jestem.

— Czy w domu?

— Coby nie mieli być w domu... na taki czas?

— To może nas zameldujecie?

— E! proszę panienki, a po cóż to meldować, oni przyjmą, kogo Pan Bóg da... to — i proszę..

Szła tedy przodem, pułkownikowa, sparta na rękę Michaliny, za nią, a nie mała była sztuka wnijsć na te wschody ciemne w biały dzień, pokręcone, niewygodne, bodaj od XVII wieku nie tykane, stopami ludzkiemi powyżłobiane nierówno i trzęsące. Szczęściem sługa idąca przodem otworzyła drzwi przedpokoju, z którego do sieni i na wschody padło trochę światła. Razem z jasnością dnia zapach staroświeckiej pocziwój aptekarskiej trociczki rozszedł się z pokojów. Weszli. Wszystko tu było po staroświecku, mury grube, sklepienia silne, okna małe, pokoiki nie rozległe... W oknie szczebiotął kanarek, dwa szpice wyskoczyły, szczekając i tłómacząc użytek trociczek. W szlafroczek skromny ubrana staruszka na głos sługi, która ogromnie donośnie wołała od progu: Proszę pani, goście! wyszła i stanęła, wpatrując się w osoby nieznanome.

Pułkownikowa zwróciła oczy na nią i jakiś czas milczała.

— Kogoż mam honor?

— A! Elżuniu! tyś mnie nie poznała! tyś nie poznała!

Stara Elżunia załamała ręce, zawahała się, podsta-

piła krok, oczyma zgasłemi śledząc rysy twarzy przybyłej, na ostatek cicho, nieśmiało zawołała:

— Zbyska!

Rzuciły się sobie na szyję...

Na ten niezwyuczajny w godzinie popołudniowej ruch, głosy sam Skwarski, który z długiego cybucha palił swą poobiednią fajkę, ale po domowemu w szlafroku i mycce, zoczywszy kobiety, wysliznął się co prędzej przebrać. Panie weszły do pokoiów, ze staroświecka, czysto i miło poprzybieranych. Meble były znać z 1826 r., ale jeszcze mocne i świeże... na pokryciach kapki, stoły poślaniane, po posadzkach wysłane płótna, czysto, cicho, klasztorno... trochę smutno, tak jak na dni stare przystało. W chwilę potem, nim jeszcze panie usiadły, zjawił się Skwarski, zaczesyany od tyłu głowy na łysinę, z półksiężycowemi bakenbardami, z małym komowatym wąsikiem, w chustce czarnej na ogromnym halstuchu, w surducie zapiętym na wszystkie guziki, ale skutkiem zapomnienia, nawyknienia czy choroby w haftowanych tylko pantoflach. Krzyknął z radości, poznavszy pułkownikową, i nuż w ręce całować, a wywoływać swe szczęście... Michalinę zaprezentowała pani Zbyska, siedli, gosposia porwała za kluczyki i pobiegła — Toż się musicie u nas kawki napić, bo już bez tego być nie może.

Radość była wielka... a pytań bez liku.

— Na miłego Boga! cóż tu kochana pułkownik

robi! — zapytał Skwarski — tu u nas w Krakowie! Czy nie na mieszkanie? Ot tobyśmy się cieszyli! toby dla nas było szczęście!!

Zbyska milczała z razu, odpowiadała ni to ni owo, chciała dopytać, czy stary przyjaciel wiedział o losie syna. Okazało się, iż słyszał o jego śmierci... Cicho i ostrożnie w kilkunastu słowach na ucho powiedzianych odmalowała mu Zbyska położenie swoje. Skwarski osłupiał, zdrewniał, zamyślił się. Potrzebował objaśnień, nie mógł z razu zrozumieć, tak mu się to wydawało dziwaczném, a gdy żona wróciła z kluczykami, nie miał nic pilniejszego jak zaraz jój to powiedzieć. Pani Skwarska siadła, poczęły się ciche znowu, obszerniejsze, łzawe opowiadania, do których pomagała Michalina.

Po tych preliminariach zaczęto dopiero narady. Skwarski wszakże nie miał na razie dosyć zebranych myśli, aby coś skutecznego poddać.

— Ekstraordynaryjne rzeczy! mościa dobrodziejko! rzekł, poprawiając włosy na łysinie. Pomówimy o tém z nim!! To tylko dziś pani dobrodziejce powiem, iż w Galicyi osiedlenie się trudne. Ja to niby tutejszy, no, i kamieniczkę mam.. i obywatelem być nie przestałem, ale że część życia spędziłem w Królestwie, to mnie tu do dziś dnia uważają za przybysza... Stósunki się wiążą, nie łatwo... Choćby Polak, gdy z innéj pro-

wincyi, dobrze tu musi fałdów przysiedzieć, nim się swoim stanie...

No — ale poznać się trzeba, rozpatrzyć... Nic ci to łatwiejszego jak się tu okupić — ale i okpić, mościa dobrodziejko... Dobra pozadłużane... hipoteki nie czyste, adwokaci mądrzy... a potem i to gospodarstwo...

Zresztą, po cóż gospodarować, kiedy teraz nową modą papiery sobie można kupić i jak paznogie je co kilka miesięcy obcinać i z tego żyć... Bo to mościa dobrodziejko, nowy świat... nowy! Pokomponowali wiele dobrych rzeczy, nie ma co mówić, ale i szalbierstwa dużo...

Pan Skwarski głową trząsał..

Nuż potem dawne, wesołe owe wspominać czasy, ów rok 1831... gdy Warszawka taka była rozpromieniona i szczęśliwa, bo wolna. Wszystkich drogich zmarłych powyciągano z mogił. Skwarski dodał... Chłopicki tu, mościa dobrodziejko, ostatniego robra zgrał i szlema wziął... na tamten świat... Stary nasz, trzymał się jak na napoleońskiego żołnierza przystało...

Było nas tu niedobitków dosyć... teraz coraz się przerzedza... my z Elżusią jakożemy się ostali...

— I proszę cię, moja pułkownikowa, przerwała Elżusia patrząc na męża, ja się na pruchno zestarzałam a mój Ksawerek, proszę cię, i młody i młody!

Ksawerek włosy poprawił, nieco się uśmiechnął,

wprawdzie prosto się trzymał, ale ani półksiężycowe bokobrody, ani czerniony wąsik, ani wysoki halstuch nie mogły go odmłodzić. W łaskawych tylko oczach poczciwój Elżuni takim się wydawał, jakim był, gdy go pokochała... Pocałował ją w rękę czule... Widok tój szczęśliwój pary starych gołębi był rozrzewniający... Michalinie łezka zakręciła się w oku. Podano kawę, wniosła ją taż sama sluga, którą spotkały panie na wschodach, teraz nieco ogarnięta... Przy kawie rozmowa się ożywiła i Skwarski podał myśl szczęśliwą — Gdybym śmiał, rzekł, tobym pułkownikową dobrodziejkę na jutro prosił na barszczyk... i z kochanym... Stasiem... Zaprosilibyśmy téż doktora, dobrego mojego przyjaciela, bo to nikt nad niego lepiej nie zna tutejszych stósunków, i naradzilibyśmy się...

— Ale zmiłuj się, szanowny panie mój, o Stasiu nikt w świecie nie powinien wiedzieć!

— Tak! to pewna... tylko nie doktor! ależ to chodząca cnota... wypróbowany człowiek... pewny jak złoto, co nie rdzawieje... Jemu powierzyć tajemnicę jak w wodę...

Umówiono się tedy na barszczyk wedle życzenia, państwo Skwarscy przeprowadzili aż do sieni, Basia służąca pomogła schodzić pułkownikowój, nie dla tego, aby dostała dwa złote na dole... i panie do hotelu wróciły.

Tu na zapytanie o Stanisława powiedziano im, że

miał gościa — tknęło to nie mile matkę, bo się obawiała o niego i nie pojmowała, kto go tu mógł odwiedzać; trzeba było wszakże czekać... aż się ta rzecz wyjaśni.

Gość dosyć był niespodziewany w istocie. — Oczekując napowrót matki i korzystając z chwili wolnego czasu, generał poszedł obejrzeć piękne reszty Floryańskiej bramy. Tu gdy obchodził ją, zetknął się oko w oko z ubranym po podróznemu mężczyzną, przystojnym, tego wieku co on, który, popatrzawszy chwilę z uwagą, zdziwiony rzucił się ku niemu, po cichu wołając po rusku.

— Na miłość Boga! Stanisław Karłowicz! tyś żyw?!

Rzucili się sobie w objęcia i uścisnęli, jak się może nigdy jeszcze Rosyanin z Polakiem nie uścisnął.

Nieznajomy miał rysy szlachetne, czoło wysokie, kształty twarzy arystokratyczne, postawę i ruchy człowieka wielkiego świata, ale razem coś żołnierskiego, bo wszyscy Rosyanie żołnierzami byli, są lub choć jakiś czas być muszą.

— Chodźmy, gdzie chcesz — szepnął Stanisław do niego — ale nie rozmawiajmy w ulicy, bo mam powody sądzić, iż mnie tu śledzą...

Zżymnął się niecierpliwie na to Rosyanin... poprowadzili się pod rękę do hotelu.

Tym przyjacielem Stanisława, który w chwili ostatnich wypadków opowiadanych przez nas posłany był

na Kaukaz a którego niebytność srodze się czuć dała Zbyskiemu — był Andrzej Konstantynowicz książę Arusbek, ze starzej rodziny ormiańskiej, dawno już zupełnie zrusyfikowanój. Matka Arusbeka Rosyanka i także jakaś księżniczka, dama dworu, w wielkich łaskach u cesarza Mikołaja, świetną synowi przygotowała karierę. Andrzej był paziem, potem fligel-adjutantem, miał przed sobą otwarte urzędy, najwyższe stopnie, największe łaski, niestety — nie był do tego wszystkiego stworzonym. — Kto w jego młodej jeszcze duszy zasiał ziarna uczuć, które mu na zawadzie stać miały, było tajemnicą. Mówiono, że miał gubernera cudzoziemca. Andrzej grzeczny, miły, posłuszny woli matki i cesarza, szedł drogą, jaką mu wskazywano, ale znać było z jego twarzy, oczów, milczenia, poważnego czoła, że mu to wcale w smak nie szło. Gdy tylko mógł, biegł do książek, zamykał się w samotności, pracował i uciech a rozrywek, których tak społeczność rosyjska jest spragnioną, zdawał się wcale nie żadnym. Już to samo uczyniło go podejrzanym; potem, mimo najściślejszego spełniania rozkazów czuć było w nim, że pochlebca, nigdy ani bałwochwalca, nie będzie. Nie prosił też o żadne łaski, matka nie pojmowała, jak mógł najmniejszej nie mieć ambicyi.

Arusbek mimo protekcyi nie poszedł już dalej, słówko cesarskie, wymówione w złym humorze, odepchnęło od niego ludzi... Matka zgryzła się biedna

i umarła. Po jej śmierci cesarz parę razy nie był zadowolony z Arusbeka i odkomenderowano go do ks. Bariatyńskiego na Kaukaz. Pobywszy jakiś czas w Tyflisie i korzystając z bytności, aby poznać cudnej piękności kraj, książę Andrzej podał się do dymisji, otrzymał ją, usunął się od dworu i począł być widzianym złém okiem jako malkontent.

Z jenerałem znali się od korpusu, od szkół wojskowych, od młodości a była to jedna z tych serdecznych przyjaźni, co dusze dwie otwiera do dna i ludzi łączy na życie. Dość powiedzieć na scharakteryzowanie jej, że Stanisław nie taił przed Arusbekiem nawet polskich uczuć swoich a byłby mu wypowiadał wszystko... gdyby w latach ostatnich los ich nie rozerwał. Listom w Rosyi nie wiele powierzać można. Książę Andrzej opłakał później śmierć jenerała, można więc sobie wystawić, jaka radość przejęła go, gdy zmartwychwstałego zobaczył.

Gdy do hotelu weszli i usiedli przy sobie tak blisko, aby cichą prowadzić rozmowę, strawili parę godzin na zwierzaniach wzajemnych, na opowieściach o swoich losach, nie mogąc się dosyć nacieszyć sobą.

Arusbek powracał z Włoch także; jeździł on tam, jak powiadał, aby unikać w Rosyi widoku tego chaosu, który nowy system wyrodził. Choć wychowany przy dworze, Rosyanin całą duszą pojmował on wcale inaczej

zadanie Rosyi, jój przyszłość i środki, jżjakiemi do niój zdążać miała.

Był to umysł poważny a serce szlachetne... tam więc, gdzie nawet do celu, jaki uznawał, pędzono kraj środkami szkodliwemi, niedającemi się usprawiedliwić, Arusbek oburzał się i przewidywał, iż one do tego celu prowadzić nie mogły a raczój od niego odwodzić. Dla niego w istocie Rosya w myśli stała promienna wielką przyszłością..... Czuł on w niój siły młode, z bogaczone doświadczeniem starém zachodu... inicjatorkę cywilizacji dla Azji, obroicielkę tradycyi wiekowych przeciw doktrynom fałszywym.. lecz Rosyi takiój, jaką Arusbek miał w głowie, na świecie nie było. Inaczój rozumiał jój misyą słowiańską — a naostatek widząc te gromady ludów, z których tworzyło się państwo, rozumiał to, iż powinno było spojć węzłem federacji ludy, ażeby olbrzymie to ciało w całości utrzymać.

Od r. 1863 wpatrując się w politykę wewnętrzną państwa, liczył jój błędy i zżymał się. Rząd opierał się na grze subtelnój żywiołów, które powoływał do życia, kazał im z sobą walczyć i próbował je niszczyć przeciwstawiać. — Gry téj niebezpieczeństwo i nieszlachetność widział Arusbek, dla tego chciał się od niój odsunąć. — Bolał go téż los nieszczęśliwój Polski, którój nieszczęście i prześladowanie wołało o pomstę — i bez pomsty dziejowój, groźnej dla Rosyi, przejść nie mogło...

Im więcej kochał swą ojczyznę, tém cały przebieg wypadków w niej dotkliwiej mu się czuć dawał. Smutek ogarnął jego duszę, — wyjechał, nie chcąc ani być czynnym ani martwym świadkiem oburzających czynów tych, co się rządzić podjęli.

Żadne spotkanie w życiu nie mogło być miłszém jenerałowi, który potrzebował się wywnętrzyć, nie mając przed kim, potrzebował radzić, pocieszyć choć nadzieją, lepszej przyszłości. Arusbek spadał mu z nieba. Dla niego nie miał tajemnic i gdy się tylko dowiedział o powrocie matki, zostawiwszy kniazia u siebie, pobiegł do niej. Gdy wszedł, rozpromienienie twarzy zwiastowało pułkownikowej jakąś dobrą nowinę.

— Jestem bardzo szczęśliwy, rzekł, całując jej ręce — Fan Bóg prawdziwym cudem zesłał mi przyjaciela... jedyne... spotkaliśmy się z nim... Jest to Rosyanin, ale przedewszystkiém człowiek i chrześcianin... a mój brat serdeczny... Pozwoli mi mama, że go tu sprowadzę ..

Choć w gospodzie nie bardzo było wygodnie przyjmować gości, matka zgodziła się na wszystko, czego Staś pożądał, i Arusbek wszedł zaraz... Coś było tak miłego w téj posepnój twarzy wschodniego typu .. iż na pierwsze wejrzenie Rosyanin się podobał... Jemu pułkownikowa przypomniała dobrą a czułą matkę.

Z ludźmi dobrymi znajomość i zbliżenie się łatwe, tu za łącznik służył jenerał... Książ czuł się jakoś nie

obcy rodzinie, której syna był bratem, a był i miłym i wykształconym, wiele widział a umiał opowiadać. Wieczór więc wszedł na rozmowie zajmującej i nawet uprzedzona a dzika nieco panna Michalina zbliżyła się powoli do tego Moskala, który był łagodny, smutny i nie miał ani dumy odrażającej zwyczajnego narodu ani chłodu, co zamkniętą duszę znamionuje. Tu jednak rozmowa nie potrafiła o nic poważniejszego, mówiono o Wschodzie, o Włoszech, o Kaukazie i o Rzymie... zresztą trochę o smutkach tych czasów, w których ludziom kazano nienawidzić się, walczyć z sobą i dobić panowania, nie przynoszącego korzyści chyba miłości własnej wysoko siedzących kierowników, bawiących się w zdobywców i tryumfatorów jak dzieci w ślepią babkę.

Wcześniej dosyć obaj panowie pożegnali panie i odeszli do pokoju jenerała... gdzie dopiero szczerzej się obaj we cztery oczy mogli rozprawić.

Wyspowiadawszy się z całej historii swój Zbyski — dodał w końcu...

— Mój Andrzej — tyś pono jedyny człowiek, który mi możesz do spełnienia myśli, jaką po Maryi otrzymałem w spadku, dopomódz. Byłbym ją może powziął sam, — rzucona z za grobu wzmocniła we mnie to głębokie przekonanie, że jest obowiązkiem ludzi serca i sumienia z obu stron, starać się zbliżyć, zrozumieć, przejednać i naprawić to, co zaślepiony

doktrynami nieprawemi rząd rosyjski popsuł i zniweczył.

— Mój drogi Stasiu — odparł książę — poświęcić się téj idei byłoby dla mnie szczęściem. Wiesz moje przekonania, znasz głąb duszy, z chęcią wezmę się do pracy — obmyślmy tylko drogi... powiedz mi — co czynić?

— Radźmy, bo ja planu nie mam, rzekł Stanisław. Opieram się na tém, że w narodzie rosyjskim są ludzie wybrani, którzy wyżej stoją nad innych i pojmują, iż z tym systemem ostać się nie można, bo on niszczy Polskę, zarazem zjada w Rosyi wszelkie moralne podstawy społeczne.

Niech to sobie jak kto chce tłumaczy, nie uszlachetnia to narodu, gdy się dopuszcza oburzających gwałtów, gdy swoim delegowanym nakazuje czyny, przeciw którym protestuje uczucie chrześcijańskie... Niszczycie Polskę, ale demoralizujecie siebie w chwili, gdybyście właśnie na starą despotyzmu demoralizacją leczyć się powinni...

— Rozumiem cię, rzekł Arusbek — zgadzam się z tobą — ale ażeby na twoje stanowisko się podnieść, należy odrzucić naprzód i obalić całe sztuczne rusztowanie sofizmatów, któremi prawda dziś wszędzie jest zaćmioną. Rosya zepsucie w pojęciach wzięła od reszty Europy... Spójrzyj, jakież to dziś zdania i aksjomata rządzą społeczeństwem? Wszyscy, co chorują na

mądrość, myślą, że staną na wysokości wieku, powtarzając Bismarckowskie — siła przed prawem! Wszyscy, co chorują na wielkich polityków, głoszą z uśmiechem politowania nad tymi, co do téj wyżyny nie doszli, iż w polityce moralność powszednia nie popłaca... Wszyscy, co się zowią praktycznymi mężami, godnymi XIX wieku, zapewniają, że podstawy materialne bytu narodowego i państwowego są jedynymi postulatami, bo na pognoju dobrobytu duch wykwitnie samo przez się. To są zasady, któremi rządzi się Europa; Rosya jest tylko na równi z nią, nic więcej. Zaparliśmy się ideału, nauki Chrystusa, najgłówniejszych prawd ewangelicznych, nagięliśmy do chwilowych potrzeb doktryny i systemu, pobałamuciliśmy się mądrością maluczką, nie ma nikogo, ktoby chciał w rękę wziąć chorągiew krzyżem uświęconą i pójść walczyć za ducha nauki Chrystusowej... Z tego wszystko złe... Aby dźwignąć Rosyą, Polskę, świat, trzebaby nowój krucjaty przeciwko bałwochwalcom i niewiernym, spójnego szyku wszystkich wybranych... wszelkich narodów, coby gwałtem zwrócili ludzkość na opuszczone drogi.

— Masz siusznosc — przerwał jenerał, ale gdybyśmy ogólnej choroby uleczyć nie potrafili, spróbujmy choć ranę zagoić. Przed nami tymczasowo jest zadanie to, o którym mówię... Chciój mnie zrozumieć i posłuchaj cierpliwie.

Panslawistą, nie jestem i być nie mogę... bo ze

słowiańskiego pnia gałęzie puszczone zaszczerpił los każdą, inaczej. Zjednoczyć to, co rozbratały wieki, niepodobna. Czechy i Morawy urobiły się na indywidualność historyczną, odrębną, jak Polska; Kuś stanowi w sobie coś różnego, niedojrzałego a pełnego soków i życia; wielkorosyjskie państwo różni się od polskiej rzeczypospolitej szczątków ogromem przymiotów i wad takim, że tu więcej tego, co odpycha, niż coby łączyć mogło... Nie mówię o zastalych Serbach, Czarnogórze, Kroacyi. Zlać to w jedno, jest może ideą wielką i majestatyczną, ale niemożliwą, praktycznie a moralnie niegodziwą...

W obec dzisiejszych jednak potrzeb ta idea połączenia jakimiś węzły Słowiańszczyzny całej narzuca się prawie jak konieczność.

Węzły te nie mogą, by były trwałe, być innemi tylko świętymi węzłami miłości, równości praw, poszanowania wzajemnego, węzłami bratnimi a dobrowolnemi.

Rosya jest dziś na zgubnej dla siebie, dla Polski i dla Słowiańszczyzny drodze, którą jój carat narzucił...

Carska wola nieżna praw natury, człowieka, narodów, rozumie tylko potrzebę skupienia, jedności, a jak ją otrzyma... nie dba...

Środki obmyślane są, wedle zasad wieku — siła przed prawem...

Polska jęczy jako pierwsza ofiara pod razami oszalałych patryotów, którzy się nad nią znęcają...

Trzeba, by ludzie uczciwi starali się dowieść Rosyi, iż tém, czém chce połączyć, zasiewa nasiona przyszłego rozpadnięcia swojego. Olbrzymie państwo musi mieć organizacją właściwą takim ciałom bezmiernie wielkim. Tu tylko teoretyk bez mózgu może sądzić, że od Wisły do Amuru, od Bałtyku do granic Persyi potrafi kiedykolwiek na jednej tabula rasa, krwią wymytą, wypisać... Rosya jednolita.

Pochodzenie narodów, klimat, obyczaj, tradycye, charaktery nie dopuszczają, jest to nie możebne... Nie stanie się to, czego chcą, ale Polskę zameczą. Trzeba temu zapobiedz...

Arusbek uśmiechnął się smutnie.

— Rozumiem to tak jak i ty, rzekł — nie wiem tylko, z kim mówić i co poczynać. Ludzi dobrej wiary, niezawisłych jest nie wielu; ludzi pijanych wielkością Rosyi najwięcej... marzyciele znajdują tłum, co im pokłaskuje... Katkowi robią prozelitów... umiarkowane opinie stoją na boku, bo nie świecą. Są one udziałem małej garstki ludzi bez wpływu, bo niengiętych, i bez złudzeń, bo dobrej wiary. Weź przeszłość Rosyi. Możesz od niej wymagać wysokiego poczucia moralnego? Zkąd się tu ono wzięść miało? Duchowieństwo bez ducha... urzędnicy chleboroby, szlachta pusta a lekkomyślna, dwór zgniły i zepsuty... Jakiż przykład da-

wała rodzina panująca od Elżbiet i Katarzyn począwszy? Na takich podstawach co można było zbudować i z czego?

— Myślisz więc, przerwał generał, że nic robić i nie uczynić nie można?

— Owszema, robić należy, bo każe sumienie, odparł książę, ale skutek wątpliwy.

— A tu każda godzina droga! — zawołał generał...

— Jakże w imię moralności, sprawiedliwości, ewangelii mówić z ludźmi, którzy w nic nie wierzą oprócz siły? westchnął Arusbek.

— Dacie więc ginąć Polsce a kartę historyi waszjej splamiecie krwią przelaną daremnie? przerwał Stanisław.

— Mów mi, co robić? do kogo się udać? — dodał książę, pójdę posłuszny... Znam wszakże jak i ty Rosyą, powiedz mi, do kogo trafić, z kim się o to rozprawić można? Rosya nie dzieli się na partye, rozkłada się na warstwy społeczne... Lud ma instynkta po większej części poczciwe i dobre, ale jest ludem łatwowiernym, namiętnym, niestałym, przesadnym... jest jedném słowem nieoświeconą masą, stworzoną na to, by była narzędziem... Po nad nim nieco podnosi się biurokracya na pół wykształcona, zarozumiała, chciwa wszystkiego, czego nie kosztowała, nieprzyjazna temu, co nad nią góruje, pogardliwa dla tych, z których wyszła... ty u

wiąca się łachmanami różnych latających po świecie prawdek niezrozumianych a wygodnych...

W téj warstwie masz gniazdo ludzi, co z wściekłym patryotyzmem — cheiwi łupu dali się pchnąć na Polskę, tak samo jak w innych okolicznościach poszliby na własną szlachtę z rewolucją społeczną...

Ta warstwa, która z ludu wykielkowała, umie do niego mówić, ma nań wpływ, jest liczną — a z nią ani mówić ani się zrozumieć. Gdyby miała zasady fałszywe tylko, mogłaby się z nich uleczyć — ale ma interes własny a w sprawie kieszeni nie ma z nią kompromisu.

Z téj warstwy jeszcze opoliturowanych nieco masz urzędników wyższych, służalców interesu swojego i rządowego, jeśli z nim jest zgodny.

Daléj — ukłonił się Arusbek — idziemy, my, szlachta... podpory tronu, wierne bojary jego carskiej mości. Znasz to, co się zowie szlachtą rosyjską? Jest to francusko-niemiecka kosmopolityczna kompania ludzi wykształconych do salonów i do dworu — bez sił, energii i rozpieszczona... nieudolna. Są charaktery i popeły w niéj szlachetne, potężnych jednostek nie ma, bo jak kuglarze małym clownom wyciągają sustany, tak szlachcie ruskiej w dzieciństwie odbierają i łamią samostotę wszelką... aby na lokajów przerobiona... słu-

3...

Wszędzie są wyjątki, jać przecie chciałbym się li-

czyć do nich, dodał Arusbek, nie zaprzeczysz, że skład społeczeństwa taki a nie inny... Nie wspomniałem o duchowieństwie, bo to nie ma ani powagi ani znaczenia. Jest to gałąź policyi państwowej...

Do tych żywiołów specyficznym nam właściwym dodać należy — Niemców. Panowali oni nam długo, — a w rodzinie carskiej panują jeszcze do dziś dnia. Ze zwrotem opinii po r. 1863, z większą swobodą patriotycznych objawów Niemcy znikli... przetworzyli się na rodowitych Rosyan. Stanowią jednak w Rosyi spójne i jednolite ciało, które się wpiło w nas i trzyma... Polyp ów w romansie V. Hugo byłby tu dobrym symbolem...

Z tych części składowych, powiedz, do kogo iść... z kim mówić, w imię czego?

— Trzebaby więc zrozpaczyć — rzekł generał.

— Nie liczyłem wychod twa rosyjskiego, którego zmarły Hercen był najdoskonalszym uosobieniem a Bakunin jest jednym z typów wybitnych. Wychodstwo — mówił Arusbek — wyznaje najostateczniejsze doktryny zachodnie i umie z niemi połączyć rosyjskie marzenia socjalistyczne, oparte na komunistycznej gminie — wiesz przecie, że, co się tyczy stósunku do Polski, jest tak krańcowo radykalnym jak rząd. Radzą genewscy reformatorowie przesadzać ludność z Litwy na Sybir, a z Wielkorosyi do Litwy...

Dwa despotyzmy carski i komunistyczny idą tu

ręka w rękę. Jeszcze raz pytam się, z kim i do kogo mówić?

— Mój Andrzeju! rzucając mu się na szyję, zawołał generał — z ludźmi jak ty! niech oni idą i apostołują a nawracają...

— Czytałeś Dixona? zapytał książę.

— Nie.

— Dixon znalazł takiego apostoła czystej wiary od dwudziestu kilku lat zamkniętego w sołowieckim monasterze z rozkazu najświętszego Synodu... Oto los apostołów u nas...

— Dla tego, że ich jest mało — odpowiedział generał...

— Może — rzekł książę — a przecież tam, gdzie tyle rozkołów, apostołowanie wiary łatwiejsze... polityczne trudniejsze stokroć — nie ma mówić do kogo.

Andrzej spuścił głowę smutnie.

— Nie wątpię ja o przyszłości Rosyi, ale to olbrzymie ciało zlepione nie zrosłe potrzebować będzie wieków, ażeby przefermentowawszy dojrzało... Próbować na niém będą swych sił politycy wszelkiego kalibru... i kto wie, czy zewnętrzne okoliczności spokojnie mu się dadzą dorobić przyszłości. — Jest to przecie ojczyzna moja — dodał, kocham ją, w tym chaosie oczy moje, dziecięce widzą może same błyszczące kryształy zamknięte w łożach granitu i skamieniałych piaskach... Smutek ogarnia duszę, z rezygnacją patrzeć

potrzeba na oblędy, na szaty, na to, co od celu odwodzi zamiast wieść do niego...

— Stałeś się więc fatalistą? spytał Zbyski.

— Jak każdy prawie starzejąc — rzekł książę. Siły pojedynczego człowieka są nader ograniczone... a świat rzucony w przestrzenie nieznaną siłą nad siły idzie swą drogą.

— A więc nic! nic! nic! rzekł Zbyski — zatrzymał się chwilę.

— Nie — to nie może być! trzeba działać, próbować, mówić — Rosyanie czują dziś, że potęga cywilizowanych, połączonych ogromnych Niemiec jest dla nich znośniejszą niż Polska... Te Niemcy w sojuszu dotrzymają do chwili, gdy upatrzą osłabienie, gdy poczują zamęt... Drang nach Osten weprze ich do wnętrza Rosyi — a któż wie naówczas, czy łatwowierna, uciśnięta Polska nie pójdzie z nimi??

Zwycięskiej Germanii ciężko będzie w jej dzisiejszych granicach...

W przeczuciu przyszłej walki plemienną rozsadziła już forpoczty swoje aż tam, nad morze Czarne, nad Bałtyk, aż do Saratowa... aż na Kaukaz. Gdzież nie znajdziesz kolonii niemieckiej? Największe w królestwie po Warszawie miasto Łódź jest niemieckie... Są to przednie strażnice niemieckich wojsk. Dajcie się im rozrosnąć, a gdy wybije godzina wojny i zapasów krwa-

wych, nie będzieli-to gotowy sprzymierzeniec w samych wnętrzach kraju?

Zbyski się rozgorączkował, Arusbek milczał, blada jego twarz była spokojną, marmurową — lekko ramionami ruszał.

— Mój Stanisławie, rzekł, z ciebie się dziś stał nieznośny polityczny działacz, marzyciel... gaduła... Jabym pragnął zapomnieć o tém, że na świecie są sprawy, którym ja ani zapobiedz ani pokierować niemi nie mogę, jabym chciał duszą artysty i poety szukać piękna,... wielbić naturę, rozkoszować się wiekuistą, świata młodością... czytać, myśleć, marzyć... a ty... a ty!

— A ja skazany jestem moją naturą polską, na to męczeństwo, odparł Zbyski. Jestem tułacz... rozbitek... pod nogami brak mi podstawy, ziemi — braci, rodziny... muszę sobie lepsze tworzyć światy.

— I cały boży dzień w nich mieszkać? ciągle w nich być zamkniętym? odparł Arusbek — o! daruj, jabym nie wytrzymał — udusił się, zameczył. — Odpocznijmy...

Zbyski podał cygaro, przeszedł się po pokoju...

— Słuchaj no — zagaił kniaź, któż jest ta piękna, smutna, poważna panna czy pani przy twój matce? Twoja krewna?

— Nie — rzekł jenerał, ale wychowanka, ulubienica méj matki... z którą, niegdyś, dawniej.. miała może myśl mnie żenić...

— A! i ta zapewne teraz odżyła?

— Wątpię, rzekł generał, bardzo ją szacuję i szanuję, ale matka i ona wiedzą, że serce mam pełne żałoby, że pamięć pełną mam przeżytych dni, że nowe uczucie nie znajdzie wstępu do mnie...

— Piękną jest, rzekł książę — Wasze kobiety inne są może niż na całym świecie bywają. Spotykałem ich wiele, uderzało mnie zawsze jedno, powaga matron rzymskich, smutek sympatyczny, jakiś charakter arystokratyczny spadkobierczyń wielkiego narodu. Dają im one urok, jakiego inne nie mają kobiety... W każdej Polce zakochać się można... Nawet najpłochsza z nich kryje w sobie jak ów Kopciuszek w bajce, osłoniiony ideał. Przychodzi chwila, magiczną laską dotknięta, najpospolitsza wyrasta na heroinę.

Naród, co ma takie kobiety, dopóki je ma, zginąć nie może.

— I to wszystko à propos panny Michaliny? spytał Zbyski z jakimś dziwnym uczuciem, prawie na zazdrość zakrawającym — widziałeś ją przez kwadrans prawie nie patrzyłeś na nią.

— Nie śmiałem — rzekł Arusbek — ale ona należy do tych kobiet, które się zna całe z pierwszego wejrzenia.

— A! rozśmiał się Stanisław — zapomniałem o tém, że mój Andrzej kocha się co dzień w innej kobiecie i bez miłości żyć nie może.

— Powiedz bez ideału! przerwał wzdychając Arus-bek. Naród bez Boga a człowiek bez jakiegó miłości w sercu jest trupem.

Nie mam rodziny, siostry, brata, nikogo, kocham więc wszystko, co mi jakąś stroną, rysem, dźwiękiem, barwą ideał przypomni. Śmieję się, ja się tego nie wstydzę, ja się tém pysznię... W moich miłościach bez końca nie było nigdy ani kropelki brudu, ani odrobiny kalajacęj je namiętności. Nawet gdym latając po świecie trafił na ideał, co się już zaparł swych szat niebieskich, co mnie chciał spętać szalem... umiałem się obronić i zmusić zepsute istoty, by się dla mnie za anioły poprzebierały...

Więc tak przez świat idę bez myśli, bez celu, rozmarzony, spostrzegam kwiat Boży, staję i modlę się do niego... kocham, szaleję... Potém ona uciecze lub mnie porwie coś i tęsknię, tęsknię, aż zobaczę drugi...

Długo w noc przeciągnęła się rozmowa, a że było pogodnie i jasno, Zbyski przeprowadził przyjaciela do Saskiego hotelu, żegnając go do jutra.

Nazajutrz był obiad u Skwarskich a że staruszkowie nigdy prawie nikogo nie przyjmowali oprócz przyjaciela doktora, zamęt więc był wielki w domu dla przyjęcia miłych gości. Skwarski się ogolił, zaczesał łysinę, włożył nowy surdut, świeżą chustkę, i — co go pono

najwięcej kosztowało, gdyż cierpiał na nagniotki — buty nawet. Nie mniej przybraną była gosposia w czepek z wstążkami pasowemi, a służąca, która miała podawać potrawy, święteczną sukienkę i fartuszek wdziac musiała. Szpice oba tego dnia surowo były trzymane, aby nadużyć, jakich się często dopuszczały, nie popełniły przy gościach. Nadawało im to minę smutną i pani Skwarska po cichu je pocieszała w przekonaniu, że rozumieją doskonale, obiecując im wieczorem sowitą nagrodę... Doktor wezwany osobnym bilecikiem, chociaż nadzwyczaj zajęty, przybył wcześniej. Szło mu o to, ażeby o gościach zapowiedzianych dowiedział się trochę wprzódy i nie był jak w rogu, nie mając się z czém odezwać. Doktor ten, którego tu nazywano po przyjacielsku panem Ignacym, był w swoim rodzaju oryginalną figurą. Nie można było zaprzeczyć ani patentu doktora otrzymanego niegdyś w Wiedniu, ani nauki, ani tytułu. Miał nawet wcale nie złą praktykę, przecież medycyny nie cierpiał i nie bardzo w nią wierzył. Za to znowu był człowiekiem choć do rany przyłożyć, przyjacielem, doradcą, jakich mało. Środki, któremi się posługiwał, ograniczały się na najprostszych: dyeta, rumianek, magnezya, emetyk, w wielkich razach kropelka laudanum i laurocerazu... Po za to się nie posuwał. W słabościach groźniejszych wyczekiwał lub wzywał konsylium. Nie gorzej mu się powodziło od innych. Od kilku lat do środków zwykłych przydawał czasem użycie zimnej

wody. Miał téż swoje teorye szczególne, na przykład że natura stwarzając człowieka w pewnych warunkach klimatu, życia, w każdym miejscu lekarstwo przygotowywała na te słabości, które się wyrodzić w nim mogły. Dla tego środków wyszukanych zamorskich, jak on zwał, nie chętnie używał, wolał domowe jako do natury lepiej zastósowane... Chinę gotów był zastępować tanninem lub korą wierzbową... Uczeń bardzo lekarze śmieli się z niego, on na nich ramionami ruszał. Lekarstw téż w ogóle nie lubił i nimi nie okarmał. Był sobie poczciwy, gderliwy — a gdy mógł gdzie nie grać roli lekarza i być sobie tak prywatnym człowiekiem, najchętniej mu z tém było. Sama wzmianka o chorobie humor mu psuła, dla tego w ogóle na pacjentów się gniewał.

Pan Skwarski znowu miał manią, opisywania swych dolegliwości i radzenia się na nie. Jak tylko usta otworzył, doktor Ignacy marszczył się. — Co bo asan znowu! chory! gdzie chory! komponujesz! widzi mi się imaginacya! U was wszystko choroba... Co za choroba? Zdrów jak pień: napij się rumianku — i po wszystkiém!

Doktor sam nie chorował prawda nigdy i może dla tego w słabości cudze nie wierzył; życie prowadził bardzo skromne, wstrzemięźliwe, spokojne... Ruchu miał wiele, zmartwień prawie żadnych... Pomiernie otyły, silny, z twarzą ciemnej plci, nieco rumianą, z sinemi oczkami, z nosem dużym i niekształtnym, doktor Ignacy

był miły jednak i sympatyczny. Gdy się uśmiechał, znać było w łagodnym rozpromienieniu twarzy dobroć wielką. Nie miał też prawie nieprzyjaciół — a gdy widział w kim niechęć ku sobie, spieszył ją rozbroić...

Ten przyjaciel domu przystawał doskonale do dwojga staruszków, którzy bez niego żyć nie mogli. Była to ich wyrocznia. Miał i ten przymiot, że chodząc wiele, znając wszystkich, wiedział, co się gdzie działo, informowany był doskonale i niewinne plotki nawet lubił. Mówił je tylko na ucho, po cichu, ażeby słudzy nie powtarzali.

W progu już spotkała go pani Skwarska.

— Musiałem się pospieszyć, rzekł, całując ją w rękę, bo widzi droga pani, goście — nie wiedząc kto, nie znając okoliczności, nie śmiejąc ust otworzyć, na nicbym się wam tu nie zdał — więc — kto taki?

— Zbyska, pułkownikowa Zbyska, z Królestwa, przyjaciółka moja od lat dziecinnych, święta, zacna kobieta, która wiele wycierpiała... Z nią miluchna jej przyjaciółka, młoda jeszcze panna, mówią, że nadzwyczaj wykształcona i rozumna... to druga... A teraz — dodała — powiem ci na ucho — bo tego nie trzeba rozpowiadać — nibyto pan Melchior Szarliński.. a w istocie syn jej, pułkownikowej, Stanisław Zbyski, wychowany w Petersburgu, generał dawniej w służbie rosyjskiej... Tylko że był w powstaniu... podali go za umarłego... a to — powiadam ci, cały romans — bo

się w nim moskiewka pokochała, z niewoli go wykra-
dła, życie mu ocaliła, potem on się z nią ożenił, po-
tem ona umarła... Otóż on tu przyjeżdża... bodaj czyby
się nie chciał osiedlić...

Doktor słuchał z bardzo natężoną uwagą, oczy
w górę podniesione, głową kiwając. — No, no — odezwał
się — z tysiąca nocy historia, dalibóg... Dobrze, że
wiem... żebym co nie powiedział im nie do smaku...
A jegomość gdzie?

Skwarski w tej chwili wszedł wyelegantowany; za-
pomnieliśmy dodać, iż wdział był rzadko świat ogląda-
jącą kamizelkę aksamitną i zegarek z dewizkami, który
zwykle w pudełeczku z muszelek wisiał u niego przy
łóżku...

— Oho! ho, rzekł doktor podając mu rękę, jaki
z jegomości szarmant dzisiaj! fiu! fiu.

Jejmość się rozśmiała, Skwarski pobieżnie na zwier-
ciadło spojrział.

— A to może źle, że ja fraka nie włożył, szepnął
doktor — ale fraka nie cierpię, a od czegoż jestem
eskulapem... może mi wolno być w surducie!

— Ale w czém chcesz!

— No to dobrze!

Doktor sięgnął do głębokiej kieszeni i wyjął ostro-
żnie coś w papier zawiniętego. — A to się pani przyda
do deseru... choć maleńki, po kawałeczku... w tale-
rzyki trzeba pokrajać...

Był to ananasik kupiony po drodze, z którego w istocie pani Skwarska była i dumna i dosyć mu rada... Doktor téż był bardzo szczęśliwy, że się na-przód dowiedział o ludziach, z którymi miał siedzieć u stołu. Po chwili nadeszli goście, przyjmowani od progu z tą starodawną gościnnością serdeczną, co gospodarzy czyni sługami przybywających. — Skwarski, który kochał ojca, rozplakał się na widok syna i uści-skał go, nie śmiejąc wszakże przy doktorze wspomnień dawnych podnosić. Westchnął tylko i otarł zwilżone oczy. — Pani Skwarska zajęła się kobietami, ale z cieka-wością wpatrywała się w syna swój przyjaciółki. Ten zdał się jój surowym i przerażająco smutnym. Doktor Ignacy, nawykły do poufałego obejścia w kółku najbliż-szych znajomych, zwykle spotykając się z obcymi, co mu się rzadko zdarzało, był milczący i zakłopotany, dopóki i z nimi się nie spoufalił. Nie trwało to je-dnak nigdy długo. Jak nie cierpiał fraka, tak mu cięż-żyła ceremonialność, zrzucał ją, jak mógł najprędzej. — Jeśli się jój w czyjém towarzystwie pozbyć nie mógł, w takim razie z towarzystwa uchodził. Z razu z pod oka przypatrywał się generałowi, rzucał gderliwie po słówku, a powoli coraz śmieliej, coraz głośniej wszedł na ton swój zwykły. Dopomogło do tego parę kieliszków dobrego węgierskiego wina, którém pan Ignacy nie gardził.

Pan Melchior Szarliński uchodził tu za siostrzeńca

pani Zbyskiej, mowa naturalnie wprędce weszła na tóropobytu i okupienia się w Galicyi.

Rachowano na doktora, że w tym przedmiocie mógł dać radę praktyczną. Potrząsł głową.

— Naprzód, co to pan dobrodziej Galicyą nazywa? spytał, bo się wielu przybywających myli... Galicya zaczyna się, panie dobrodziej, gdzie się W. Księstwo Krakowskie kończy, tu nie mamy nic z Galicyą wspólnego...

— Ależ Kraków jest jedną ze stolic Galicyi? rzekł generał.

Doktor potrząsł głową i wskazał ku wschodowi, dając do zrozumienia, że Galicya była tam.

— Otoż panie dobrodziej — dodał, pomiędzy Krakowskiem a Galicyą jest różnica charakteru wielka... My tu... jesteśmy konserwatyści, dalej za rok 1831 ani ludzi ani idei nowych znać nie chcemy. Cisną się nam... i jedno i drugie na gwałt... narzucają... bronim się, jak możemy. A że każdy gość może z sobą mieć w kieszeni jaką nowinkę, jaki ukryty szmermel; podejrzany nam wszelaki gość i — prawdę rzekłszy... nie radzi mu jesteśmy. Młodsze żywioly wnoszą zbyt ruchu i wrzawy z sobą, a nasz organizm tego nie znosi...

W Krakowskiem osiedlić się nie jest może trudno, ale wrosnąć tu, zostać wcielonym i przyjętym za członka społeczeństwa... ho! toć na to potrzeba i wiele czasu

i wiele dowodów, że się z sobą zarazy nie przyniosło...

Pan Ignacy uśmiechnął się.

— My, mości dobrodzieju, dobrzy sobie ludzie jesteśmy, wierz mi pan, ale my u siebie w domu nie radziśmy komu dać gospodarować... My do starego obyczaju, do starego bruku, do murów starych, do wad odwiecznych nawykliśmy .. i chcemy przy nich pozostać. A tu panie, przychodzą coraz nowi ludzie, gwałtując o postęp, o ruch, o jawność, o równouprawnienia... dla żydów i protestantów, kiedy my katolicy i świętopietrze płacimy serdecznie... W ogólności reformatorów nie cierpimy... a w każdym przybyszu śmierdzi nam skryty radykał... Powinieneś pan wiedzieć, żeśmy w r. 1864 sami przecie petycją podpisywali o stan obłączenia...

— Szanowny panie, rzekł generał, jestem tak dalece wyrozumiały na wszelkie przekonania, tak szczerze szanuję, co jest szczerém, iż państwu ich miłości ku staremu porządkowi nie mam za złe, choć wątpię, żebyście się oparli falom i przy nim zostali. Sądzę też, iż w społeczeństwie nawet owo stronnictwo zachowawcze jest potrzebném dla przeciwwagi, aby młodzież zbyt szybko naprzód nie rwała. Z tém wszystkiém... powinniście państwo naprzód starać się poznać człowieka, nim go odepchniecie, bo zkądże możecie wiedzieć, czy wam on nie przynosi nowój siły?

— Za pozwoleniem, odparł doktor; my mamy po sobie słusność. Ktoś, co się z miejsca na miejsce przenosi, błądzi i szuka dla siebie nowój siedziby, już przez to samo że się rusza... podejrzanym jest! Nie, powiesz pan, byśmy nie mieli słusności.

Jenerał' rozśmiał się i wszyscy mu zawtórowali. Doktor Ignacy przybrał minę tém poważniejszą, im ironiczniej występował.

— Co do mnie, rzekł Stanisław — ja szukam wprawdzie na własnej ziemi miejsca, gdziebym swobodnie pracować mógł i spocząć, ale nie życzyłbym sobie nigdzie narazić się na walkę z uprzedzeniami i nieprzyjaznym usposobieniem... Więc jeśli Galicya jest tak niegościnną...

Doktor wychylił kilka kropel pozostałych w kieliszku.

— Nie trzeba się spieszyć, rzekł, ani z postanowieniem ani z wyrzeczeniem myśli, póki się nie doświadczy wrażeń... nie spróbuje szczęścia... Ja sobie tak plotę... ot! stary gdera... Z drugiej strony, są ludzie, co mówią, że my pruchniejemy, że ludzi nam nowych i sił potrzeba... jest u nas kupka nowatorów...

— Mówisz pan jeszcze zdaje mi się o księstwie Krakowskiém, odezwała się pułkownikowa, jeśli się nie mylę? Pozostaje nam Galicya właściwa...

— Tak, Galicya, Galilea!... uśmiechając się mówił doktor Ignacy, kraj to już zupełnie różny. U nas

na przykład panuje Adam I z bożej łaski... i ci, co z nim trzymają, — tam ani nawet ksiązę marszałek, ani rodak-namiestnik, ale p. Smółka i komitet towarzystwa demokratycznego... Czy w istocie on rządzi, czy tylko jak królowie konstytucyjni panuje a nie rządzi i tylko najgłośnieńj hałasuje a książęta i rodacy ekscellencye po cichu sobie robią, co chcą, tego ja z pewnością wiedzieć nie mogę. Jednakże faktem jest, że o ile Kraków konserwatywny, o tyle Lwów demokratyczny, postępowy i patriotyczny... Tu tedy emigrant, chciałem powiedzieć gość przyjęty jest z większą sympatyą jako Polak i zionek... Może nawet w pewnych razach uroczyscie być witanym... i pozdrowionym mowami... jednakże wkłada to nań ciężkie obowiązki... Wszystkim tu dogodzić trudno, a jednego tylko niezadowolniejszy... trzeba się opędząć dobrze, by spokojnie wyżyć... Dodam, że naturalnie siadając tu, poślubia się zaraz nieustającą walkę z braćmi Rusinami... co nie jest rzeczą przyjemną... Rodak namiestnik jawnie manifestował i manifestuje swą niechęć ku przybyszom... i jeśli by wrócił do władzy, nigdy nie można zaręczyć, ażeby wpadłszy w zły humor do granicy rosyjskiej odstawić nie kazał.

— Mój doktorze — przerwała gospodyni domu — cóżbo ty znowu z tak czarnej strony nasz kraj malujesz! zmiłuj się!

— Pani dobrodziejko — szepnął doktor, głowę między ramiona tuląc — mówię, co myślę. Są i tu

kompensaty jak wszędzie, możemy do nich z kolei przyjść.

Jenerał westchnął.

— Wyobrażalem sobie, znając nieco życie i usposobienia Królestwa Polskiego, Litwy, Wołynia, Podola, iż wszędzie Polak za brata i obywatela przyjętym będzie ochotnie, gościnnie, a tém serdeczniej, im więcej cierpiał, im bardziej potrzebuje przytułku. W zaborze rosyjskim, gdy się zjawił kto z Galicyi, z Poznańskiego, co życie wspólne i pracę chciał podzielać, oburącz go przyjmowano... ułatwiano mu, pomagano, opiekowano się nim jak bratem... Przypominam sobie wypadki, w których umiano nieznacznie dla zatrzymania ludzi, przybłych chwilowo, wyszukać im dzierżawy, ożenku, nabycia dogodnego zatrudnienia.. a to tak serdecznie, tak chętnie, z taką rozkoszą z dopełnionego obowiązku, z takim pospiechem łącząc siły całych okolic, iż rzadko kto, tam przybywszy na zwiady, nie został na zawsze... Tu jest widzę inaczej.

— O tu jest wiele inaczej — rzekł doktor — my, bo widzi pan, trochę sparzeni jesteśmy, a trochę zrażeń, a trochę skwaszeni... Nie idzie nam po myśli.

— Nie ma więc tu co myśleć o osiedleniu — rzekł Zbyski. — Człowiek skolatany potrzebuje spokoju, wypoczynku... tuby się musiał zaprzędz do walki... nie o zasady i nie dla jakiejś sprawy, boć taka walka obowiązkiem, ale w obronie zagrożonej egzystencji.

— Oh! oh! znowu tak źle nie jest! — rozśmiał się pan Ignacy — my krzyczymy głośno... ale niebezpieczni bardzo nie jesteśmy... Dałbym przykłady osób, które umiały tu, z innych prowincyi przywędrowawszy, powoli sobie wyrobić wygodne łoże i już tu są jak w domu... Wszystkie wszakże przykłady te stósują się do dobrze urodzonych i uznających panowanie z bożej łaski rodziny, która zresztą — bądźmy sprawiedliwi — wiele czyniła i robi dobrego...

— Jakżebyś pan radził memu sy... — tylko co nie powiedziała pułkownikowa — synowi — zarumieniła się, zmięszała, chciała poprawić, synowcowi, przypomniała, że miał być siostrzeńcem... dodała: siostrzeńcowi, co uśmiech nieznaczny wywołało na usta doktora. — Jakżebyś pan radził mojemu siostrzeńcowi? czy ma się starać kraj poznać i zawiązać stósunki? czy...

Doktor począł chleb krajać i z kawałka kręcić gałkę, zatopił się w talerzu, na którym nie nie było i głową potrzasał.

— Radzić — rzekł — jak to tu radzić?... Doprawdy bardzo to ciężko... Może się ja myślę, może szanowny pan ma szczęście, może mu się lepiej powiedzie, niżbym ja wróżył?.. Zawszebym powiedział: należy iść, rozpatrzeć się i samemu próbować! Jednakże trzeba, by ktoś w towarzystwo wprowadził i żeby poprzedziła choć ta fama, zawsze konserwatywny nadająca charakter, że się będzie dobra kupować.. To konieczne, bo

my wszelakim proletaryatem brzydzimy się aż do wstrętu... proletaryatem intelligencji naprzód, proletaryatam pa-tryotyzmu, proletaryatem pracy... Z tém u nas wiąże się idea społecznych przewrotów.. a w obronie status quo gotowiśmy na wszystko!! na wszystko...

Jenerał, który przyszedł dosyć posepny, stał się smutniejszym jeszcze. Bądź co bądź, wszystko, co sły-szał i widział, przekonywało go, iż Polska nietylko ma-teryalnie podzieloną była, ale duchowo rozbitą, że tu nic już jój nie łączyło z oderwanymi częściami, wszy-stko skupiało w obronną osobną całośćkę, już nie wie-rzącą, by kiedy czém inném być mogła, prócz jedną z owych planetoid drobnych, eo z rozbitego świata po niebie smutne się włączą.

Skwarski nie mógł zapobiedz temu, by rozmowa nie wpadła na ten tor poważny a chmurny, jako go-spodarz zaś pragnął, by gość pod jego dachem był we-sół. Człowiek to był starszej daty, który na roku 1831 w pojęciach, obyczajach, bakenbardach i halsztuku się za trzymał... a ówczesni ludzie byli po trosze fataliści i chętnie mówili: Jakoś to będzie! Więc ponalewał kieliszki i trącił łokciem doktora.

— Mówbo co weselszego, panie Ignacy — a gło-śno dodał:

— Dajcież, panowie, pokój tym malaturom satyry-cznym naszego biednego kraju. — E! dalipan tak źle nie jest... Wszystkiego na rozum brać i nie należy i nie

można... coś trzeba na Opatrzność téż spuścić! Wypijmy za zdrowie dobrych ludzi, o tych i w Galicyi nie trudno, choć ją oszkalowano...

Doktor podniósł kieliszek.

— Za zdrowie wszystkich tych, którzy czcigodnemu gospodarzowi są podobni, ale naprzód gospodarstwa!

Wszystcy się ruszyli... trącono kieliszki, węgryzn powoli wlewał szczeróć i rozwiązywał języki... Byliby się téż może szczęśliwiéj rozgad li i do praktyczniejszych doszli wynurzeń wzajemnych, gdyby u drzwi pierwszych nie dał się słyszeć głos jakiegoś przybyłego, który ze służącą gorąco się spierał o pozwolenie wniknięcia...

Słychać było wyraźnie z przedpokoju.

— Są goście, proszę pana — z daleka! państwo siedzą u stołu...

— No to co, że są goście? a choćby i z daleka! no to co, że siedzą u stołu? czy już dla mnie krzeselka zabraknie — hę?

— Ale proszę pana! to może... może się pan każe opowiedzieć?

— Ja? zameldować? u Skwarskiego? ale, moja panno! czy mnie po raz pierwszy widzisz? czy co?

Skwarski, poznawszy znać głos, skrzywił się nieznacznie, serwetę odwiązał od brody, potarł nieszczęśliwą łysinę, zawahał się, na żonę spojrział, jakby pytał, co tu robić, i pospieszył Basi na pomoc...

Wszyscy milczeli... Z przedpokoju dochodziły głosy: Mój drogi majorze! proszę cię, ta panna mi chciała wstępu bez zameldowania odmówić! Staremu przyjacielowi...

— Właśnie pospieszyłem...

— Proszę cię! mnie! mnie. Cha! cha!

Potém jakby coś z cicha szeptano, potém głos gościa nieco żywszy dał się słyszeć — To mnie zaprezentujesz... Oczy wszystkich zwróciły się ku drzwiom... W progu ukazał się mężczyzna słusznego wzrostu, dobrej tuszy, rumiany, siwiejący już, postawy bardzo zręcznej, mimo srebrzystych włosów widoczne zdradzający do młodości pretensye, ubrany wykwintnie, ale bez błyskotek, słowem nadzwyczaj przyzwoity, dobrego tonu i miłej, wygładzonej fizyognomii. Był to pan Wilhelm Okoński...

Trudno powiedzieć, kto był pan Wilhelm Okoński, z kąd się on przed laty dziesięcią, dostał do Krakowa, co tu robił, z czego żył i czém się trudnił. Stał pod Różą, od dawna, wprzódy w hotelu Saskim, był tu niby gościem czasowym... ale wrósł zupełnie do Krakowa. Doskonale mówiąc po francusku, będąc zasad przesadnie konserwacyjnym, należąc z zamiłowania do wyższego towarzystwa, był wszędzie bardzo dobrze widzianym. Do wszystkich znaczniejszych domów uczęszczał, przy wszystkich grach, choćby najgrubszych, słu-

żył za niezmordowanego partnera, umiał się wśrubować do każdego lepszego, to jest świetniejszego towarzystwa, a mimo że plotki roznosił i wszystko wiedział i w każdą intryżkę miejską, nosa wścibił, wychodził zawsze cało, grał rolę powiernika przy matadorach, sam chętnie w innych sferach matadora udawał i — ot tak — szczęśliwie pędził życie bez troski, uprzyjemniane cudzemi obiadami, herbatą doskonałą, śniadaniem lukullowemi.. a dla wypoczynku wistkiem lub preferansem, lub choćby nawet diabełkiem.

Jedną miał wadę, z której sobie umiał przymiot zrobić, był z profesji gastronomem. Za światłą jego radą, urządzano obiady i śniadania, wiedział najautentyczniej, jakie wino kiedy podać wypadało, które potrzebowało chłodzenia a które ogrzewania, gdzie i po czemu był najlepszy węgryz, najprawdziwsze bordeaux i szampan niefałszowany. Pochwała pana Okońskiego starczyła za patent — ale nią, nie szafował, nie wszystko mu było dobre. Za własne pieniądze nie widziano go, by jadł kiedy, fundusze też jego były problematyczne, okryte tajemnicą, najgłębszą, choć długów nie miał, przegrane płacił i na ubranie ani na karty nie żałował. Pokój jego w hotelu był przybrany bardzo wytwornie, ale tam oprócz cygara nigdy nikt nic nie dostał. Zagadkowy ten człowiek rodzinę gdzieś miał, choć o nią mało mówił... herb zaś i na sygnecie i na cygarnicy i na małych sprzączkach był tak wyrazisty, iż o po-

chodzeniu z czystej krwi szlacheckiej nie mogło być najmniejszej wątpliwości.

Przybycie pana Okońskiego do Skwarskich w czasie obiadu dla wtajemniczonych w życie miejskie jak doktor Ignacy oznaczało, że już gość ów o przybyciu pani Zbyskiej i jej syna wiedział, że potrzebował ich widzieć a dodatkowo może starego węgrzyna chciał skosztować. Na inne bowiem przysmaki kuchni skromnej państwa Skwarskich nie mógł się taki człowiek łakomić, a raz na zawsze był zaproszony pod Baranami.

Wszedł pan Wilhelm i jednym rzutem oka objął, rozklasyfikował, ocenił towarzystwo... Zaprezentowany uklonił się i grzecznie i bardzo zręcznie, krzesło sobie przysunął z gracyą wielką i ulokował się jakoś pomiędzy doktorem, który go cierpieć nie mógł, a jenerałem...

Doktor i on żyli z sobą dosyć z daleka, stykali się rzadko, wstret mieli do siebie wzajemny, ale byli z sobą bardzo grzeczni.

— Kochanego doktora Ignacego — rzekł Okoński — nie widziałem od wieków wiecznych — cieszę się, że zdrów i dobrze wygląda...

Doktor skłonił głowę.

Rozmowa była trudną, ale w nawiązaniu i tkaniu jej, nawet w najmuiej sprzyjających okolicznościach, pan Okoński był mistrzem. Wzywano go też w razach

zdesperowanych, gdy nie spodziewano się jój o własnych siłach utrzymać.

— Państwo z Królestwa tego nieszczęśliwego, odezwał się do pani Zbyskiój, ja także jestem obywatelem Królestwa... ale tam teraz życie stało się niemożliwém. Ta biedna Warszawą...

Westchnął, zawtórowano mu...

— My tu przynajmniej mamy swobodę osobistą, opiekę nad narodowością, i niech sobie ludzie mówią co chcą—żebyśmy nie mieli dezorganizacyjnych żywiołów, przy dobrej woli rządu... bylibyśmy teraz jak u Pana Boga za piecem.

Doktor coś pomruknął. — Okoński spojrzał nań — rozśmiał się.

— Kochany doktor trochę jest pessimistą...

Ignacy ruszył ramionami. — Ja-pès-sy-mi-sta! No — proszę... panie majorze, czy ja jestem pes-sy-mi-sta?

— Troszeczkę — rozśmiał się Skwarski...

— Nie wiem, czy pani pułkownikowa Zbyska raczy sobie przypomnieć, przerwał Okoński, iż miałem zaszczyt być jój prezentowanym przed laty dziesięcią u pani hrabiny Augustowój...

— Tak... przypominam sobie! szepnęła skłopotana nieco pani Zbyska, w istocie nie pomnąc nawet, czy u pani hrabiny Augustowój była. Okoński mówił dalej.

— Lepsze to doprawdy były czasy — i ludzie nawet między Moskalami nie źli. Książę Górczakow un

peu faible, mais très honnête homme... W zamku towarzystwo mile, w Warszawie tyle domów, hrabiny... książąt... baronostwa... hrabiów...

Począł liczyć Okoński i po imieniu spieszczono wymieniać osoby, z któremi, jak widać, żył na bardzo poufałej stopie.

Jenerał, Michalina, wszyscy przypatrywali się temu bohaterowi salonów... on, wśród opowiadania, nie tracąc czasu, badał osoby, twarze, widocznie pragnął odgadnąć, z kim miał do czynienia, z jakiego świata byli to przybysze... Nikt się nie odzywał; gospodarz tylko podał kieliszek starego wina.

— Ale, kochany majorze, ja bo jeszcze obiadu nie jadłem, jestem zaproszony na piątą...

— Choćby przed obiadem kieliszek wina wytrawnego nie zaszkodzi! zawołał Skwarski — prawda do-
ktorze?

— Szczególniej gdy wino wytrawne pije wytrawny człowiek! potwierdził doktor Ignacy.

— Przedziwnie! zaśmiał się Okoński — zawsze dowcipny...

Doktor wedle zwyczaju głowę między ramiona weisnął.

— Nie będą dziś państwo w teatrze — dorzucił Okoński — a! przecież warto widzieć Modrzejewską... Jest to chlubą naszej sceny, że taką dała teatrowi polskiemu artystkę... prawdziwie genialną. Z każdej roli

umie ona wydobyć życie... Nieporównana et très comme il faut! Niepojęta rzecz, jak ta kobieta zrodzona na deskach teatralnych potrafiła zdobyć tę dystynkcyą, ten ton wielki... To geniusz...

Okoński był jednym z tych łysych wielbicieli artystki, którzy rozplywali się nad Adryenną Lecouvreur... Rozmowa zwróciła się na teatr... potem na wystawę sztuk, na restauracyą ołtarza Panny Maryi na odkrycie zwłok i pogrzeb Kazimierza Wielkiego. Nie potrafił wszakże zarzucając najrozmaitsze wędki p. Okoński złapać na nie osób, z których dobyć pragnął jakiegoś charakterystyczne słowo. Jenerał słuchał z uwagą, pani Skwarska potakiwała, pułkownikowa uśmiechała się, Michalina siedziała poważna i surowa.

Dla tak zręcznego człowieka, jakim był p. Okoński, milczenie samo już coś mówiło. Oznaczało ono, że się ci ludzie obawiali wygadać... co tém większą obudzało ciekawość. Ofiarował swą pomoc w dostaniu biletów do loży, ale pułkownikowa podziękowała — nie szło... Skwarski był zakłopotany, doktor milczący. Po kilku próbach Okoński trochę zamilkł, zdawał się szukać téj nowój beczki, z którejby mógł zaczerpnąć.

Major trochę był ożywieńszy i mniej ostrożny niż zwykle po węgierskiém winie.

— Już to, odezwał się — niktby lepiej nas nie objaśnił o tutejszych stósunkach nad pana Okońskiego. Pan... pan... (jąkał się nie mogąc przypomnieć nowego

nazwiska jenerała)... pan Szarliński ma podobno myśl nabycia tu dóbr...

Żywo obejrzał się Okoński...

— O! nic łatwiejszego, rzekł uśmiechając się — cała Galicya jest do sprzedania... dóbr więcej niż kupców... Prusacy nabywają nieustannie...

Pan dobrodziej chciałby w Krakowskiém...

Jenerał nie rad może, iż go zdradzono przed obcym, nie mógł się już cofnąć.

— Nie jestem jeszcze zdecydowany — odpowiedział — chciałbym się rozpatrzyć.

Okońskiemu znać potrzeba rozpatrzenia, protekcyi słodką uczyniła nadzieję śniadań, obiadów.. wieczorów i żywo począł.

— Naprzód nieuchronnie należy porobić znajomości. Każda prowincya ma dystyngwowane rodziny, które ją reprezentują... w tych domach najlepiej się można poinformować. Rodziny te właściwie rządzą krajem i wpływ nań największy wywierają... nie wchodząc do tych domów, kraju się nigdy nie pozna... i nic się w nim nie robi... Gdyby pani pułkownikowa życzyła sobie... lub pan dobrodziej (wskazał na jenerała) chciał zrobić znajomości, ja, na którego są dosyć łaskawi...

— Nieskończenie wdzięczny jestem, przerwał jenerał — korzystałbym z jego uprzejmości, ale tym razem bawimy tak krótko...

Na tém się skończyła próba. Okoński wypił jeszcze kieliszek wina, starał się wybadać pułkownikową.

— Przypominam sobie, że pani dobrodziejka miała syna w Petersburgu? nagle począł Okoński.

Na te słowa twarze wszystkich, oprócz jenerała, który pozostał spokojnym, tak się zmieniły, tyle spojrzeń skrzyżowało, iż Okoński bystro dorozumiał się, że na coś musiał bolącego nastąpić.

— Mój syn, cicho bardzo... odpowiedziała pułkownikowa — zginął.

Milczenie; zmieształ się badacz... ale popatrzwszy znowu po otaczających sam nie wiedział, co wnosić.

Natrętna jego wizyta dosyć już była długą i bezskuteczną, a że dawała mu prawo odwiedzenia pułkownikowej Okoński spojrzął na zegarek, począł się żegnać i przeprowadzony przez Skwarskiego wyszedł.

Wszyscy lżej odetchnęli.

Doktor Ignacy jakby sam do siebie wymówił do stojącego przed sobą kieliszka — Truteń! Uśmiech przebiegł po ustach staruszki gosposi.

Przybycie Okońskiego zwiastowało pułkownikowej, iż tegoż dnia o niej wiedzieć już i mówić będą w tych kołach, w których się Okoński obracał.

— Masz pan dobrodziej żywy dowód — ozwał się cicho bardzo doktor, że przecie i u nas est modus in rebus. Oto ten miły i wielce szanowny pan Wil-

helm Okoński lat dziesięć jak się tu osiedlił i widzą państwo, że mu dobrze — utył nawet.

Świadczy to przeciwko mnie i moim pes-sy-mi-stycznym zapatrywaniom... Mea culpa. Powinienem być rozgrzeszonym. Nie prawda majorze?

— Ja ciebie bez spowiedzi rozgrzeszam, rozśmiał się Skwarski, bo i ty mój doktorze... stary poczciwy gdera... a serce masz złote...

Zaczęto się ruszać na znak dany przez gospodynię od stołu... Basia wносиła czarną kawę na tacy ogromnej... A była to taca srebrna wyprawna jeszcze, której przyjemnie było na świat wyjrzeć przy tej sposobności.



Z imieniem wielkiej stolicy Kraków jest małym miasteczkiem... od Floryańskiej bramy do Wawelu na wylot go może ciekawe prześwidrować oko... Wszyscy się tu znają, każdy wie o życiu, zajęciach, gustach i nawykniach sąsiada, ukryć się niepodobna ani z nalożeniem ani z cnotą... Ci nawet, co się z sobą nie witają i nie żyją, poznają się po fałdach sukni z tyłu... Nowo przybyły na tym tle starém odbija natychmiast i najmniejszy żydek wekslarz pozna go, prześladowuje i goni. Jak w małżeńskim długim pożyciu, mówią, że małżonkowie stają się w końcu do siebie podobni, tak i mieszkańcy tutejsi nabrali pewnej jednostajnej, księ-

żowsko-profesorsko-mieszczańskiej fizyognomii. W gruncie jest to jeden typ z trzema waryacyami. Dodawszy do tego izraelską ludność na całym świecie jedną, i włościan z okolicy, mieć będziecie wyobrażenie tła, z którym oko łatwo się tak oswaja, iż na niem jak jaskrawą barwę nawet niedalekiego Lwowianina odróżnia. Są wprawdzie w życiu Krakowa chwile przepływu i odpływu większego obcych, w których więcej jest żywiołów naniesionych, co ogólny charakter nieco zmienia, ale większą część roku... sami swoi. -- W miastach, w których silniej było rozbudzone życie w młodzieży uczącej się — jak na przykład w Wilnie, żywioł ten wybitnie się odznaczał, tu on prawie znika. Młodzież terazniejsza dobrowolnie ściera z siebie znamiona stanu i wieku, woli uchodzić za starych i dojrzałych...

Nawet mniej uderzający przybysz w Krakowie zwracać musi uwagę, a o nieco wyrazistszym wiedzą nazajutrz nietylko wszystkie redakcyje, wszyscy doróżkarze, ale nawet szukający zajęcia faktorowie. — Mimo największego starania, aby się uczynić niewidocznym, generał też wypłynął w parę dni tak dobrze na wierzch, iż wiadano, dokąd i o której godzinie z domu wychodził; jakich miał znajomych a nawet poniekąd, po co przyjechał. Historia jego z dramatycznymi dodatkami chodziła z ust do ust, budząc powszechną ciekawość. Miał nawet parę odwiedzin zupełnie nieznanym ludzi, którzy cierpieli za ojczyznę a nie mieli dwudziestu cen-

tów na tytuł, jednego muzyka, który przyniósł mu dedykowanego poloneza, i jednego literata, który chciał go przypuścić do spółki w wydawaniu bardzo zajmującego dzieła o starożytnościach miasta Bochni.

Wszystko to niecierpliwiło, męczyło człowieka, który pragnął i sądził, że mu się uda przesunąć niewidzianemu. Większą też część dnia spędzał za domem na zwiedzaniu miasta z Arusbekiem, który ciekawy był wszystkiego, nawet starożytnych pamiątek téj Polski, której wcale nie rozumiał. — Przy najlepszych chęciach poczciwy książę czerpał o Polsce wiadomości z takich źródeł, z których tylko męty mógł zaczerpnąć. Jenerał starał mu się tę przeszłość wytłómaczyć, objaśnić, ale wyprowadzenie z błędu było bardzo trudném. Jak wszystkie zjawiska historyczne, na których utworzenie składają się siły różne i różnolite, Polska téż ma oblicze nie łatwe do rozczytania się w niém i mieniające. Nie dziw, że z pewnym pozorem bezstronności nawet można, z różnych się na nią stron zapatrując, widzieć w niej najwyższą piękność i najpoczwarniejszą brzydotę...

Na to tylko trzeba być jednostronnym i namiętnym. Polski, jaką w istocie była, mało kto dziś rozumie — intuicyą dziecięcą, chyba sierocy jéj synowie, co się w te rysy ukochane całe życie wpatrują i znają wszystkie ich zmiany, transfiguracye, cienia i blaski.

Arusbekowi ta Polska dawna obcą była zupełnie

a przez to i nowa stawała się niezrozumiałą. Ten, coby w życiu ani we śnie nie widział gmachu, mógłżeby pojąć rzucony na polu kapitel strzaskanéj kolumny? Jedno tylko Rosyanina dobréj wiary uderzało — to niezmierna przestrzeń, jaka dzieliła dwa kraje, Polskę i Rosyą... wychowane na dwu różnych mlekach... zrodzone pod ja kiemiś innemi konstelacyami. Pokrewieństwo ledwie się dawało dojrzeć, rozbrat historyczny uderzał co chwila. Arusbek wszakże, lepsze mając serce i szlachetniejsze od innych swych współziomków uczucia, łatwiej mógł odgadywać jasne strony polskiéj przeszłości... umiał poszanować je i chwilami zdawał się je rozumieć.

Jenerał téż gorliwie pracował nad wyjaśnieniem mu tych zjawisk, które, odrębnie wzięte, fałszywie tłómaczyć się mogły.

Chodzili tak, ścigani oczyma ciekawych autochtónów, a że wiedziano o rosyjskiém pochodzeniu kniazia Arusbeka, powszechnie głowami kręcono na tę przyjaźń, jaka łączyła niedawnego powstańca z wysoko położonym podróżnym Petersburgezykiem.

Wkrótce gorsze on jeszcze na siebie ściągnął podejrzenie, jednego bowiem dnia ów kniaz, którego jakby na całą zimę w Wiedniu już zamieszkałym spotkał Zbyłki, zjawił się przejazdem przez Kraków i zawitał (nie wiedząc zkąd o jenerale się dowiedziawszy) do mieszkania jego, gdzie i Arusbeka zastał. Drugi ten kniaz wcale nie był im gościem pożądanym. Arus-

bek, zobaczywszy go i zimno przywitawszy, wyszedł zaraz; jenerał przyjął go milcząco. To chłodne przyjęcie zdawało się raczej pociągać kniazia Samuela niż odstręczać. Siedział godzin parę, w rozmowie badał na wsze strony Zbyskiego, a nie dowiedziawszy się od niego nic, oprócz że się może w Galicyi osiedli, zdawał przykro dotknięty. Pytał po kilkakroć i o Arusbeka, ale o tym powiedział tylko jenerał, że się z nim wypadkiem tu spotkał, że bawi nie długo i zapewne przez Warszawę do Rosyi powraca.

Wszystko to Samuel przyjmował z niedowierzaniem pewnym, z półuśmiechem, a gdy nawzajem spytał go Zbyski, co on tu robi, odpowiedział, że ciekawy był starój ruskiej stolicy i jedzie do Lwowa na dni parę.

— Trudno się było oprzeć pokusie — rzekł — siedzieć w Wiedniu, a naszego kraju nie zobaczyć. Przecież się tam teraz ku nam sympatya obudziła i poczucie braterstwa. Rusini mają rozum, że do silnego lgną, a przerobienie się na model wielkorosyjski nie wiele ich będzie kosztować. Pamiętam, gdy mi jeden Małorosyanin w Kijowie z westchnieniem wyznał: *Enfin-que sais-je, nous sommes peut être destinés à être eternellement l'envers de quelquun, nous avons été d'envers de Polonais, nous le deviendrons pour la Russie...*

Jenerał nic nie odpowiedział na to, Samuel popatrzał nań... zagadał czémś obojętném i odszedł.

Po obiedzie gdy się spotkali z Arusbekiem u pułkownikowej, gdzie ich już natręci ścigać nie mogli, książę się odezwał:

— Nie wiesz, co on tu robi?

— Odpoczywa w Wiedniu po wodach a dla ciekawości, jak mi powiadał, wybrał się do Lwowa.

Dla ciekawości! potrzęsając głową rzekł książę, — wierz mi, tacy ludzie jak książę Samuel — nic dla daremnjej ciekawości nie przedsięwiorają... Ja nietylko nie lubię go, ale się lękam...

Rozmowa wkrótce stała się ogólną i na tém się skończyło. Arusbek bardzo pokochał nietylko smętny wyraz twarzy Michaliny, ale staruszkę pułkownikową... Miał serce potrzebujące kochać, żyło w niém wspomnienie własnej matki, matkę więc przyjaciela pizybrał sobie niemal za własną. Prosił ją o pozwolenie nazywania po polsku — mateczką, całował po rękach, przynosił bukiety, starał się rozweselać rozmową... Spoufalił się zresztą i z panną Michaliną, bo obie panie mimo odrazy, jaką budzi imię Rosyanina, w przyjacielu Stanisława widziały tylko dobrego człowieka... Michaliny położenie względem jenerała było jakieś dziwne i przykre, — starała się być dla niego zimną, a nie zawsze umiała.

Na samę myśl, że ją mógł posądzić o jakieś zamiary podboju, krew jój uderzała do głowy, a mimo to

charakter, powaga, słodycz, rozsądek, nawet dziwactwa tego człowieka czyniły na nią głębokie wrażenie.

Z kniazem Andrzejem swawoliła, śmiała się dziecinnie, pozwalała mu sobie prawie grzeczności, bywała nieco zalotną, z jenerałem była surową i zimną. Arusbekowi tak jakoś z niemi było dobrze, — a w reszcie świata tak samotnie i pusto, iż ciągle powtarzał:

— Kupujcie sobie tu dobra, ja się do was przyłączę, wydzielicie mi w parku, — bo park być musi, — kawałek gruntu, pobuduję sobie szalet szwajcarski i raz w rok na wakacye do was będę przyjeżdżał, kwiateczki sadził... dumał, czytał i długie ze Stanisławem czynił wycieczki...

Jenerał, który trochę się rozpatrzywszy w Krakowie, rad był już puścić się dalej — zatrzymywał się tylko dla Arusbeka. Przytém ode Lwowa odstręczał go Samuel, który tam miał pojechać a którego spotkać się lękał.

Od dnia więc do dnia, choć policyanta sznurującego około hotelu widzieli codzien, choć się z policyi dopytywano, kiedy jenerał wyjedzie, bawiono, nie postanowiwszy, co się ma dalej zrobić. Arusbek tylko oświadczył, że poświęca się na ich usługi i towarzyszyć im będzie, dopóki pozwolą. Był to tak miły, niezawadny a serdeczny druh, że mu wszyscy byli radzi. Pułkownikowa go lubiła bardzo, panna Michalina nie tała się ze słabostką dla niego, i był jój potrzebny, bo inaczejby

ze swą wesołością i dowcipem nie miała zręczności wystąpić.

Arusbek, nawet przeniósł się do tego samego hotelu, aby częściej być z niemi. Wychowawcowi zbytku nawykłemu do wykwintów, prostota tutejszej gospody, jój opuszczenie nie bardzo były przyjemne. — Znosił wszakże wszystko, śmiejąc się z patryarchalnych obyczajów... aby być obok jenerała. Obiady jadano w saloniku pułkownikowej, a choć na duszach było smutno... wesoły śmiech, gość rzadki, czasem tu jeszcze zawitał. Ze znajomych odwiedzili tylko ich państwo Skwarscy a raz na zwiady przyszedł Okoński. Nie zastał szczęściem Arusbeka u jenerała, ale już był o nim znać uwiadomiony, szukał go oczyma i bardzo zręcznie zagadnął, że słyszał o jakimś Rosyaninie.. który... tego... dawnym znajomym... czy coś...

Jenerał zbył kilką krótkimi słowy, że to był w istocie dawny znajomy i nie powiedział nic więcej. Okoński rachował, iż za jakąś słabość pochwyciwszy Stanisława, potrafi się tu wkręcić nieznacznie. Próbował grać na różnych strunach, na próżności, na smakoszowstwie, na miłości płochój zabawy, na namiętności do gry — żadna się z nich nie odezwała. Chmurny odszedł — nie dając wszakże za wygraną. Bolało go to, że o bogatym Rosyaninie, kniaziu itd. nie się dowiedzieć nie mógł u źródła. Dał kilkanaście centów kelnerowi, zapalając cygaro na dole, w nadziei, że tu

się czegoś przecie dowie, ale dopytał się tylko tego, iż podróżny ma wspaniałe kufry, że złotem płaci i że strasznie być musi bogaty... To go w tém kwaśniej-szy humor wprowadziło, bo z takim człowiekiem miłaby była znajomość. Arusbek właśnie unikał wszelkich nowych, bo mu w tém ciasnym kółku bardzo było dobrze.

Nazajutrz po ukazaniu się kniazia Samuela spotkali go jeszcze w ulicy ci panowie, ale skłoniwszy się im z daleka, zniknęli. Szedł tym razem z jakimś słusznym, wysmukłym jegomością, bardzo uniżenie towarzyszącym mu... który nie zdawał się być Rosyjaninem...

W kilka dni potem generał z wielkiem zdziwieniem swoim zobaczył Tura na progu... powitał go serdecznie, ale zdziwiony, że się tu mógł dostać. Biedny człowiek wyglądał blado, mizernie, kaszlał gorzej niż wprzód; przecież twarz miał jaśniejszą, rozpromienioną, a podaną sobie rękę gorąco uściskał.

— Co wy tu robicie? spytał generał.

— Cicho! cicho — odparł wygnaniec, w Wiedniu przez Niemców udało mi się warunkowo wyrobić pozwolenie pobytu w Galicyi... jestem już z tego szczęśliwy...

— I cóż myślicie?

— Nie myślę nic! bądź co bądź... choćby umierać na swojej ziemi! dodał Tur ze łzami w oczach — coś

się znajdzie! Będę pracował, będę kamienie tłukł, będę robił, co mi każą, ale ten czarny nasz chleb kochany pożywać będę, tém naszym odetchnę powietrzem i posłyszę mowę naszą, dzwony kościołów, szum lasów...

Łzy mu się z powiek potoczyły, był cały jakby gorączką przejęty, chwyconą rękę ścisnął z oczyma podniesionemi ku niebu... i mówił w uniesieniu. — A! to już najwyższe szczęście, być tu... choćby bracia odepchnęli — toż bracia — choćbym tu doświadczył największego bólu, nagrodzi mi go jeden dźwięk, jedno technienie, jedno wrażenie, to, że jestem na naszej polskiej ziemi męczenników... O! byle mnie tylko nie wypędzili ztąd znowu... chciałbym choć móżdż umrzeć tutaj.

Generał zatrzymał go z trudnością, na dłużej, biedny człowiek lękał się być natrętnym i uchodzić za głodnego. Chciał go jednak przedstawić matce i Michalinie, bo to był przyjaciel i towarzysz Władka, chciał go poznać z Arusbekiem, dla pożytku obu.

Zgadłszy prawie, że Tur dla swego ubóstwa stronił od towarzystwa, Stanisław rzekł mu po cichu — Jesteśmy bracia z pola walki, bądźże ty ze mną jak z bratem i nie lękaj się a pozbadź emigranckiej drażliwości i nieufności — nigdy nam natrętnym być nie możesz. Muszę cię przecież poznać z matką moją, z siostrą Władka, no — i pozwolisz jeszcze, bo mi to

potrzebne — z jednym poczciwym, dobrym, wyjątkowym — Moskałem.

Uśmiechnął się, widząc, jak Tur się zżymnął. — Czekał, nie sądził, dodał, jeśli do trzech dni kochać go nie będziesz... zrobisz, co zechcesz, masz prawo uciec od nas...

Załagodziwszy tak Tura, którego puścić nie chciał i zatrzymał gwałtem, doczekał się Zbyski przybycia Arusbeka i naprzód poznał ich z sobą. Tur, nie łatwo mówiący po francusku, dosyć dobrze za to umiał po rosyjsku, zrozumieć się więc mogli łatwo. Zrazu oba chodzili nakrochmaleni i zimni, wkrótce jednak sympatyczna fizyognomia Tura pociągnęła ku sobie kniazia, odgadł w nim heroicznego męczennika, który chętnie chodził bez aureoli i nigdy nie mówił o swych poświęceniach, tak je naturalnemi znajdował... W parę godzin byli już z sobą jeśli nie dobrze i poufale, to przynajmniej tak, iż wzajemnie wstrętności się i uprzedzeń pozbyli. Daleko większe wrażenie jednak uczynił Tur na pułkownikowej i Michalinie. Przypominał on jej nie tylko Władka, ale tego zapaleńca, co z sercem miłością dla niej przepelnioném poszedł do grobu... Tur, który od dawna nie kosztował słodczy towarzystwa takiego, prawie się stał wesołym, zapomniał swój drażliwości i dumy chorobliwej, był jak w domu. Michalina słysząc, jak kaszli, widząc go bladym i wyniszczonym, z troskliwością siostry nim się szczególnie zajmowała...

Arusbek był zrazu trochę zazdrosny, ale potem począł jój tylko dopomagać i sam téż zajął się Turem... Zmuszano go zrazu, aby przyjął mieszkanie, które chciał odstąpić kniaź, ale Tur na to za nic się zgodzić nie mógł. Miał on tu dawnego towarzysza broni, przyjaciela, ubogiego brata, który pracował w jakiejś kancelaryi, stał na strychu i dawał mu przytułek... Wstrzymano go tylko do wieczora. Tak zwiększyła się znowu gromadka i znowu zapomniano trochę po polsku, że należało coś poczynać, myśleć o przyszłości a nie tracić dni na marzeniach i rozmowach. Pułkownikowa, którój ta niepewność była najcięższą, do zniesienia, napomknęła wreszcie synowi, że na cośby się należało zgodzić i postanowić. Skwarscy następczali już dwa w okolicy majątki... Okoński nosił się z kilką dobrami w kieszeni, nawet doktor Ignacy wiedział o bardzo pięknej wiosce ze ślicznym pałacykiem i ogrodem. Trzeba więc było jechać do Lwowa... aby pour acquit de conscience zabrać znajomość z całą Galicyą. Pułkownikowa miała przez ten czas pozostać w Krakowie pod bardzo kruchą opieką Tura, doktora i państwa Skwarskich. Tura właściwie dla tego robił generał opiekunem, iż po cichu matce szepnął, aby ona nim się po trochu opiekowała.

Gorzéj było z Arusbekiem, który ważył długo, czy ma tu także na straży pozostać lub towarzyszyć jenerałowi. Naostatek w przededniu wyjazdu nagle po-

wiedział, że jedzie z nim, upakował się, poszedł do pułkownikowej pożegnać, zapuścił się w długą rozmowę z panną Michaliną i oświadczył zdumionemu generałowi, że — nie pojedzie już a będzie nań czekał w Krakowie.

— Jestem leniwy, rzekł, jakoś mi tu dobrze, po co bez celu będę się włóczył, kiedy mnie Lwów wcale nie zajmuje?

— Słuchaj Andrzeju, przerwał uśmiechając się generał — ja zgaduję cię, tyś się po swojemu zakochał w pannie Michalinie... przyznaj się...

— Nie — przysięgam ci, żem się nie zakochał, odparł kniaź, ale co gorzej, fatalny nałóg zrobiłem z jój towarzystwa. Możesz mi nie mówić nawet, że to do niczego nie prowadzi, ja o tém wiem doskonale... W życiu wszakże to, co daje kilka choćby dni jasnych, jest niezmiernéj ceny. Nie ma, niestety, nic wiekuiściego! kilka dni, tygodni, miesięcy! a! to już bardzo wiele...

Jeśli mi powiesz, że moje bywanie kompromituje pannę Michalinę... to co innego! oddalę się natychmiast... Ale — dodał ze złośliwym uśmiechem Arus-bek, ja sędzę, że Rosyanin nigdy Polki nie kompromituje, tak jak... chciałem bardzo grubiańskie uczynić porównanie, dam pokój. To wiem, iż moja matka, która lubiła bardzo zwierzęta, miała faworytę kotkę, zamykano ją często z moim wyżłem i nikt ich nie posa-dził, o przyjaźń zbyt poufałą.

Jenerał się rozśmiał, Arusbek go uścisnął i skończyło się na tém, że szczęśliwie w miejscu został... Przeprowadzili tylko oba z Turem na dworzec kolei pana jenerała, który siadł do wagonu z jakimś olbrzymiego wzrostu jegomością wyglądającym bardzo wspa- niale i odjechał. — Dwaj towarzysze podróży obrali so- bie miejsca na dwóch przeciwnych krańcach, olbrzym zapalił cygaro i zwrócił się do okna, pan Stanisław po- podobnież, świsnęła lokomotywa i stary Kraków wkrótce pozostał we mgle za nimi.

Pomimo starożytności swojej Lwów jest zupełnie nowém miastem, stolicą został od niedawna, podział Polski z prowincjonalnego handlowego ale dosyć mar- twego grodka uczynił go nagle ogniskiem kraju, który przed niedawném ciążył w innych weale kierunkach. Znać na nim dziś jeszcze dorobkowicza. Po Krakowie zdumiewa tu ten brak pomników, te maluczkie tylko ślady nie wiele rozwiniętej działalności.

Być może, iż się do tego przyczyniało, że Lwów pol- ski siedział wśród Rusi a ludność jego składali Ormi- anie, Rusini, Polacy i izraelici... Nigdy się to w jedną jakąś całość zlać nie mogło, każda gromadka miała inne zajęcia, charakter, dążności, wszystkie po troszę antago- nizowały, życie społeczne jakoś się nigdy rozwinąć po- tężniej nie mogło.

W ostatnich czasach rzeczypospolitej rój wodziło kilka rodzin możniejszych, potem skupiali się tu rozbitki z za kordonu, tradycyi nie było, wzrastało miasto koniecznością, zakwitnąć nie mogło.

Z czasem utworzyła się arystokracja czysto galicyjska i ta nieco miasto odżywiła; biurokracja rozrosła się jak mrówie... ognisko rządowe poczęło ludzi przyciągać.. Stolica de facto zaledwie potrafiła dorobić się powierzchowności znacznieszego prowincjonalnego miasta. Tego, co największy wdzięk daje stolicom, starych zabytków, co je uprzyjemnia — porządku i smaku grodowi Lwa brakło. Z pospiechem budowały się kamienice, wznosiły mury, a jako symbol poczucia artystycznego posłużyć może niesmaczne pudełko z koroną hrabiowską, wystawione przez rodaka-namiestnika i ministra. Nic lepiej nie przedstawia arystokracji specyficznje galicyjskiej nad ten pomnik...

Nagle te wysiłki, by zostać stolicą, opłacił Lwów z widocznym pospiechem nastawionemi murami, obok których stoją jeszcze nieforemne klatki, chude kamieniczki stare, dworki drewniane i gmachy porządkujące widocznie przybycie architektów do Lwowa.

Na prądce poroziadały się mury, gdzie który mógł, bez planu, bez porządku, rachując znać na przyszłość. Wszystko wydaje się rozerwane — niesforne i jakby pokłócone z sobą. Jeszcze dziwniej się to poplątało z powodu górzystego położenia, a Pan Bóg poskapił

jednej z największych ozdób, rzeki i wody, jakby na szyderstwo dając rynsztok, który się Peltwią nazywa a jest tak wstydlivy, iż go trzeba przykryć i zamurować, aby zatrutem oddechem nie zapowietrzał miasta.

Co wspaniałe, to bez smaku... co piękniejsze, to gdzieś pochowane po kątach, zresztą ulice roztańcowane w różnych kierunkach, z wątpliwym brukiem, z fizyognomiami podejrzanemi. Uderza wszędzie ten zupełny brak smaku i jakby jego pogarda... jakieś opuszczenie, zdające się w przyszłość nie wierzyć, coś tymczasowego, niby obóz rozbity na prędcie... który jutro burza roznieść może. Z wysokiego zamku widok piękny, cóż, gdy ta ściana dal tak smutna jakby jaka niepewna przyszłość, — a na równinie ogromnej prawie pusto...

Ze starych drzew jezuickiego ogrodu możnaby stworzyć coś bardzo pięknego, ale tuż groźnie, ponuro, wraź patrzy Ś. Jur i przeszkadza.

Łacniej jest stokroć odmalować ten cmentarz krakowski niż wrzawliwą targowicę, która się Lwowem nazywa. — Oblicze miasta mieni się co chwila, a w rzeczy jest to embryon niedokończony; — co z tego wyrośnie, Pan Bóg wie jeden. Wszystko w dorobku... może być starosta albo kapucyn, przepyszna stolica lub straszna pustka i ruina. Nawet przewidująca znać, że tu nie ma po co się wciskać, kolój żelazna zatrzymała się sobie w polu, czekając, co to z tego będzie. Jest to imper-tynencya niedarowana.

O ile Kraków martwy jest na pozór, o tyle Lwów pozornie jest żywy, przynajmniej w ulicach ruchu wiele, choć tworzą go żywioly, które się tylko w ulicach z sobą ścierają.

Tój świątobliwości i pobożności, jaką technie Kraków, nie ma tu śladu, kościoły najczęściej puste a ludność rozdzielona trzema wyznaniem zdaje się dla wszystkich trojga dosyć obojętną. Ruch stanowi nie najzamożniejsza klasa, nie odznacza go też elegancya; ekwipażów mało i nie wykwiłtne choć błyszczące... a równouprawienie obok nich sprowadza parokonne furki i żydowskie wozy, które przyémiewają całą pierwszych pretensyą do blasku. Mimo że życie niezmiernie mazaikowe i przeróżne, jest go tu więćej niż w Krakowie. Swobodniejsze ruchy, donośniejsze głosy, zamaszystsze postacie.. czuć, że tutejszy populus leopolitanus w chwilaach złego humoru szyby tłuc nawykł i zbierać się na mityngi, że ma swych wodzów, trybunów i pewne polityczne wykształcenie, niedokończone wprawdzie ale sylabizujące bardzo głośno.

Gdy w Krakowie Austria jest reprezentowaną nader skromnie i cicho przez delegacyą, która na zewnątrz się nie objawia, dyrekeyą policyi schowaną w kątku i kilku w opiętych spodeńkach żołnierzy bez broni, we Lwowie namiestnictwo, biurokracya, wojsko, urzędnicy, władze występują daleko wybitniój. Czuć, że to jest nadewszystko ich stolica, że oni ją stworzyli i pielęgnują,

aby tak kulawo rosła, jak ją na świat wydali; — czuć także, iż ten cały ruch i ten cały świat jest dla nich nie dla siebie. Pomimo nowych swobód konstytucyjnych, któremi pomalowano to po wierzchu, stare kolory wyglądają z pod spodu. Lud ma prawo wybijania okna, ale statutu dla rady miejskiej dobić się nie może. Powszechnie utrzymują, że jest uniwersytet i młodzież we Lwowie, liczniejsza nawet niż w Krakowie, — nie jednak przytomności jój nie zdradza a niemiecka wszechwica, zajęta produkowaniem urzędników, zapomniała o kształceniu obywateli, którzy się bez niej obchodzą. Są posłowie sejmu i mężowie stanu, którym gdy się zdarzy co napisać, nietylko ks. Malinowski choruje, nietylko p. Suchecki dostaje febry, ale najwytrzymalsi i najpobłażliwsi dziennikarze oczom swoim nie wierzą. — Lwów i jego bohaterowie zdają się ufać w to, iż komu Bóg da wrodzony talent, uczyć się czytać i pisać jest dlań zbytkiem niepotrzebnym.

Jest to wreszcie gród, w którym za naszych czasów owe pamiętne wyrzeczono słowa — A na co nam oświata! — Na pochwałę wszakże rzecz należy, że nigdzie Polski nie kochają tak gorąco, jak we Lwowie, ja myślę, że na przekorę urzędnikom austriackim i Rusinom, którzy nie kochają jój wcale.

Osobliwszą też rzeczą jest, że w mieście, gdzie Niemców tak mało jest, iż gdy pilna potrzeba, aby ich było więcej, Polacy ich udawać muszą, trwa i kwitnie

bankructwem co lat kilka teatr niemiecki. Jest to instytucja na kresach ufundowana ad perpetuum rei memoriam, jak słupy herkulesowe, że już dalej germański wpływ nie sięgnął.

Cóż więcéj powiedzieć wam o Lwowie, oto chyba, że w obec twarzy jego niedokończonéj malarz musi powstrzymać się z dopełnieniem wizerunku... Gród to zagadkowy i cały jeszcze w obietnicach... bakfisch stolic, mający wszystkie przymioty i szpetoty dorastających podlotków, którym, nie wiadomo, skrzydła czy pazurki wyrosną. Można go kochać, kto się w nim urodził — ale zakochać na pierwszy widok niepodobna.

Jenerał jechał do Lwiego grodu trochę już o nim uprzedzony, nasłuchawszy się za i przeciw, wiedział to, co wiemy wszyscy, iż mimo wszystkich słabych stron, jakie mieć może stolica Rusi, z niéj przecież płynie na Galicyą życie, od niéj inicjatywa czynu, ruch, pierwsze reform słowo i poczucie potrzeby postępu. Można wybaczyć do wielkiéj pracy powołanemu miastu, że się nie stroi i w skromnym do niéj występuje fartuszk, można darować omyłki dla zapału, przesadę i hałasliwość, gdy cel uczciwy, naostatek w walce, jaką często stacza z krajem, chwytanie się różnych środków, gdy czuje, że ta walka o życiu stanowi.

I Lwowu téż jak Magdalenie wiele przebaczoném będzie, bo kochał wiele a poświęcał się ochoczo, nawet

gdy z ofiar owocu zbierać się nie spodziewał. Wykolywał on na łonie swém poetę doby naszej Ujejskiego, dzieckiem jego był Romanowski a z synów wielu z nadziejami i aureolami legło młodo na polach bitew 1863 roku. Każda myśl patryotyczna, gorąca, polska, każdy człowiek, co życiem miłości dla kraju dowiódł, znajdują tu serdeczne przyjęcie. Cześć ojczyzny tu, jak się w innych dzielnicach zdarzało, nigdy pod pozorem zachowawczości nie była zapartą...

Miał téż Stanisław nadzieję, iż w téj części Galicyi, gdzie żywił polski zagrożony ciągłym bojem z Rusią, nie gardzi żadnym przybywającym mu posiłkiem, rychléj znajdzie życzliwe przyjęcie i dłoń podaną chętnie.

W drodze nie mając zwyczaju nikomu się niezajomemu narzucać, unikał i on bliższej znajomości z ogromnym owym milczącym mężczyzną, danym mu przez Opatrzność za towarzysza... Przejechali tak w milczeniu, paląc cygara odwróceniu do okien, dobry kawał drogi,

Jest to znaném prawem i psychologicznym pewnikiem, że aby obudzić ku sobie zajęcie, trzeba unikać tylko wywoływania go umyślnego. Jenerał, który się odwracał i milczał od nieznanego jegomości, zdającego téż stronić od narzucanego mu przez konduktora współpodróżnika, widząc, że się ten wcale nie garnie ku niemu, zdala począł mu się pilnie przypatrywać. Z razu

odwracał głowę i rzucał okiem szybko, aby nie być schwytanym na uczynku, potem raz i drugi bezkarnie popatrzywszy, bo jenerał zamyślony oknem na okolicę wyglądał, jął śmieliej już badać twarz, ubiór i szczegóły a przybory, z których stan i możność podróznego najłatwiej się poznaje. Nad Stanisławem leżała piękna torba, najpierwszego paryskiego fabrykanta wypieszczone dzieło, przy nim kołdra kosztowna i drobne jakieś sprzęciki, aż do zbytku wytworne, bo takie tylko Marya Pawłowna mieć przy sobie lubiła... Prócz tego woń hawańskiego cygara, piękne futro przekonywały, że towarzysz podróży był, jeśli nic więcej, zamożnym człowiekiem. Olbrzym siedzący naprzeciw miał też wiele pakunków, ku wygodzie służących, oplataną, flaszkę, koszyk z żywnością, torbę przeładowaną, pękata i wytartą. Ubrany był dostatnio, wygodnie, chociaż to, co miał na sobie, złém użyciem zawczasu było zniszczone. Twarz, która z nad barczystych ramion wyrastała, z wąsem staropolskim, z podbródkami dwoma obfitemi, miała wyraz pewien dumy, w sobie zamkniętej i pewnej siebie. Małe oczki piwne ginęły w grubych powiekach, nos kartoflowaty bezkształtny wydawał się małym przy bardzo szerokich i wystających ustach. Myśli na czole nie było wiele i snąć tam one nie pracowały zbyt, bo marszczek nie orały. Słowem był to typ starego szlachcica, który, w XIX wieku nie mając nic do roboty oprócz używania darów bożych, roztył się nieborak

z biedy. Dawniej mógł on nawet konno jeździć i polować, ale dziś już musiał tylko mówić o koniach i myśliwskich swych dziełach wielkich...

Przekonawszy się szlachcie, iż miał do czynienia z człowiekiem, który wcale do rozmowę i znajomości skłonności nie okazywał, postanowił nudne przerwać milczenie. Z jenerałem wszakże rozmowę począć nieznanemu nie było łatwo. Olbrzym ziewnął, chrząknął, poprosił o ogień, otrzymał go, podziękował i na tém się skończyło. Upór ten zaciekał go.

— Pan dobrodziej do Lwowa? — spytał wreszcie.

— Tak jest, do Lwowa.

— O przenudzaż to droga z Krakowa, przenudna.

Na to nie było odpowiedzi tylko pół uśmiechu grzecznego.

— Wszystkie te, panie łaskawy, nowości djabła warte... a choćby i kolój żel zna. Zboże i woły wozic, zapewne, ale ludzi!!

— Ma pospiech za sobą.

— Komu pilno... Bywało — mówił podróżny — czwórka tęgich koni, człowiek jechał, jak chciał, wolno, prędko, sam u siebie w powozie gospodarzem...

Przerwał nagle.

— Pan dobrodziej pewnie z za kordonu... nie tu-tejszy?

— Tak, nie tutejszy jestem — rzekł jenerał... który i kłamać nie chciał i wygadać nie życzył.

— Pewnie z rosyjskiego zaboru...

Stanisław pomyślał, że nie skłamię, a wiedział już, jak złą rekomendacją jest w Galicyi nazwanie emigranta, odparł więc potwierdzająco.

Była znowu chwila milczenia.

— Panowie tam na ucisk narzekacie — odezwał się gruby — a ja powiadam, że tam jeszcze lepiej jak u nas. Przynajmniej demokracja ta i plebejusze znają mores, nie tak jak u nas, co to wszystko równouprawnione hałasuje, burdy robi i po gazetach brudy wywłóczy, ucziwych ludzi mażąc... Tu się teraz nikt nie ostoi cały...

— Za to w Rosyi — rzekł Stanisław — płaci so-wicie demokracja moskiewska, której słowo w słowo toż samo wolno; a ta sobie nie żałuje...

Szlachcic sapnął, ręką się sparł na siedzeniu, przechylił wygodnie i mówił dalej.

— My tu panie z tą konstytucją, mityngami, Smolką, gazetami, ludowymi zgromadzeniami chwili spokoju nie mamy... A gazety te! gazety! a redaktory te! śmieciuchy! mospanie, dałbym ja im, dał... Dawniej, co się tam gdzie przytrafiło na wsi, nie wiedział bodaj sąsiad o miedzę, dziś mają, panie, korespondentów wszędzie, i głośniej krzyknąć nie można, żeby zaraz nie wydrukowali. Z tą ich jawnością, życie się staje niepodobieństwem. I to wszystko panie, kto? szewczuki, krawczuki, parobczaki od gnoju, jak słusznie nazwał

Czas, wykolejone proletaryaty... A nosa to drze a staje ci okóniem... i my dziś szlachta za nic...

Odpowiedzieć było trudno, jenerał puścił dym z cygara.

— Ale to jest przejściowe — mówił dalej szlachcic — to minie. My się tu panie trzymamy, oni wrzeszczą a my robimy swoje. Za ręce się wzięwszy nie damy, nie damy!! Zjedzą kaduka. A no życie zatrute... Pan do Rosyi powraca? — spytał po chwili.

— Nie — rzekł jenerał — szukam nawet i, gdyby się co trafiło, osiadłbym tutaj. W całej Europie lepiej nie jest jak tu, wszędzie toż samo przesilenie i nowe żywioły trochę burzliwie życia się dopominające. Tę kryzys należy przetrwać.

— Tak, w Rosyi téż szlachtę obdzierają i niszczą — rzekł gruby wzdychając — a głupi są, bo z chłopami potém rady sobie nie tak łatwo dadzą... My to wiemy, że tam téż nie raj... Co się tyczy dóbr, to na sprzedaż ich dosyć, ale... hm! kupować należy oględnie...

Znowu milczenie było czas jakiś, choć pierwsze lody przebite; jenerał po części rad był coś się dowiedzieć i typ jakiś miejscowy mieć do badania przez drogę. Zaczęło się tedy coś o Rusi i Rusinach, szlachcic ramionami ruszył.

— Nawarzył nam nimi piwa Stadyon — odezwał się zapalając nowe cygaro — ale, któż wie, i Austryi

pono nie największą, tym wynalazkiem oddał przysługę. Kwestya ruska! ba! żebyż to była kwestya ruska, jak ją w gazetach widać, możnaby z nią do ładu przyjść, ale to po prostu... dziś kwestya moskiewska. Wczoraj mówił ci jeszcze taki Rusin doskonale po polsku, żył z nami i przyjaźnił się, jutro mu podsypnęli, dostał w łapę i stał się zagorzałym Rusinem. Imię tylko teraz kwestyi téj zostało, w rzeczy Moskalami być chcą ci, którym tak lepiej. Duchowieństwo ruskie mści się może lekceważenia naszego... a no dziś stare owe grzechy naprawić trudno. — Machnął ręką. — — Dopóki nie wkroczy wojsko imperatorskie, nie ma się co téj kwestyi obawiać.

Prawie do samego Lwowa to o tém to o owém gwarząc dojechali, nie znając się wzajemnie, przyszło wreszcie do zapoznania. Nazwisko przybrane jenerała nic nie powiedziało, szlachcic wyrzekł swoje z pewną dumą, w istocie znaném ono było jako reprezentanta kraju w sejmie i delegacyi, choć raczej ze strony wesolej niż poważnej. Wyrzekłszy je, spodziewał się podwojonego uszanowania od towarzysza, co jednak gdy nie nastąpiło, wniósł, iż stósunki galicyjskie mało są znane za granicą. O kilka téż stacyi przysiadł się do nich nowy towarzysz, w którym poznać było łatwo duchownego obrządku ruskiego. Ten po obu rzuciwszy okiem, odsunął się jak najdalej, nasrożył twarz bladą i dał do zrozumienia, że z Lachami nie gada... Mo-

zna było posądzić go, iż znał posła i delegata, gdyż okiem nader złośliwém rzucał na niego. A że znalazł obu rozmawiających z sobą, i jenerała téż wzgardą jak najwybitniejszą potraktował. Zapalił śmierzące austryackie cygaro i kurzył z widocznym celem na przykrzenia się polskim nosom.

Na następnej stacyi dostali jeszcze chudego jęmości z teką pod pachą, w okularach, przypominającego typy biurokratyczne z Kikiriki.

Przywitał go po niemiecku mianując Hofrathem duchowny, być to jednak musiał jakiś Hofrath gorszego gatunku a mniejszego kalibru, nie pokaźny, pokorny, do zbytku grzeczny. Rozpoczętą widocznie w sęhęci pokasania współtowarzyszów rozmowę księdza zbył ministeryalném milczeniem. Może téż nie chciał drażnić grubego szlachcica, którego dłoń rozpostarta na siedzeniu niepospolitych była rozmiarów. Duchowny zmuszony zamilknąć, z cicha tylko sub rosa dowcipy jakieś cisnął na ucho ku rozweseleniu urzędnika, który się krzywił tak, że ksiądz mógł to wziąć za uśmiech a szlachcic za grymas.

Naostatek głośno, urzędownie po niemiecku konduktor oznajmił, że stanęli we Lwowie, czego się trudno było domyśleć, bo miasto ztąd jeszcze daleko. Jenerał pożegnał towarzysza z daleka i postarał się o dorożkę do Georga, jedyne go hotelu, który ma sławę porządnego i wykwintnego we Lwowie a w istocie

gdzieindziej ledwieby za trzeciorzędny mógł uchodzić. Tu wszakże stoją tous ceux qui se respectent.

Jenerał miał jeden list do znanego prawnika, człowieka zamożnego, wziętego i znającego dobrze kraj, którego był dziecięciem, drugi do obywatelskiego domu zamieszkałego we Lwowie. Ostatni dała mu matka. W nim gospodarzem i głową był dawny wojskowy, od r. 1832 zamieszkujący w Galicyi, towarzysz broni jego ojca, który tu po żonie wziął majątek i przedzierzgnął się zupełnie na Galicyanina. Z pomocą tych dwóch znajomości, rachując, iż przez nie łatwo było inne zawiązać, spodziewał się dostatecznie w miejscowych stósunkach rozpatrzyć. Z jego stanowiska kwestya ruska, Rusini byli najciekawszym fenomehem do badania, ale przedsmak już miał o nich z rozmowy szlachcica w wagonie.

Dnia tego resztę poświęcił jenerał pieszej przechadzce i rozpatrzeniu się po mieście, które oczekiwania jego zawiodło. Po świetnej i pełnej życia Warszawie, po relikwiarzu krakowskim Lwów wydał mu się bez charakteru obozowiskiem jakimś nieuporządkowanym i zaledwie obietnicą dla przyszłości. Wieczór chciał spędzić w teatrze, nieszczęściem grano po niemiecku a repertoar wcale był niezachęcający... z musu więc pozostał w domu.

Nazajutrz rano wybrał się naprzód do prawnika. Dom, w którym mieszkał, będący jego własnością, da-

wał jak najkorzystniejsze wyobrażenie o właścicielu. Była to jedna z najpiękniejszych, wykwintnych nawet kamienic, niedawno znać pobudowana znacznym kosztem i z dobrym smakiem — jakby z Wiednia przesadzona... Trafwszy dosyć szczęśliwie na godzinę, pan Melchior Szarliński został przyjętym w saloniku do pracowni przytykającym, któremu chyba zbytek wykwintu i umeblowanie nadto wystawne zarzucić było można. Wszystko tu nowe było, świejące, modne, dobrane i czyniło mimowolnie wrażenie jakiegoś na wysoką stopę urządzonego publicznego lokalu. Można było sądzić, że tu nikt jeszcze nie żył, nie mieszkał, bo powszedni tryb życia w zimnym tym salonie żadnych nie zostawił śladów. Stołiki były jakby dziś ze sklepu wzięte, fotele i kanapy jakby wczoraj od tapicera... całość widocznie od razu stworzona harmonizowała we wszystkich częściach doskonale, lecz wiało od niej jakimś chłodem, każącym się domyślać, iż dom ten nie miał przeszłości, że ona gdzieś w innym pozostała lub tuliła się na boku.

Drzwi otworzyły się i mężczyzna lat średnich, grzeczny, uprzejmy a znać nawykły do przyjmowania obcych i częstowania ich zdawkową monetą życzliwości powszedniej, powitał przybyłego. Miał mu się czas generał przypatrzeć, gdy list czytał. Był to mężczyzna w sile wieku do pracy, z fizygnomią okazującą rozwinięte władze umysłowe, spokojny, poważny, trochę

zimny. Ubrany z pewnym staraniem wyglądał na urzędnika lub radcę ministerjum, znającego ważność swojego stanowiska... Twarz wygolona cała okazywała bez obawy oku postrzegacza wszystkie rysy odkryte, jawne, jakby mu chciała zaręczyć, iż żadnych nie kryje tajemnic. Jednakże nic na niej wyczytać nie było podobna.

Jestem cały na jego usługi — rzekł prawnik, przebiegłszy pismo. — Widzę, że pan dobrodziej przybywa w zamiarze osiedlenia się w Galicyi. Darujesz mi pan, że w chęci usłużenia mu po myśli jestem zmuszony go spytać o rzecz, która mu się na pozór wyda dziwaczną. Czy pan żyjezy sobie nabyć dobra dla korzystania z nich gospodarstwem i przemysłem, to jest warsztat do pracy, lub jako przyjemne miejsce pobytu i rezydencyą? W istocie w dwóch tych wypadkach należałoby szukać całe różnych warunków.

— Radząc się pana dobrodzieja, powinienem być szczerym — rzekł generał — i pytania cel dobrze pojmuję. Odpowiedzieć mi na nie trudno. Nie chciałbym tracić przy nabyciu, ale za główny cel nie zakładam sobie, aby ten warsztat, jak go pan zowie, dawał przedewszystkiém olbrzymie procenta. Chciałbym w nim domu, ogrodu... drzew... ciszy a najkorzystniejsze pułtkowie zyskowne nie zaspokoiłoby mnie.

— Już rozumiem — rzekł prawnik, bacznie słuchając i wpatrując się w generała, jakby z twarzy jego

chciał przeszłość wyczytać. — Celem więc pierwszym nie jest zysk... można coś przy nabyciu warunkom innym, uprzyjemniającym życie poświęcić... Dóbr w Galicyi rozmaitego rodzaju na sprzedaż mamy podostatkami... coś podobnego znajdzie się łatwo... Pan zapewne mieszkał dawniej??

— W Rosyi najdłużej... w Królestwie — rzekł jenerał — stósunki galicyjskie mało mi są znane; spodziewam się, że one nie wiele się różnią od innych części dawniej Polski...

— O ile znam inne części — powoli zaczął prawnik — przypuściłbym raczej, iż stósunki nasze, życie... obyczaje są dosyć różne od polskich stósunków w Poznańskim i Królestwie. Inaczéj się tu poskładały, przefermentowały warstwy społeczne, innéj nabrały barwy... Pozostało wiele z przeszłości, przybyło téż nowego nie mało... określić trudno, widzieć potrzeba... Fenomena życia łatwiej się poznaje z zewnętrznych objawów niż z definicyi. Ma pan znajomości jakie?

— Dotąd żadnych oprócz spodziewanej państwa Ropczyckich, do których mam listy...

— Dom bardzo zacny, ludzie czcigodni, sam żołnierz z r. 1831, szanowani powszechnie — rzekł powoli zawsze prawnik i wpatrując się w gościa. — W tym domu pozna pan przynajmniej część naszego towarzystwa, wiejskie obywatelstwo, które może go najwięcej obchodzić... kilku naszych literatów i znakomitości...

Wybór nie mógł być szczęśliwszym, jest to neutralny grunt, na którym schodzą się ludzie różnych przekonań i obozów, zarówno wszysey czeząc obywatelską cnotę gospodarza domu... i poświęcenie jego dla kraju...

Jednym tylko uczynił uwagę panu, że chcąc trochę wniknąć w tajemnice społeczeństwa i poznać jego charakter, należy poświęcić nieco czasu...

Gdyby zaś jaka godzina panu zbyła wolna... bardzoby mi było przyjemnie widzieć go w moim domu. Przyjmując co czwartek... Jestem sam i dom... kawalerski... Tymczasem poszukamy dóbr i znajdziemy coś stósownego...

Prawnik nie zdawał się mieć ochoty do większego wywnętrzenia, a trudno téż było od niego wymagać czegoś więcej przy pierwszym poznaniu i niedostatecznym objaśnieniu, z kim miał do czynienia. Polecono mu jako bardzo zacnego i możnego człowieka pana Szarlińskiego, — a to nie mówiło wiele.

Jenerał wstał, podziękował i wyszedł... ztąd wprost doróżka go zawiozła na mniejszą ulicę bardziej po wiejsku wyglądającą... przy której stał w ogrodku obszerny stary dwór państwa Ropczyckich. — Urządzeni téż tu byli jak widać na zamożną stopę, ale nieco po wiejsku. Służby kręciło się wiele i różnej, począwszy od lokajów w kamaszach aż do dziewcząt bosych i w szarych koszulach. Dwór miał po bokach oficyny, stajnie, do koła ogród... i wyglądał bardzo wygodnie a dostatnio... W dziedzińcu widać było karetę, koczki i bryczki...

Jenerał wiedział już, że rodzina państwa Ropczyckich składała się z dwojga naprzód małżonków, z owdowiałej ich córki bezdzietnej, która najczęściej mieszkała przy rodzicach, i z syna, który, choć miał własną wieś i gospodarstwo, często tu także przebywał. Młody Ropczycki był dotąd nie żonatym. Tyle tylko o dawnym towarzyszu broni ojca wiedział Zbyski, polecony mu w liście przez pułkownikową jako siostrzeniec jój najukochańszy; ale Stanisław nie chcąc się kryć przed nim ani go zwodzić, miał mu zaraz w cztery oczy przyznać się, kim był w istocie.

Zastał też szczęściem samego tylko pana Ropczyckiego, który czytał gazetę w swoim gabinecie i nieznanego z nazwiska gościa ze skwapliwą dawniej daty uprzejmością pospieszył przyjąć w salonie. Ten był wcale do pierwszego niepodobnym, pełen kwiatów, książek, robót i choć piękny a dla oka miły, świadczył, że się tworzył powoli a składały nań lata długie. Sprzęty w nim staroświeckie, nowe, zużyte i świecące podobierane były z niewieścim smakiem, połączone jakimś charakterem jednym, który całości dawał wdzięk malowniczy.

Mieszkanie to nie przypominało też wcale staroświeckiego saloniku zacnych państwa Skwarskich w Krakowie, tak jak czcigodny pan kapitan Ropczycki nie był podobny do starego z półksiężycowemi bokobrodami. Mężczyzna stary, siwy ale wyprostowany, silny, z ru-

chami żywemi z okiem błyszczącym, z wąsikami do góry podkręconym ubrany wedle nowój mody bardzo starannie, pokuliwając nieznacznie na jedną nogę (niegdyś strzaskaną od kuli pod Grochowem) przyjął generała, wpatrując się w niego niezmiernie pilnie i z pewnym zdziwieniem, potem wziął szybko podany mu list, otworzył go i przez szkiełko czytać zaczął pospiesznie.

— Szanowna moja pułkownikowa! zawołał, przerywając sobie — siostrzeniec... ale...

I począł znowu wpatrywać się w rysy przybyłego z wzruszeniem wielkiem.

— Panie kapitanie, rzekł Stanisław z cicha, dla wszystkich siostrzeniec, ale dla pana... jestem Stanisławem Zbyskim, synem pułkownikowej uratowanym od śmierci... cudownie...

.. Tak-że mi mów! ma foi! ja od razu z podobieństwa twarzy poznałem cię!... I rzucił mu się w objęcie. — Siadaj! bądź jak w domu! Serdecznie rad, że Bóg cię dla biednej matki ocalił! Opowiesz mi to wszystko.. Ale dali-pan, już to w Galicyi tajemnicy robić nie ma potrzeby... bo z każdą podobną strasznie nam starym ludziom przywykłym do szczerego wygadania się niewygodnie... Dla mojej rodziny, kochany panie Stanisławie, musisz być tém, czém jesteś dla mnie...

— A no — naprzód, niech posłyszę o twych losach...

Jenerał krótko, treściwie, chłodno w niewielu słowach opowiedział mu wszystko. Kapitanowi w czasie powieści wrywały się stłumione wykrzyki i objawy oburzenia — potem łzy zakręciły mu się w oku. — I znowu uściskał syna przyjaciela.

— To prawdziwie szczęśliwy dzień dla mnie, zawołał — kochałem ojca, szanowałem matkę, cieszę się, że wam tu może usłużyć potrafię. Pisze mi pułkownikowa, że wy się tu osiedlić pragniecie. A la bonne heure! Nie wystawiajcie sobie, żeby to było trudnym. Naprzód ludzi z pieniędzmi przyjmują wszędzie; — powtóre my nie jesteśmy tak niegościnni, jak nas malują, i daleko lepsi w gruncie niż sądzą z daleka. Staropolskie cnoty jeszcze się u nas po kątach tulą, dużo dobrych ludzi, dobrych z kośćcami, choć... choć grzesznych jak na świecie wszyscy...

— Szanowny panie, co do mnie, przerwał jenerał, prosiłbym jednak z powodu paszportu mojego zachować tajemnicę i zostawić mnie Szarlińskim.

— C' est un peu bien difficile, rzekł uśmiechając się gospodarz, wygadam się, bom papla... a żonie, córce i synowi nie zataję... to darmo... Dla innych będziesz sobie, kim zechcesz...

Mówili jeszcze, gdy drzwiami głównymi wbiegły dwie panie, pani Ropczycka sama, nie młoda, okrągłu-

tką, żywa kobiecina z oczyma czarnemi, pomarszczoną ale dosyć wdzięczną twarzą, wystrojona bardzo, — za nią córka, wdowa, hrabina Kościelecka, osoba dwudziestokilkoletnia, w kwiecie wieku, wesoła, z wyrazem twarzy trzpiotowatym i zalotnym, choć bardzo dystyngwowanym, wytwornie ubrana, pachnąca, wyświeżona, wyglądająca jak kwiatek wiosenny około południa... Obie panie wbiegły szybko, zobaczyły nieznajomego..., który wstał widząc je przybywające; — hrabina wlepiła węć oczy ciekawe, matka na przemiany patrzyła na niego i na męża; czekały widać niecierpliwie, by gospodarz przedstawił im przybyłego...

Ten się namyślał właśnie.

— Chère Rosalie, pan... Szarliński z Królestwa, syn... to jest siostrzeniec pani pułkownikowej Zbyskiej i mego najlepszego przyjaciela, o którym tylekroć ode mnie słyszałaś... La comtesse Kościelecka ma fille...

Tu kapitan stanął chwilę...

— Nie skończyłem... dla ogółu śmiertelnych jest to pan Szarliński, siostrzeniec pani Zbyskiej, dla nas... tylko dla nas jest to generał Zbyski, który cudem ocalony został z niewoli moskiewskiej i podany za zmarłego. — Vous comprenez.. le plus grand secret!

Położył palec na ustach...

Oczy obu kobiet z gorącą ciekawością zwróciły się ku temu bohaterowi, którego postawa energiczna i pię-

kna i bez tego już zajęły hrabinę Kościelecką... Obie panie podały mu rączki, wyrażając współczucie i zaręczając, że z sekretu nie wydadzą; a choć, jak się okazało, wybierały się na spacer, zostały go obejmując ciekawością, dowiedzenia się czegoś i poznania bliższego tak pięknego mężczyzny.

Młodsza szczególniej ściagała go oczyma.., które wszakże polowały próżno na strategicznie wymykający się wzrok generała.

Rozmowa zawiązała się nader żywo, gdy po cichu kapitan Ropczycki oświadczył, iż generał chce kupić dobra i osiąść tu wraz z matką.

— O! my pana ztąd nie puścimy! — poczęła matka — znajdziemy mu majątek... złote jabłuszko... wprowadzimy w nasze kółko i przekonasz się que nous voulons mieux, que nôtre réputation... Na tę nieszczęśliwą Galileę wszyscy kamieniami rzucają... a toż przecież dziś jedyny kawałek Polski, gdzie być Polakiem wolno...

Hrabina Kościelecka przerwała matce.

— I zaręczam generałowi, że tu znajdziecie i dobre i miłe towarzystwo et le plus gracieux accueil!

W istocie oczy hrabiny już to zwiastowały, chociaż generał nie rozumiał ich mowy lub rozumieć jej nie chciał.

Pierwsze przyjęcie w tym domu było w istocie serdeczne, przez tę powłokę światowych form lekkich, słów

INSTYTUT

BADAŃ LITERACKICH PAN

<http://rcin.org.pl>

00-330 Warszawa, ul. Nowy Świat 72

Tel. 26-69-69

oklepanych, grzeczności powszednich czuć było życzliwość i sympatją pocziwą, może nawet nazbyt żywo się objawiającą. Ale pani Rozalia i hrabina nic nie umiały brać chłodno, trzpiotanie się ptaszkwate było w ich naturze... tysiąc razy może zawiedzione obie, każdą nową twarz witały z nadzieją, że w niej znajdą jakąś istotę wyjątkową. Zapalały się łatwo a najczęściej po tém zmuszone były rozczarowywać się smutnie i odboleć pierwsze wrażenia.

— Kochany jenerale — zawołała spieszenie sama pani — to darmo... my cię musimy tu wziąć w opiekę... Jesteś nam powierzony, to najświętszy obowiązek. Zrobimy ci znajomości, damy poznać tutejszy świat... Jesteśmy dobrze ze wszystkimi... Zobaczysz... wywiążemy się z tego gorącym sercem starych choć nieznanym przyjaciom. Tylko się już spuść na nas i bądź z nami jak w domu... Mój mąż, mój syn, ja...

— O mrie to mama zapomina — figlarnie prze-rwała hrabina — a! przecież i ja mogę się przydać na coś! choćby dla zaprezentowania jenerałowi wszystkich pięknych pań, których oczów strzedz się powinien.

— Pań — uśmiechnął się Stanisław — jestem stary żołnierz, ostrzelany i obyty z pociskami pięknych oczów, które na mnie patrzeć już nie będą.

— Da się to widzieć! — szepnęła kapitanowa...

— Ale na miłosierdzie Boże, ma foi! — zawołał gospodarz — nie tak obcesowo, moje panie, bo mi go

nastraszyacie i pierzchnąć gotów... Dajcie mu się rozpa-
trzeć, odetchnąć...

— Mój dobrodzieju! — odpychając męża rzekła
pani Rozalia — wszystko to dobre, co pan Ropczycki
prawi, ale ja swoje, ja swoje. Dziś do nas na obia-
dek, en petit comité, en famille, sami swoci... Pro-
szę, bardzo proszę, co Bóg dał... à la fortune du
pot... No! ja proszę.

— I ja proszę za mamę! — dygając dodała pię-
kna hrabina.

— I ja proszę, choć za późno, bo na końcu — do-
łożył gospodarz.

Jenerał się skłonił — nie mógł odmówić...

— Jemy o trzeciój! czy to nie zawcześnie dla
pana nawykłego do stolicy?

— A! pani — rzekł jenerał — ja jestem żołnie-
rzem i nawykłem jeść, kiedy dają, a nawet całkiem się
bez jedzenia obchodzić..

— To dobrze, parce qu' en fin, może być bar-
dzo zły obiad...

W ten sposób zawiązała się zaraz poufalsza zna-
jomość z całym domem, jenerał odjechał ucieszony tą
znajomością, jakąś miłą i serdeczniejszą niż inne.

Wracając do hotelu, zdało mu się, że zobaczył
przesuwającego się kniazia Samuela, lecz że ten go czy
nie poznał czy poznać nie chciał, nie przywitali się z
sobą. Właśnie nań jeszcze patrzył, śledząc mimowol-

nie oczyma, gdy ktoś go za rękę pochwycił. Był to drugi niespodziany Rosyanin — Nizin...

— Co wy tam patrzycie na kniazia? rozśmiał się — he? on! on sam... nie mylicie się...

— Ale wy co tu robicie także? — spytał jenerał.

— W ulicy ani w bramie sponiadać się nie lubię, odparł Nizin, chcecie, to do was zajdę na chwilkę.

— Bardzo proszę...

Wszedłszy Nizin, skrzył sobie naprzód papierosika, bez którego żyć nie mógł, rozsiadł się w krześle...

— No! no! zawołał — wy dziwujecie się kniazowi, ja się dziwię, że was tu widzę, a kniaź, jeśli poznał, podziwi się także zoczywszy tu nas obu... Cóż chcecie? przyszedł na to czas, że za carską Rosyą, która po staremu koleją wyżłobioną się wlecze, ochotnicy coś robić muszą. Kniaź téż niby ochotnik... niby! ba... ja jego znam ptaszka... on te interesa robi, które mu jego interesa robią... Ja — to wy wiecie — nie taję się, ja republikanin, demagog, socyalista... stracona placówka... orzę zagon dla przyszłości... No — a wy?

— Ja sobie szukam zagonu, aby orać na chleb powszedni, odparł jenerał zimno. Aż nadto jest tych, co pracują około baniek mydlanych, potrzebaż kogoś, coby chleb piekł.

Nizin na niego popatrzył.

— To prawda, ale z was pono także piekarz pro-

blematyczny, wybyście téż chcieli upiec może jaki pierog, jeno się to nie sklei!... rozśmiał się Nizin. Wy przedemną nie powiecie, czego wy chcecie...

— Spokojności! szanowny panie Ilja, nie więcéj! ręczę wam! Ambicyi nie mam żadnej, jestem po trochę sceptyk... a dzisiejszy czas taki, że to, coby się uczynić chciało, o tém i myśleć nie można.

— Na przykład? — spytał Nizin.

— No... na przykład, pojednać Niemca z Rosyaniem i Polaka z Niemcem i wszystkich ich z sobą...

— To zawcześnie — rzekł Nizin — ja jestem doktryner, marzyciel, utopista, ale ja to widzę, że te nieprzyjaźnie ludów to jest zakwas, bez któregoby się chleb nie rozczynił... pospaliby się wszyscy... to potrzebne...

— Ale czy sprawiedliwe? — spytał generał — wszyscy ludzie bracia!

— Czort jego wie — rozśmiał się Nizin — jużciż to w republikańskim katechizmie stoi... a potem, wszakże Abel i Kaim bracią byli!

Począł się śmiać głośno. — Ej! ej! — dokończył hamując się powoli — z Polakami, jakby oni rozum mieli, możnaby się zgodzić, z Niemcami to trudno...

— A z Polakami jak?

— Niech tylko z ruskiej ziemi ustąpią...

Jenerał z kolei śmiać się zaczął.

— Cóż — spytał — chyba na tamten świat, bo

wy mówicie, że ruska ziemia po Wisłę, z drugiej strony chcą ją mieć Niemcy...

— A to Niemców w szyję i precz! — rzekł Nizin.

— Dajmy temu pokój, nie zrozumiemy się nigdy — dokończył generał — musicie chyba mieć słuszość, że ten kwas na przyszły chleb jest potrzebny... Powiedzcież mi, co myślicie, jaki on będzie?

Nizin się zamyślił.

— Kto go wie! naprzód trzeba dzieję wyczyścić, nim się chleb rozczyni... i piec wymieść... koło tego jeszcze tymczasem dużo roboty... A potem... potem! — dodał cicho — po co nam państwa? po co carstwa?... po co granice?... Rzeczpospolita sfederowanych gmin europejskich, każdy u siebie pan i kwita... Ani wojsk, ani zaborów, ani podbojów, ani niewoli... wszyscy równi...kto nie pracuje, ten nie je, własność ziemi wspólna... kapitałom nie dać rosnać...

— I tam dalej — dorzucił generał — ja to wszystko słyszałem już, despotyzm gminy w miejscu despotyzmu cara... stokroć gorszy... Człowiek, którego Chrystus wyzwolił, znowu bezmyślną cyfrą w społeczeństwie rządzoném przez kilku silniejszych trybunów... Ostatnie słowo, niewola! niewola! ciemnota i ruina.

Nizin się począł śmiać.

— I tam dalej — ja to także słyszałem — zawołał przedrzeźniając generała — a no my się tego nie boimy. Ja wam powiem jedną tylko rzecz... wy może

macie słuszość, ja może bredzę, ale prąd wieku taki, a jak się uweźmie ogół, choćy głupstwo zrobić, ludzkość musi przejść przez próbę. W powietrzu zawieje to lub owo... to tak jak cholera zaraźliwe, wszyscy się nią pochorują... dużo wymrze... fatalizm dziejowy! Źle czy dobrze, tak musi być. — My, posłuszni głosowi wieku jak wyroczeni, idziem, burzym, wywracamy, drudzy budują, inni znowu obalają... od czego świat i życie??

Na tém rozmowa skończyć się musiała, generał bowiem dłużej rozprawiać z Ilią, nie widział pożytku. Nizin po chwilce począł sam dalej nie proszony.

— No! tu to rola dobrze przygotowana — rozśmiał się — co posiejesz, wyrośnie. Nas Wielkorusów słuchają jak proroków... aby im siła, aby im zemsty nadzieja, a co potem z nimi będzie... No!... począł się śmiać, ręce zacierając. — Oni tu wszyscy z nienawiści do szlachty republikanie i demokraci... oni nas w mig rozumieją... Tylko na carski rząd nie można im nic powiedzieć, bo jeszcze cara szanują, przez to im przejść potrzeba — to darmo. Nie długa sprawa... pójdą i skosztują, dostaną oskomy...

Ot widzicie — począł po chwilce — ja tu — Samuel, tu... znaleźliby się i drudzy... każdy z nas ma z kim gadać i co robić... Z nimi nam daleko łatwiej niż z Serbami, albo z Czechami, albo z Kroatami... Tamtym w głowie, że oni osobne państwa mieć mogą,

a Ruś pokorna prosi się, żeby ją zjeść. Mówią, jak mają nas połknąć Polacy, lepiej Moskał niech zje...

— Polacy ich przecie jeść nie myślą...

— Bo zębów nie mają! — rzekł Nizin — ale jakby Rusinów kto nie zjadł, to coby im z tego przyszło? Największego figlaby im wyrządził, ktoby państwo z nich stworzył... Na nowe gospodarstwo bez zasobu, bez tradycyi, bez siły... ciężkoby im się zebrać było. Oni też czują, że sobą być nie mogą i mają, dali pan rozum.

Podał rękę generałowi. — Do zobaczenia — rzekł — jeszcze się tu pewnie nie jeden raz spotkamy...

Pod wrażeniem tych niemiłych dwóch twarzy Stanisław zadumany przygotował się na obiad do Ropczyckich... Jakkolwiek krótko był we Lwowie, mógł już dostrzedz, że na zewnątrz cale nie widoczna, chorobliwa agitacja Rusinów, podsycana z zagranicy, tajemnie podkopywała tu przyszłość — przeciwko niej nie czyniono nic, a kto wie, czy cokolwiek uczynić było można. Z dwoma zbyt przeważnemi siłami walczyć należało, z doskonałą organizacją panslawistów, trzebiącą sobie drogi złotem, i z ciemnotą gminu, na który ona działała, znajdując pole łatwe i jakby dla siebie przygotowane. Panslawizm jako narzędzie miał w sobie, co podobne mrzonki najniebezpieczniejszymi czyni, myśl na pozór wielką i świetną. Na blask tego łączywa dawały się brać ryby i same pod oszczep płynęły...

Biła naznaczona godzina, gdy generał wszedł do saloniku Ropczyckich, znalazł w nim całą rodzinę pomnożoną pięknym, słusznego wzrostu jeszcze młodym mężczyzną, który wyglądał na niemiecko-angielskiego sportsmana dobrego towarzystwa. W ojcu widać było jeszcze żołnierza 1831 r., coś polskiego miał w twarzy, ruchu, obejściu, matka była gospożą naszą wychowaną tylko przez guwernantkę francuską, hrabina jeszcze przypominała typy nasze z XVIII wieku, syn, pan Ildefons Ritter von Ropczycki... już zdawał się nie mieć krwi polskiej kropelki w żyłach. Długi czas mieszkał w Wiedniu, coś podobno wojskowej służby austriackiej próbował — a obcowaniem z kosmopolityczną elegancją sam też na ów starty jakiś ogólnik się wyrobił, który we wszystkich Jockey-Clubach europejskich mógł mieć kurs równie dobry...

Pan Ildefons znacznie chłodniej przyjął gościa do domu, zdawał się chcieć wprzód nieco wybadać, do jakiej sfery towarzyskiej należał.

W króciuteńkim surduciku, ze szkiełkiem w jednym oku, blady, zmęczony, znudzony, milczący, był raczej widzem niż członkiem towarzystwa, które generała serdecznie przyjmowało. Hrabina ułożyła tak miejsca, by mogła usiąść przy generale i czynnie ojcu i matce pomagać go bawić. Była też nadzwyczaj ożywiona, miłą i tryskającą dowcipem. Żartowała niemiłosiernie mię-

dzy innemi z brata, który się nawet nie odezwał i co-raz chmurniał.

Przez cały obiad ona odżywiała rozmowę, nie dała jój na chwilę ustać, kierowała nią, wprowadzała wszystkich, aby uczestniczyli... tylko brata kwaśnego nie mogła rozruszać. Siedział, na przemiany przyglądając się to białym, starannie utrzymanym rękom, to naprzeciw wiszącemu sztychowi angielskiemu... Agarze na pustyni, prześlicznie udrapowanój przez malarza, który nigdy matki przy chorém a głodném dziecku znać nie widział.

Pomimo braku udziału pana Ildefonsa wspomnienia kapitana, opowiadania pani Rozalii, dowcip hrabiny Kościeleckiej bardzo przyjemnie czas zajęły. Oznajmiono generałowi, że na pozajutrz proszonym jest na herbatę, na którą małe kółko dobrych znajomych wezwaném być miało. Kapitan ofiarował się téż wieść generała do wszystkich domów, któreby sobie poznać życzył... Zdało się wszakże generałowi, iż toby było zbyt cenném... Ma to w sobie czysto polskiego każda dawna prowincya nasza, iż złe czy dobre, zawsze w niej jak na dłoni... Inne kraje, inne narodowości osłaniają więć się swojemi usposobieniami, starają się kryć z tém, czém żyją; w Polsce myśl, uczucie, popęd każdy wybijają się na wierzch natychmiast. Nie potrzeba tu badać głęboko, ani sobie głowy łamać nad odgadywaniem; co polskie, jest to odkryte, co zagadkowe, pewnie napływowe i nie na-

sze. Grzeszyliśmy zawsze tém najwięcej, żeśmy jawnie spowiadali się z każdej myśli i zamiaru... i nawet gdyśmy na nieprzyjaciela uderzyć mieli, mówiliśmy mu: Strzeż się! Pilnował się téż tak dobrze, że nas z ciosem uprzedał.

Nad wieczorem znużony szczebiotaniem hrabiny, pożegnał Stanisław gościnny dom państwa Ropczyckich i puścił się pieszo do hotelu, myśląc o napisaniu listu do matki. W drodze jednak ogarnęła go tęsknota jakaś dziwna, ściskająca jak mróz serce, która nie dozwoliła pióra wziąć w rękę, bo czuł, że onoby przykry stan duszy zdradziło.

Z tego, co dotąd słyszał, widział, co przeczuwał — stan obecny Polski, którą kochał cichą miłością synowską, przedstawiał mu się w barwach tak straszliwych, iżby był przed nikim nie chciał się z tego zwątpienia spowiadać.

Wszystkie rysy rozpierchłe, które pamięć gromadziła w umyśle powoli, zebrały się nagle, jakby czarnoksiężkiego zaklęcia sile posłuszne — i stworzyły ten obraz ciemny przedednia skonu...

Pot zimny wystąpił mu na czoło... spuścił głowę i pogrążony tak powlókł się do samotnej izby, w której siadł wśród mroku a raczej upadł na łóżko — zboleły i zrozpaczony. Dla czego właśnie w tej chwili widzenie straszne opanowało umysł, nie umiał sobie wytłómaczyć — i pozbyć się go téż nie mógł. Widział tę Pol-

skę ściśniętą między dwa mury rosyjskiego despotyzmu i niemieckiej rachuby chłodnej, mającą do wyboru tylko dwie paszcze otwarte... Stała w pośrodku rozbrojona, rozdarta z dziećmi, które zamiast kupić się razem, waśniły się o drogę, pasowały o barwy, jakimi przybrać się chciały.

Wodzów nie było... krew ich wyschła do kropli ostatniej, kapłani patrzali nie w niebiosa ale gdzieś w dal zamierzchłą, tłumy wykrzykiwały różne hasła... a pola stały odłogiem i oręż rdzewiał i niszczały mienia ostatki... Gdzieniedzie pośród ciżby wrzącej grały grajki skoczego a weseli tańczyli, aby głodu i nędzy zapomnieć. Ówdzie sypali ostatkiem złota ci, którym chleba jutro miało zabraknąć. — Ładu i spoju nie było nigdzie... a dwie paszcze otwarte szeroko ziały już śmiercią jutrzejszą...

Tłum był — ludzi brakło... Wodzami chcieli być wszyscy, nikt żołnierzem; każdy miał radę inną, by ojczyznę zbawić... a dwóch nie znalazłeś zgodnych.

Jedni wołali Rzymu, drudzy Austryi, Prus trzeci, inni Moskali, Francyi starzy marzyciele, bodaj Turka ostatni... bo już w sobie samych siły nie czuli... Jeden zbawienia wyglądał od ludu, któremu zawiązanych oczów nie chciano otworzyć, drugi od modlitwy i cudu, inny od frymarków politycznych, sprzedając się za „kto da więcej?” Żadnej dłoni mocnej, coby ujęła i pchnęła — Wszyscy tam!! I przesunęła mu się przed zakrwawio-

nemi oczyma historia pięćdziesięciu lat ostatka, cały szereg strat, zawodów, upadków, niepowetowanych szkód naszych... wszystkie odpadki ziemi, ludzi, tradycji, wiary, szlachetności...

Tam szcerbił nas fanatyzm, z drugiej strony rewolucya i utopie i mistycyzmy i monomanie chorobliwe... Każdy coś urwał, wykąsił, osłabił...

Wszyscy patrzyli a nie umiał nikt podnieść głosu i zawładnąć tłumami i rzec i pchnąć — Tam! Jak w oblężonej twierdzy ściśnięta załoga, może choć w fałszywym kierunku rzucające się masy byłyby się na świat szerszy przebiły... szły kupki rozerwane i ginęły... ginęły...

Wśród tych marzeń o mrocznej godzinie wieczora widział sam siebie także obezwładnionym, związanym, nie umiejącym sobie obrać drogi życia, widział matkę, cień Maryi Pawłownej, Władka i smutną Michalinę. — Życ tak bez celu, aby się dobić do końca? czyż to życie! Iść? dokąd? Godzić? nieprzejejdane, zasypywać? przepaści? opuścić więc ręce i umrzeć? W szczęście dla siebie nie wierzył, pracy nie widział; ta, którąby był mógł podjąć, byłaby trudem Syzyfa...

Drżącą ręką szukać się zdawał rewolweru podróznego... dzikięj dogadzając fantazyi jakiejś, gdy we drzwiach zjawił się służący ze świecą i listonosz z torebką skórzaną, który mu przyniósł pismo z Krakowa...

Sądził, że ono było od matki, nastraszył się i zdziwił, widząc na kopercie rękę Michaliny...

Drugi list był od Arusbeką... Dziwniejszém zda-
wało mu się, że Michalina unikająca go widocznie po-
myślała o napisaniu do niego, uląkł się słabości matki —
rozłamał pieczętkę, pierwsze jednak wyrazy go uspo-
koily...

„Widzę, jak się pan Stanisław zdziwi, pisała, zo-
baczywszy na kopercie rękę nieznaną, odbierając list
odemnie... Ja sama nie wiem, jakiemu uczuciu jestem
posłuszną, pisząc do Niego... Kocham bardzo moję
przybraną matkę, część tego czystego przywiązania, bra-
terskie jakieś uczucie przelałam na Pana. Choćby ono
Panu było przykrém, musisz się z niém pogodzić i o-
swoić. Przez cały ciąg pobytu jego z nami, z kątka,
milcząca śledziłam was oboje, matkę i syna. W oczach
jój chwilami choć błysło szczęście i wesele, w waszych
nie widziałam nic prócz smutku. Nawet w chwilach
zapomnienia zdawaliście mi się zamknięci, skryci, opa-
sani murem niedostępnym. Mimowolnie przychodziło
mi na myśl, że tę żelazną zbroję wdziewać musicie
z obawy, aby wam uścisk przyjaznej dłoni... dawnego
może szczęścia nie przypomniał.

„Rozmówić się z wami o tém było mi doprawdy
trudno, po kobiecemu powiedziałam sobie, że gdy wy-
jedziecie, napiszę... Zdajecie się mnie obawiać, stronić
odemnie, nie słusznie. Moglibyście we mnie mieć sio-

strę tylko, a nigdy nie więcej nad siostrę przywiązaną. Ulżyłoby waszej duszy, gdyby się ona ze smutkiem w siostrzyną przelać mogła. Widzicie, jak bezwstydnie się wam narzucam; nie posądźcież mnie o egoizm; — byłabym wprawdzie zaufaniem waszém bardzo szczęśliwą, ale Bóg widzi, a Boga się darmo nie wzywa, nie o moje idzie mi szczęście, o wasze... o spokój téj dobrej matki!

„Ona ten smutek sączący się z twarzy waszój spija po kropelce, on goryczą spada na dno jój serca i tam kamienieje... Mnie się zdaje, że źle czynicie, walcząc tak sam z sobą, a nie chcąc, by dłoń przyjaźni pomogła wam w tym boju... Proszę was tylko, panie Stanisławie, zrozumiejcie mnie dobrze, jestem starą pannicą, bez pretensyi, bez wdzięku, bez uroku i znam to do siebie... Nigdy więc nie zamierzę nawet o tém — co niemożliwe..

„Dla uspokojenia waszego powiem wam jeszcze — noszę trupa na dnie serca... Ale mi zostało dla żywych a nieszczęśliwych wiele sił bezużytecznych... któreby się może na opatrywanie ran przydało...

„Kaleko biedny, weźże mnie za siostrę miłosierdzia...

„Rumieniec oblewa mi twarz, gdy to piszę... a! jestem bezrozumna i bezwstydną... lecz patrzę przez pół otwarte drzwi na posępną, twarz modlącej się w krzesła matki waszój... i mówię sobie — niech sądzi o mnie, co chce...

„Teraz drugie równie nieprzyzwoite zwierzenie. Zostawiłeś nam pan tu załogą przyjaciela, który sobie ze mnie żartuje. Mogłabym doprawdy, gdyby nie metryka, gdyby nie zwierciadło, sądzić, że mu zawróciła głowę. A przecież to być nie może. Człowiek miły, czuć w nim zdala bijące serce... ależ dziwny! dziwny! Czasem mnie bawi natrętnością swoją, czasem nudzi, niekiedy niecierpliwi. Muszę go przecież znosić, bo tę naszą matkę kocha jak syn, służy jej jak dziecko, i gdyby choć cząsteczka Moskali była taka pocziwa... a! doprawdy, przestałabym im pamiętać krzywdy nasze!

„Otóż koniec papieru i listu i mojej nieszczęsnej spowiedzi, którą bardzo spalić proszę... Czekamy pana niecierpliwie, pułkownikowa radaby, żeby się coś już kupić mogło i osiąść a począć życie nowe... Ja się panu przyznam, że choć tu czuję się w Polsce, jest to druga jakaś Polska inna, której nie znałam. Czy jest i trzecia i czwarta może? Mój Boże i czy te cztery stanowić kiedy będą jedną?

„Pułkownikowa kochana w tej chwili nie domyślając się, że ja z panem koresponduję, kazała mi sama za siebie napisać kilka słów, pozdrowić i prosić, byś pan powracał. List więc mój jest zupełnie usprawiedliwiony, kończę go, wedle obyczaju, najniższą służką...“

Czytając generał bladł, czerwieniał, uśmiechał się i zamyślał, dziwne to pismo zrobiło na nim wrażenie... Zrozumiał je i wyrzucał sobie, że zmusił biedną Micha-

linę do tak przykrego dla niej upominania się o trochę grzeczności. Miała słuszość! on był winien! Uczuł to tak mocno, iż gdyby tam była, ukląkłby przed nią, przepraszać.

List Arusbeka zwiększył jeszcze wrażenie i wzruszył go mocniej, choć pobudki uczucia doznanego! nie mógł zrozumieć. Był jakby zazdrosnym. Kłuszył ramionami łapiąc się na tój śmieszności.

Kniaź Andrzej pisał do niego.

— „Stanisławie Karłowiczu, wołam cię z za gór i rzek, powracaj, zrobiłeś mnie tu strażnikiem skarbu, który chętniebym ukradł, gdyby on się dał pochwyć! Niestety! musiałeś mi tu zostawić reputacyą najobrzydliwszego w świecie bałamuta... bo się z moich gorących afektów śmieją jak z jakiegoś dzieciństwa... w które niepodobna uwierzyć. A ja ci się przyznam, kochałem się w życiu mało razy pięćdziesiąt, miałem się topić razy sześć, truć trzy razy, zastrzelić najmniej pięć... mimo to żadne z moich widzeń miłości nie było tak silne, tak uparte, tak porywające jak to, które maie tu trzyma... To czarownica ta kobieta, bo oprócz uroku niewieściego ma straszną broń męzkiego rozumu i zawsze jest panią siebie, gdy ja dawno nad sobą postradałem władzę. Przybywaj, ratuj! przyjacielu!

„Jest jeszcze i drugi wzgląd, dla którego powracać tu musisz... a ten daleko poważniejszy, niżby się po listu mego początku spodziewać można. Wiesz, jak

mnie téż gorąco obchodzi, abyśmy tę szkaradną walkę międzynarodową zakończyć mogli jakimś porozumieniem i zgodą. Leży mi to na sercu równie jak tobie. Spotkałem dość uczciwego dziennikarza naszego z Petersburga, Michała Anastazjewa, mimowolnie mu się z tém wygadałem. Myśl zgody pochwycił gorąco... Czas jest po temu, z każdym dniem wzmaga się w siłę, łączy i zlewa plemię germańskie, lada chwilę uderzy ono albo na romańskie ludy lub na Słowian... Czuje ono i wie, że wspólna walka i na polu bitwy przelana razem krew zbrata i najściślej połączy... Jeśli teraz ominie nas to starcie, przyjdzie ono jako następstwo niechybne jutro. Dynastia nie obroni od tego Rosyi ani pokrewieństwo panujących rodzin. Czas więc wielki słowiańskim ludom porozumieć się ku obronie wzajemnej bytu.

„Walka ta ze Słowiańszczyzną jest w tradycjach odwiecznych, trwa z różnemi przerwami wieki, nie ustawała nigdy. Przybierała tylko formy różne, przymierza, pokoju, rozejmu, nawet sojuszu, ale tysiąca lat znajdujemy na odwiecznych sadybach Słowian ledwie ślady i mogiły. Na Rugii, na Pomorzu, w Meklemburgu, na Łużycach, nad Łabą, nad Sałą, wszędzie tylko ogryzione kości przodków naszych, którzy zwyciężali w boju a w pokoju marli i niknęli naciskani i pożerani przez to plemię mrówie, któremu wkrótce całej ziemi będzie za mało.

„Starcie to jakich ośmdziesięciu milionów Sło-

wian ze czterdziestą Germanów jest koniecznością dziejową, nieuniknioną. Ludzkość mogła się obejść bez niego, opierając na prawach i na poszanowaniu historycznych posiadłości narodów, lecz wszedłszy raz na drogę walk o ziemię, na siłę przed prawem, otworzyła wrota wojnom eksterminacyjnym.

„I Słowian czeka wielkie pobojuwisko, na którym się ich przyszłe losy rozstrzygną. Rozumiemy to wszyscy, rozumie i pojmuje Anastazjew tak jasno jak my. W środku pomiędzy Rosyą, która jest największą siłą słowiańską, a Niemcami leży Polska, swą cywilizacją i tradycjami więcej pochylona niż my ku Zachodowi. Acz rozdarta i osłabiona w swych losach nieszczęśliwych ma jeszcze talizman potęgi, która przeważać może w walce plemion szalę na jedną lub drugą stronę. Instynkt barbarzyński nakazuje nam ją zetrzeć w proch i zniszczyć, rezum powiada, byśmy się ją starali pozyskać... Są to słowa Anastazjewa. Jest to dziś trudniejszym niż kiedy, bo świeżo niezaschłe krwi strunnie nie rozdzieliły Polskę od Rosyi... Kto pierwszy rękę podać powinien?

„Myśmy chrześciance jeszcze i po chrześcijańsku powiemy: mocniejszy. Rola rządu musi być taką dla samej jego powagi, iż on inicjatywy przejednania podać nie może, boby się uznał winnym. Rzeczą więc ludzi dobrej woli przygotować, uczynić możliwem przejednanie, nakłonić siłą opinii rząd, aby zszedł z drogi

prześladowania i tępienia na sprawiedliwszą i czystszą. Mówię ci ciągle słowy Anastazjewa, który chce bardzo potajemnie, bez rozgłosu zarządzić w Krakowie małe zjazd polsko-rosyjski dla obmyślenia nie preliminaryów pokoju, ale możliwych warunków zawieszenia broni. Kilku Rosyan, ludzi wpływu i znaczenia znajduje się na teraz w Pradze, przybędą oni chętnie, na miejscu dobierzemy też zaufanych osób kilka. Dla czegożbyśmy po tylu nieudanych spiskach rewolucyjnych takiego spisku zgody nie mieli zawiązać?... Jeśli to do niczego nie doprowadzi (co najprawdopodobniejsze), nie będziemy sobie mieli do wyrzucenia, żeśmy głosowi sumienia nie odpowiedzieli.

„Co do mnie, kochany Stanisławie Karłowiczu... Bóg widzi, nie idzie mi o to, ażeby ojczyzna moja Rosya miała ten brzuch ogromny, wypchany szczątkami zjedzonych bez pożytku dla jój zdrowia narodów, niechby była chudsza a szczęśliwa! Ja jestem tego zdania, że małe państewko może być wielkiem szczęściem, spokojem i dobrym rządem. Człowiek niekoniecznie potrzebuje do szczęścia być obywatelem bardzo majestatycznej ojczyzny. Są to średniowieczne i odwieczne przesady... Kontentowałbym się byle bezpieczną od napaści Atlantyda...

„Otóż widzisz, jakem się szkaradnie zabalamucił po drodze — przybywaj, abyśmy spiskowali... Przyznam ci się que cela a du piquant pour moi qui suis

blasé au possible. Panna Michalina wygląda też pana w taki sposób, że zaczynam być zazdrosny... Wracaj, wszystkich Rusinów galicyjskich oddawszy na pastwę ich niemieckim protektorom... Czekam cię.

Arusbek.“

Listy oba miały ten szczęśliwy skutek, iż rozbudziły generała z odrętwienia. Myśl zjazdu uśmiechała mu się... Michalina go ciągnęła więcj tą ćwiartką papieru niż zimném dotychczasowém obejściem... gotów był natychmiast wyruszyć ze Lwowa, trochę po młodzieńczemu rzuciwszy nieukończoną tu sprawę; po chwili jednak ostygł i postanowił tylko nie zwłóczyć a po pierwszych formalnościach zapoznania z nowym światem... nazad do Krakowa wyruszyć.

Uczucie względem Michaliny wytlómaczył sobie bardzo łatwo wdzięcznością, za jój przywiązanie do matki...

Naprzód przypadał wieczór u prawnika, do którego list polecający miał generał — wieczór kawalerski, jak zapowiedziano, w owym wykwintnym salonie gustem tapicera urządzonym —, a że pora była agitacyi politycznej i przygotowań do jakichś wyborów, Lwów dość ludny, gospodarz znany i lubiony, zastał więc wchodząc nasz gość zgromadzenie liczne, ochocze i wielce ożywione. Pospieszył naprzeciw niemu prawnik uprzejmie i zapoznał go zaraz z kilku znakomitościami miejscowymi. Gdyby pan Stanisław był jednym z tych ludzi

nieszczęśliwych, skazanych na losy bocianie, do zbierania wzorków przez całe życie i karmienia się niestrawnymi mieszkańcami trzęsawisk... miałby tu strawę obfitą. Uderzyła go ogólna fizyognomia salonu niezmiernie butna, zamaszysta i wspaniała. W tych ludziach znać było za katy wnuków rzeczypospolitej różnych wojewodzie. Twarze wszystkie choć na płótno a do niektórych przystawały świeżo kreowane kontusze i żupany, jakby nigdy w niczem inném nie chodzili. Pomimo całego poszanowania i miłości dla tego uroczystego stroju polskiego tu on się wydał generałowi pretensjonalnym, wymuszonym, jaskrawym jakimś i wołującym oczy... Patrzcie się na mnie.

W kościele, na sejmie, u ślubu, do trumny... strój to, co znaczy, że Polak ze swą przeszłością nie zerwał, ale go kłaść na ulicę i dni powszednie jest może brakiem poszanowania. Tak myślał pan Stanisław, wpatrując się ciekawie w różnobarwne kupki rozprawiające żywo, wśród których oratorów sejmowych i delegacyjnych poznać było łatwo po wymowie w słowa obfitej, w gotowe zwroty i zużyte komunały. Wszyscy, nawykli do wielkich sal, w których się produkowali, krzyczeli niepomiernie.

Na nieszczęście obcy człowiek mimo najlepszych chęci ze stanowiska czysto polskiego nie mógł zrozumieć subtelnych wykrętów i odcieni mnogich polityk galicyjskich. To, co mówili stykający się tu z sobą,

mamelucy, demokraci, stańczyki, rezolucyoniści o bieżących sprawach, o zachowaniu się względem ministerjum, rządu, reichsratu, Węgrów i Czechów, trąciło tak parafianśszczyzną, iż trzeba było sparafianieć tu, by dobrze, o co chodziło, zrozumieć.

Prawnik poznał naprzód Stanisława z jednym z delegatów, który zwykł był za bardzo rozumnego uchodzić. Ten obcego wziął pod swoją opiekę, najmocniej troszcząc się o to, aby mu siebie w aureoli znaczenia osiągniętego okazać.

Na wszystkie pytania miał jedną odpowiedź przypadkową, rozmaicie — Ja, mnie, mną... On robił wszystko i odrabiał, radził ministrowi, kierował kancelarzem, redagował wszystkie dzienniki, naprowadzał na drogę właściwą Andrassego, burczał Czechów... zakładał banki, wytykał koleje... a w sejmie wszechwładnie marszałkiem trząsał i rzucał.

Wszystko to wszakże pono w gorącej wyobraźni ex-literata się odbywało, który miał oprócz tego kilka dzieł politycznych na warsztacie... do wykończenia.

Stanisław jak tylko zrozumiał człowieka, zamilkł... nie badał go więcej... Rozstali się grzecznie a delegat pewien był, że przez tego przybysza sława jego wielkości przejdzie do sąsiednich prowincyi. O to mu tylko chodziło...

Drugi, który się nastroczył, był z temperamentu

opozycjonistą... kłócił się więc, nawet gdy nie było o co, pięścią, wywijał, czerwienił i fatalnie krzyczał.

Po kilku przemówionych słowach znalazł jenerała tak zacofanym w pojęciach o Galicyi, iż rozpoczął z nim kurs formalny parlamentarnego żywota jój, usiłując dowieść, że musiała obstawać przy rezolucyi... że i że — itd.

Wysłuchawszy długiej teoryi, Zbyski odważył się napomknąć, iż jemu zdawało się, jakoby Galicya zbyt gorąco poślubiła stronę formalną, bytu państwa, do którego czasowo była wcielona, że zatém szło, jakoby wierzyła w wiekiistość ślubów przymusowych... Dodał, że mieszkańcom innych części Polski ta drobnostkowa polityka, zużywająca siły całe narodu na walki o wyrazy i mrzonki konstytucyjne, wydaje się co najmniej zbyt-kowną, a kosztującą nadto czasu i atłasu w stósunku do otrzymanych rezultatów...

Doktor poseł strasznie był tém zgorszony, otworzył usta, osłupiał! Myślał, że obudzi swemi sztukami parlamentarnemi podziwienie, odbierał odpowiedź niespodzianą, która mu się wydała prawie grubijańską.

A o czémżeby te wymowne diatryby w reichsracie się wygłaszały!!

Ochłódł nagle i skrzywiony rzucił tylko słówko znaczące, iż obcy nie był wtajemniczonym w politykę galicyjsko-austryacką... i dla tego ważności jój nie poj-mował.

Zbyski, unikając sporu, przystał na zarzut i umilkł. Jako Polak w tój polityce czuł coś chińsko-nierozumiałego a zabawiającego się w słowa więcej niż w prawdziwe dla kraju myśli.

Parę jeszcze figur przesunęło się około przybycia, usiłował z niemi zawiązać rozmowę o kraju, o gospodarstwie, o życiu na wsi, o handlu, jedném słowem o czémś z innój sfery wyczerpniętém — napróżno, każdy za statystę chcąc uchodzić, prawił o konstytucyi, patentach, Gołuchowskim, Potockich, Wodzickich, reichsracie, sejmie, wyborach, demokracji, Smolce, radzie miejskiej — tak że z tego gleju politycznego wybrnąć nie było podobna.

Młody człowiek, któremu uczynił po cichu uwagę, że tu wszystko pochłania polityka, odpowiedział mu szydersko, iż to przecie jest edukacją polityczną narodu, który był sobie nadto zardzewiał. Dodał, iż dla wychowania ludu brakło wprawdzie szkólek w mieście i na prowincyi, ale często zwoływane mityngi i na komenderówkę wybijane Żydom okna skutecznie miały je zastąpić. Był tego najmocniejszego przekonania i z gorącą wymową je popierał.

Szczęściem dla jenerała, który po kilku próbach nie śmiał już ust otworzyć, nadarzył mu się milczący staruszek, niegdy obywatel Królestwa, z którym go prawnik zapoznał. Ten z cygarem siedział sobie w kątku... Rozmowa rozpoczęta po cichu, aby inaczéj uspo-

sobionych ludzi słuchu i nerwów nie drażniła, ożywiła je wprędce, gdy uczucie i myśli zgodnymi się znalazły...

— Przyznaję się panu — rzekł po półgodzinnym wstępie generał, że tu znalazłem się zupełnie zbłąkanym i obcym... Niewiele mogę zrozumieć... a ten nadmiar polityki dziwi mnie i mięsza. Może on być koniecznością położenia... mnie się wydaje przerażającą jakby grą i pogonią za niepochwyconemi widmami — jakby rodajem łagodnego... obalamucenia.

— Przyznaj się pan, żeś chciał powiedzieć — obłąkania... dodał śmiejąc się starszek. Drogi panie — trzeba też wziąć to w rachubę, żeśmy długo nic fermentującego nie pili, więc pierwszy kieliszek swobody głowy nam zawrócił...

— Ale nie znajdujeszże pan coś przerażającego w téj obfitości słowa? bo dowiedzioném jest, że ilekroć naród rzuci się namiętnie w tę szermierkę, traci siły do czynu, staje się niedoleżnym. Przed zgonem każdego państwa, każdego kraju znajdujemy ten wicher i burzę słów potężnych w której się rozwiewa cała moc człowiekowi dana... Nic subtelniejszego nad sofizmata konających.

— Masz pan może słuszność, rzekł stary... Zbyt nie rozwielnienie słowa zwiastuje zniedołężnienie do czynu... Prawda to przerażająca... ale fenomen u nas zrodził się raczej zarazą niż własnym zepsuciem.

— Nauczyliśmy się tego krzykactwa od austriackich Niemców.

— Bodajbyśmy się téż oduczyć mogli, zawołał generał. Byćże może, aby towarzystwo z różnych żywiołów złożone, przy usposobieniach i zajęciach rozmaitych cały wieczór tylko harce polityczne wyprawiało??

— Jest to wizerunek naszego terażniejszego życia, dodał stary, zaniedbane téż wszystko — polityka na śniadanie, obiad, podwieczorek, wieczerzę... Literatura, sztuka, gospodarstwo... w zupełném zaniedbaniu... stało się to chorobą i nie może przejść bezkarnie...

Westchnęli oba...

Z wielkim kłopotem, po długim krążeniu między ludźmi generał trafił wreszcie na kilku młodszych panów, którzy mówili o koniach a w dodatku o niemieckich aktorkach. Prawie go to pocieszyło... byli to przynajmniej ludzie, gdy tamci zdawali się papierowymi trąbami... Znużony, z głową rozbitą Zbyski się wymknąć chciał niepostrzeżony, gdy go u drzwi pochwycił prawnik, wiodący pod rękę baryłkowego jegomości uśmiechniętego grzecznie. Był to hrabia N... spółnik domu bankowego Fiburger, Kapiszon et Comp., znajdującego kilka pięknych kompleksów dóbr na zbycie. Dom ten zajmował się bowiem oprócz giełdowych interesów pośredniczeniem w kupnach i sprzedaży. — Hrabia N... ofiarował się nastęrczyć sprzedaż, jak się wyrażał,

extra realną i solidną.. Między innymi majątek około Dukli, w pysznej glebie, z pałacem, parkiem, gościńcem bitym, łomem kamieni, nadzieją węgla, tartakiem, młynem i różnymi dogodnościami — za który nie żądano więcej nad 200,000 zł. a. Tabula była obciążona, kilka długów mogło pozostać przy gruncie, były dogodnemi w wypłatach i t. p. Pomimo wymowy, z jaką hrabia zalecał to nabycie, generał chłodno jakoś przyjął zachwycający wizerunek téj posiadłości — która miała tę niedogodność, iż się co rychléj trzeba było zdecydować na niewidziane, inaczéj poszłaby na subhasta... i sprzedaną być musiała z publicznego targu. Kilka innych majątków przedstawiały się równie korzystnie, ale ostatecznie okazywało się, że na tych przepysznych dobrach, obfitujących we wszystko, czego dusza mogła zapragnąć — byli ich właściciele pobankrutowali. — Nie było to zachęcającém.

Gdy Zbyski ostrożnie uczynił tę uwagę i nie śmiało wyraził życzenie, iż pragnąłby kupić dobra bez długów i interesów, hrabia naiwnie odpowiedział mu, iż podobnych w całej Galicyi nie znajdzie. Mógł dodać bezpiecznie — w całej Polsce.

— Cóż pan dobrodziej chcesz, rzekł hrabia, padamy ofiarą życia nad stan, byliśmy, jak nas pono nazwał nieboszczyk Szajnocha, królewietami... a zeszlśmy na parobków... Nim się to człowiek ze zmianą stanu oswoił, wielu rzeczy odczył a innych ponauczał —

trzeba było odpokutować... Polak zawsze mądry po szkole. Izie.

Przydłuższa rozmowa tak się jakoś obróciła, iż gospodarz domu do niej się wniósł, ktoś hrabiego odciągnął i prawnik miał czas tylko przestrzedz jenerała, ażeby bez niego w żadne umowy nie wchodził.

— Nikt lepiej nie nastęczy panu dóbr nad pana hrabiego, dodał — on zna stósunki, wie, co jest lub być może do zbycia — jednakże w interesie należy się pilnować.. i — nie spieszyć — a formalności prawnych nigdy nie pomijać...

Z tą przestrogą dawszy dobranoc wysunął się Zbyski, spragniony spoczynku.

Dnia tego, gdy na wieczór zapowiedziana była herbata u Ropczyckich, stary pan kapitan po młodemu ubrany przyjechał do hotelu przypomnieć jenerałowi, iż na niego czekano. Poprzedzającego dnia jeszcze młody Ritter von Ropczycki kartę mu wizytową wyrzucił...

Po wieczorze u prawnika ochota znacznie odpadła Zbyskiemu od badania tajemnic Galicyi. Widział w niej polskiego wiele, ale do tego białego maku naszego, szarego téż przymieszało się sporo w małżeństwie z austriackim społeczeństwem. Nawykać się

trzeba było i uczyć atmosfery, obyczaju, pojęć... obejścia z ludźmi i żywota austro-polskiego.

Powiedział sobie po cichu jak prawnik niedawno, iż się nie należy spieszyć. Ułożył już wcześniej plan wyjazdu po wieczorze u państwa Ropczyckich pod pozorem potrzeby powrotu do matki, z nadzieją przyjechania na czas dłuższy. Oznajmił to zaraz kapitanowi, iż boleje bardzo nad koniecznością, tak rychłego opuszczenia Lwowa.

Zacny kapitan w istocie się tém zasmucił: syn przyjaciela był dlań prawie krewnym, znał nieco jego życia dzieje, osnuł więc sobie pewne plany ku przyszłemu szczęściu i wybornemu osiedleniu w Galicyi. Przykro mu było dowiedzieć się, że ma tak nagle wyjechać — Ale przynajmniej nagły ten wyjazd ma foi, spytał, nie został spowodowany żadném rozczarowaniem u nas?!

— Nie, wczoraj odebrałem listy od matki i o matce, należy mi jechać koniecznie. Mam nadzieję powrócić rychło...

— O! bo myśmy tu dla asindzieja już sobie snuli złote plany różne, z życzliwego pochodzące serca!... myślałem, że zapoznamy go tu w szerszych kołach, w znaczniejszych domach naszych, że cię zmusimy nas pokochać i zrozumieć!

To mówiąc uściskał go kapitan.

— Bo to, widzisz, ma foi, rzekł, nie trzeba się

nigdy zrażać do kraju pierwszym wrażeniem odebraném... jest ono częstokroć fałszywe, zawsze za ostre i rażące. Mimo to u nas w Galilei żyć można, ludzi pocziwych pełno — i z Polski całej to jeszcze jedyny kąt, gdzie nieco swobodniej.

— Tak — uśmiechnął się generał, w Królestwie trzeba się borykać z Moskałem, w Poznańskim z napływowymi Niemcami w najgorszym gatunku i żydami, w Galicyi tylko z Rusinami, Austryakami, Czechami i... czy jeszcze jest co więcej??

— E! e! ruszył ramionami kapitan. Znasz waćpan rusińskie przysłowie: Sławny buben za horami. Tak i z tym naszym bojem... Więcej huku niż strachu. W dodatku, gdybyśmy cokolwiek siły mieli, to, co na nas szczuje, przyłgnęłoby do nas...

— A siły téż nie widać coś, panie kapitanie, szepnął generał — słów tylko siła.

— Powoli, powoli, ma foi, nie razem Kraków zbudowany. Fermentuje u nas dla tego, że się piwo warzy.

— A! jak się uwarzy! rozśmiał się Zbyski.

— Może być wcale nie złe! zamknął kapitan. Sapienți sat! Tylko niech się wyburzy, ustoi, niech szumowiny zejda, męty opadną, wyklaruje się... zobaczycie!!

Z tém się pożegnali.

Dzień cały spędził generał na czytaniu gazet miej-

scowych, z których chciał bliżej poznać Galicyą, ale tu wpadł znowu w zamęt taki jak na rozmowie u prawnika..

Trzeba było do nich osobnego słownika, pisały bowiem językiem parlamentarnym galicyjskim, którego bez nauki intuicyą nabyć trudno. Drapieżne ich występowania przeciwko sobie posunięte były do takich wyrażen i malowały zawziętość tak wielką, że sądząc z niej o kraju można się było spodziewać wojny domowój...

Uderzyła go rzecz tylko jedna, symptom szczególny, zgoda najniezgodniejszych organów w jednym punkcie — nienawiści dla Rosyi. Obfitowały we wspomnienia katuszy sybirskich, w relacye sądów wojennych, popełnianych okrucieństw i prócz znieawidzonego Słowa, które sławało w obronie cara przeciwko zbuntowanym Laszkom, nigdzie się nawet łagodniejszym tonem nikt w tym przedmiocie odezwać nie śmiał. Malowało to do pewnego stopnia usposobienie kraju całego. Wszystko, co żyło, protestowało przeciwko uciskowi Polski.

Dosyć późnym wieczorem generał od dawna zarzucone wdział białe rękawiczki i mimowolnie przyszły mu na myśl stare dzieje, inne wieczory, inne czasy... inni ludzie. Z chmurą tych wspomnień na czole przybył do domu państwa Ropczyckich, gdzie nader obfite oświecenie zapowiadało przyjęcie mnogich gości. W salonie już znalazł generał oprócz kilku pań obcych świeżo

i pięknie wystrojoną z wielkim smakiem hrabinę, która się nim natychmiast zaopiekowała z grzeczną natarczywością.

— Siadaj pan koło mnie — rzekła — ja panu wszystkie nasze piękności pokażę a w potrzebie nawet o każdej dostarczę szczegółów biograficznych... Odemnie się pan nie wyzwolisz, jako córka gospodyni mam pierwsze prawo do gościa.

Uśmiezek bardzo wdzięczny towarzyszył tym wyrazom... a że strój był wieczorny, odkryte śliczne rączki, piękny biust marmurowej białości, udatna szyjka popisywały się bezkarnie... Oczki ciemne, przymrużone zdawały się pytać go ciągle — Coś ty za jeden! coś ty za jeden, tajemniczy gościu, milczący, chłodny, zamknięty? dla czego należnego mi hołdu nie składasz? czemu wystygły jesteś i życia ni szczęścia nie chciwy?... Coś ty za jeden... człowieku?

Na te oczów pytania Stanisław szklanym wzrokiem rozbitka zdawał się odpowiadać — Wyżyty jestem, zastygły... iskry młodziej nie ma we mnie... miłość moja zstąpiła do grobu... żyję tylko, bo żyć muszę...

Na to oczki zmrużone figlarnie odpowiadały — My cię wskresimy z martwych...

Tymczasem usta próbowały pomagać oczom, choć nie unisono; oczy były czułe, usta szyderskie. Umiała być razem dwoma... smutną, niby, a trzpiotowatą

z musu i nałogu, jakby ręczyła, że czułość kryje się umyślnie, by całą oddała jednemu...

— Widzi pan tę śliczną... powiesz pan pewnie... panienkę — tę, tę z pąsową kamelią w czarnych włosach... jest to młodziuchna przecie mężatka... Osoba zajmująca... Luby jój zginął na wojnie... Kazali nie lubego zaślubić... poszła posłuszna do ołtarza... ale żałoba na ślicznej twarzy... wszak ją wyczyta każdy... Chodzi po świecie upiorem...

— Tegobym do prawdy nie domyślił się — rzekł generał.

Hrabina zwróciła oczy pilne na piękną brunetkę.

— Pan mnie przerażasz trafnością swych postrzeżeń! Wszak dziś żałoba znikła... Musiało się coś stać... cóż się stało?

— Pokochała męża zapewne! — szepnął Zbyski. Hrabina parsknęła śmiechem. — Widzi pan tego ospowatego jegomości pod oknem, zakochajże się w nim przy najlepszwich chęciach! Przypomina, nie wiem, dla czego kaszę jaglaną... pfe!

Odwróciła się.

— Czekał pan! — zawołała — ta majestatyczna piękność musi się mu podobać.. *Avouez, qu'elle est magnifique...*

Zatuliła chustką usta hrabina, bo jój najnieszczęśliwiej przyszło na myśl pospolite dopełnienie tego frazesu, które było okropnym sarkazmem (*et pas chère*).

Wskazana pani nie była pierwszej młodości, ale jeszcze nadzwyczaj piękna, dumna, wspaniała i wielkiego tonu... Przyjmowano ją wszędzie, chociaż na ucho mówiono takie rzeczy! takie rzeczy!

Hrabina coś poufnie poszeptała generałowi, żywo gestykulując... ale w tej chwili przerwał jej wykład tajemnic Lwowa wchód tryumfalny aż trzech osób niesłychanie postrojonych... pani, pana i panieneczki... Pani była oryginalnie brzydką, czego paryski strój nie mógł pokryć, panienka miernie urodziwą, pan bardzo piękny mężczyzna, o wiele od żony młodszy...

— Boję się, żebyś mnie pan nie wziął za plotkarke, mówiła hrabina, a tak język świerzbi... Ten pan nie miał nic, ta pani miała dwa miliony... i pokochała go, rodzice nie pozwalali, narzeczony wykradł i na tém byłby koniec dramatu, gdyby został wiernym swój dobrodziejce... Wystaw sobie pan, że to największy w świecie bałamut... *Il se croit irresistible... et je crois qu'il l'est — pour les femmes de chambre...* dodała cicho...

W ten sposób przed złośliwym języczkiem pięknej hrabiny defilowały panie, a każda z nich otrzymywała ciekawy komentarz...

Można się było z tego przekonać, iż kronika skandaliczna nadpełtwiańskiego grodu Lwowa nader była obfitą w ciekawe zdarzenia... i o tém także, iż tu serca kobiet nie wyrzekły się jeszcze marzeń miłości i upo-

dobania w dramatach domowych, na przemiany osłabających i zatruwających życie.

Mnóstwo było pięknych twarzy, lecz czy hrabina uroki z nich zdejmować chciała umyślnie, czy w istocie do każdej przylgnęło w życiu coś... co ten urok zaćmiło... żadna nie uczyniła wrażenia na panu jenerale. Dowcip hrabiny małe także wywarł, o ile z chłodnej postawy domyślać się było można.. Drażniła ona do hołdów nawykłą piękną panią.

— Powiedz mi pan — odezwała się nagle, wlepiając weń oczy i uśmiechając się nieco szydersko... gdzie pan i w czém zaczerpnąłeś tę zimną krew, tę ostygłą obojętność na wszystko, co go otacza? Żebyś też choć ciekawiej spojrzął na którą z tych pań...

Jenerał odpowiedział także smutnym uśmiechem.

— Długaby to była historia, gdybym ją chciał pani opowiadać, rzekł cicho — mozem się urodzić z krwią rybią, może w mrozach i lodach nad Nową wyziąblem do ostatka, może chłodny po wierzchu iskierkę niedogasłą chowam głęboko pod popiołami... ja nie wiem.

— A jabym bardzo wiedzieć chciała! zaśmiała się hrabina.

— Któż pani broni zgadywać!

— Tak, ale nie ma dla kobiety nic nieprzyjemniejszego nad to, gdy się omyli...

W chwili, gdy nowe może przedstawienie wchodzi-

cych właśnie do salonu pań miało nastąpić, z ulicy dał się słyszeć gwar jakiś niezwykajny. A była to jedna z tych spokojnych, małych, poczciwych uliczek, na której nawet hałaśliwego szynku brakło... Gwar złożony widocznie z owego złowrogiego szumu ciżby ulicznej, z którego jak wystrzały wylatywały kiedy niekiedy okrzyki... Zbliżał się coraz... Wszyscy pozrywali się z krzeseł, mężczyźni pobiegli do okien, niektórzy na ganek i do ogródka. Jenerał w przekonaniu, że się pali, chciał biedz ratować... nie mógł się dopytać, co to się stało... Panie trochę przestraszone szeptały, mężczyźni ramionami ruszali, kapitan był gniewny i czerwony.

— Cóż to takiego jest? zapytał jenerał.

— Co to jest! a to głupstwo, z pozwoleniem, nasze... zawrzał Ropczycki, ktoś nawołał lud dla zrobienia manifestacyi przeciwko izraelitom, mamelukom, może redakcyi jakiejś... lub... a kto ich tam wie! Tłumy więc pomnażające się szumowinami ulicznymi, pod wodzą kilku antreprenierów kocich muzyk i bicia szyb. . biegną gdzieś na wskazane miejsce, dopóki c. k. policya, która nie lubi się w te interesa wdawać, nie zjawi się nareszcie i nie popróbuje brać do kozy... co ję się nie uda.

— Za prawdę ciekawy widok, rzekł jenerał, i gdyby go zdala można oglądać...

— Dla mnie on nie ciekawy, westchnął kapitan,

boleśnie mi przypomina ową noc w Warszawie, która była jakby przepowiednią upadku rewolucyi naszéj. Biada temu narodowi, który śmie niewinności poczciwego ludu, jego nieoświecenia, jego łatwych młodzieńczych namiętności nadużywać na podobne demonstracye... który psuje ludzi, aby swe mrzonki wcielił!! Biada i stokroć biada!

Kapitan zamilkł.

— Częstoż się podobnego rodzaju zabawki powtarzają we Lwowie? spytał generał.

— Dosyć — odparł Ropczycki, każde wybory, sejm, głośniejszy polityczny krok zwykle takimi się manifestacyami poczyna lub kończy...

Wrzawa w ulicy nie ustawała, tłum, dążąc gdzieś do pewnych okien przeznaczonych na zagładę, przeciągał właśnie spokojną uliczką, a że mu się jasno oświecone okna dworu pp. Ropczyckich nie podobały, kilka epizodycznych kamyków padło w krzaki blizkie, szczęściem szyb nie dosięgnąwszy.

— Mości dobrodzieju — rzekł szlachcic jakiś zamaszysty, biorąc się w boki i stając przeciw okna — mości dobrodzieju! — to nie złęgo! Mówił mi młody... a on to się na tém zna, że to edukcyja polityczna narodu. No! jeżeli się ma, panie wyedukować, trudno mu kilku szyb żydowskich skąpić... Che! che! che! dali pan zabawne!

— Ale jutro, panie marszałku, rzekł kapitan, ktoś tę edukacją poprowadzi na wasze szyby...

— O! wara! zawołał marszałek, to znowu co innego, katolickiego szkła tłuc nie wolno!

— Jaby'm żadnego nie pozwolił — gniewnie obruszył się Ropczycki — co u kaduka! Tłuczenie okien klasa pierwsza, znieważanie ludzi klasa druga, a na maturę dorabiając, gotowi kogo na latarni powiesić! To już będzie wychowanie dokończone...

— Nie, panie kapitanie — przerwał generał, kończy się ono dopiero, gdy lud nauczycieli swych wywiesza...

Rozśmiali się wszyscy... Gwar trwał jeszcze w dali i wzmagał się, to ucichał chwilami. Towarzystwo całe pod wrażeniem téj burzy ludzkiej stało milczące i zamysłone... jakby Anioł śmierci przeleciał nad jego głowami.

Jenerał powiedział sobie w duchu — że potrzebujący pracy i wypoczynku z trudnością pono wybraćby mógł sobie kraj, gdzie na wsiach żyje wspomnienie rzezi a po miastach swobody pierwszy użytek stał się swawolą.

Niepostrzeżenie do zamysłonego zbliżył się hrabia N. N., spółnik domu bankowego Fiburger, Kapiszon & Comp., i powitał go jak stary znajomy i przyjaciel.

— Namysliłem się, rzekł mu po cichu, mam coś

dla pana dobrodzieja takiego, że na całą naszą Galicyą drugiego nie znaleźć. Ziemia wyborna, rzeka prawie spławna, dwór pański, park prześliczny i majątek tani.

— A właściciel? spytał generał.

— Dojada w Wiedniu ojcowizny! westchnął hrabia, te nieszczęsne tancerki go zgubiły! Gdyby był się kontentował mniej kosztownemi pięknościami, ale miał pasyą do tancerek i to do najdroższych. — Stanisław milczał.

— Przyznam się panu, żem stracił ochotę do osiedlania się w kraju za mało mi znanym, gdzie się wszystkiego, począwszy od ludu, uczyćbym musiał, sąsiadów, proboszcza, urzędników, prawa i języka...

Hrabia ruszył ramionami jakoś niedowierzająco i dodał, jakby wymówce nie wierzył:

— Nie kupisz pan, to nabędzie jeden z naszych nowo sztyftujących się magnatów, którzy politykę, finanse, spekulacye i popularność zarazem uprawiają... Ja — dodał — nie chwając się, pochodzę z jednéj z tych starych rodzin, których szlachectwu nie zarzucić nie można. Moi przodkowie mieli klucze i dobra... ale ci panowie!! Ja też musiałem ugiąć się pod jarzmo wieku i wleść między bankierów i grzebać się w papierach i wekslach... ale ja! trzymam się tylko, żeby nie paść.. Ci zaś, o których mówię, z ekonomczaków i rzeźników powychodzili na austryackich grafów i tego

się biorą i familie swoje postawią lada dzień w izbie panów! Nie można ich ignorować, bo są potęgą...

Obrócił się hrabia, popatrzał w koło, zamilkł.

— Nie kupisz pan, nabędzie A. B. lub C. a szkoda... wołałbym, żeby to przeszło do kogo innego, nie do tych dorobkowiczów, których cierpieć nie mogę... Żaden z nich nie wywiedzie się panu ze trzech pokoleń ..

— To do pewnego stopnia zasługa... aus eigener Kraft... dobyć się z tłumu... rzekł generał.

— A żebyż to była siła... ale to...

Wtém przerwano im rozmowę, bo jedna z pań szła do fortepianu i miała coś zaśpiewać, a hrabina skorzstała z ruchu w salonie, by się zbliżyć znowu do gościa — i porwać go w swe szponki różowe.

— Pan mi uciekasz — zawołała śmiejąc się... ale nie mogę pozwolić, ażeby przebrzydły ten hrabia — bankier go eksploatował... Nadtobyś o nas miał złe wyobrażenie... A potém dodała ciekawie się weń wpatrując:

— Nie prawda? nasza emeut'a miała wiele charakteru! To bardzo malownicze i ładne ten lud zburzony, ryczący... roznamiętniony... srogi... ten szum, te śmiechy... okrzyki.

— Tak — w poemacie — dodał generał.

— A w życiu? nie trzebaż trochę poezji wśród prozy jego?

— Poezyi zapewne, lirycznój, sielankowój, uczuciowój.. ale tak dramatycznój... wątpię. Jest to przyprawa zbyt pieprzna, którój tylko zużyte podniebienia pragnąć mogą.

— A! jestem zginiona! rozśmiała się hrabina — więc ja mam zużyte podniebienie?

— O! przepraszam, nie, pani hrabina masz może tylko rozpieszczoną fantazyą, która leci za nieznaném, goni za nowém... ale jutro po wybiciu szyb u pani... wydałoby się jój to — okropném.

— Może i prawda! westchnęła, poprawiając włosy piękność — tak! ta nieszczęsna fantazyą... la folle du logis, nigdy jój obuzdać niepodobna...

Spojrzeli na siebie... posmutniała.

— Czy pan tak straszny jesteś realista w życiu... że nawet fantazyą potępiasz? Czémś przecie bawić się trzeba, gdy nie ma czém żyć?

— A! pani, ja nic nie potępiam... choć nad wielą rzeczami boleję — zakończył generał.

Na tém skończyła się rozmowa... Generał obejrzał się, był samiuteńki jeden w salonie wśród osierconych kobiet. Cygaro i polityka wymiotły wszystkich do dalszych pokojów. Żeńskie towarzystwo dosyć smutne garniowało do koła ściany, rozmawiając między sobą... Dwóch czy trzech młodzieńców zjawiało się czasem w ramie drzwi, by spojrzeć na białe tych pań

popiersia ; ale urok hawańskiego dymu odciągał ich napowrót w głąb domu. Zakręciwszy się dosyć zręcznie po salonie i widząc, że jest sam jeden tutaj, Zbyski rad nie rad musiał się w towarzystwie młodego Ropczyckiego, który po niego przyszedł, wynieść do whista i męzkiego grona, zajętego już jak najzapalczywiej tém, ile kandydat demokratyczny może mieć głosów przy ponowionym wyborze.

~~~~~

W parę dni potém siedział już Zbyski w wagonie wiozącym go nazad do Krakowa. I znowu na przeciwnym jego krańcu wsunięta w głąb z zawiązaną twarzą, towarzyszyła mu jakaś postać milcząca, na którą w początkach wcale nie zważał. Uderzyło go później to, że nieznajomy tulił się bardzo skrętnie do okna i kierował twarzą tak, aby jój ku generałowi nie zwracać. Był widocznie niespokojny, kręcił się, wyglądał, poprawiał, nasuwał czapkę jakby chciał spać, to znowu zrywał się, niby wyczekując stacyi, na którejby się pociąg zatrzymał. Wszystko to razem było jakies dziwaczne, niezwykle, prawie podejrzane, bo zdradzało śmiertelny niepokój... Nareszcie zaświstała lokomotywa, pociąg stanął, nieznajomy co prędzej okno spuścił i począł, ale na migi, nie puszcżając głosu, przywoływać w pomoc konduktora, który nadszedł z wielką flegmą i złym humorem. Nieznany podróżny spuściwszy głowę, począł

z nim niezmiernie żywą, natarczywą rozmowę... Ale znać trafił na złe usposobienie, bo się odpowiedzi, jakiej życzył, nie doprosił. Dobył nawet z konwulsyjnym pospiechem papierek austriacki i począł nim trząść, jakby zań miał świat kupić, ale i to nie pomogło. Konduktor pogniewał się, połajał go w głos i odszedł. Naprózne były nawoływania powtórne... nikt nie przyszedł, lokomotywa zaświsnęła... pociąg ruszył a podróżny pozostać musiał, mruczając i zżymając się w swoim kącie. Obwiązał tylko mocniej twarz, nasunął czapkę, cały wpił się w kąt wagonu i tak nieruchomy pozostał. Jenerał z pewnym podziwieniem patrzył na to wszystko, dobrze zrozumieć nie mogąc, co się święciło. Widząc, że współtowarzysz był zapewne cierpiącym, nie odezwał się nawet do niego.

Na następnej stacyi było kilka minut odpoczynku; nieznajomy gwałtownie począł domagać się otwarcia drzwiczek, porwał swoją torbę i wyleciał jak z procy. W pospiechu tym rozwinął się szal, otworzył płaszcz, odsłoniła twarz i jenerał z największym podziwieniem poznał w przełęczonym, nie bez przyczyny, podróżnym starego prześladowcę swojego, Arsena Prokopowicza. Mimowolnie posunął się do drzwiczek, aby zobaczyć, co się z nim stanie, i przekonać, czy go nie myliły oczy... W chwili, gdy doszedł do okna, Arsen przesadzał co prędzej przez szyny, aby się dostać na dworzec, potknął się parę razy, doszedł ganku i w pierwsze drzwi, jakie

znalazł przed sobą, rzucił się z widoczną trwogą... Stanisław uśmiechnął się szydersko... — Jeszcze więc — rzekł w duchu — trzeba się nam było raz spotkać w życiu? — Ale co ten człowiek tu robił? gdzie był? — pozostało zagadką.

KONIEC TOMU PIERWSZEGO (III).

Niektóre dzieła z nakładu **Ludwika  
Lerzbacha** w Poznaniu:

- Bolesławita, B. Para czerwona. Obrazek współczesny narysowany z natury. 2 tomy. 1865. 3 tal.
- Moskal. Obrazek współczesny. 1865. 1 tal. 15 sgr.
- Na Wschodzie. Obrazek współczesny narysowany z natury. 1865. 1 tal. 10 sgr.
- Zagadki. Obrazy współczesne. Część pierwsza. 2 tomy. 1870. 3 tal. Część druga. 2 tomy. 1871. 3 tal.
- Barczyński, Stefan. Pisma. Wydanie drugie pomnożone przez Stanisława Hr. Skórczewskiego z portretem i życiorysem autora. Wyd. ozd. 8 maja 1860. 3 tal.
- Bastrow, Dr. M. Kazania miane podczas ostatnich wypadków w Warszawie r. 1861. 1862. 1 tal.
- Brasiński, Zygmunt. Poezye pośmiertne, wydanie z niedrukowanego rękopismu przez Mieczysława Dzikowskiego. 1866. 15 sgr.
- Braszewski J. I. Ciepła wdówka. Komedya w 3 aktach wierszem. 1866. 22½ sgr.
- Wilkońska, P. Fata Morgana. Powieść. 1859. 2 tomy: 2½ tal.
- Dziedziczka Jodłowca. Powieść. 2 tomy. 1867. 2 tal.

Vilkońska P. Irena. Powieść. 2 tomy. 1856.  
2 tal.

— Kazimira. Powieść. — W roku 1863. Za-  
rys dopełniający powieść „Fata Morgana.“  
2 tomy 1869. 2 tal.

— Na pograniczu. Zarys piórem nak. słony.  
Opowiadanie z przeszłości. 1864. 1 tal.

— Pani podkomorzyna. Powieść. 1857. 1¼ tal.

— Obrazek poznański. Piórem naszkicowany.  
1857. 1½ tal.

— Skalińce. Opowiadanie z przeszłości. 1861.  
3 tomy. 3½ tal.

— Snopek literacki. Dzieło zbiorowe. 1857.  
2½ tal.

— Pan Wojski. 1858. 1½ tal.

Wilkoński, August. Ramoty i Ramotki. Wy-  
danie nowe, z portretem i życiorysem autora  
przez K. Wł. Wojcickiego. 5 tomów. 1862.  
5 tal.

Zacharjasiewicz, Jan, Czerwona czapka. Z no-  
tatek Ces. Kr. radzcy. 1869. 1 tal.

Żychliński Ludwik. Machiawell, jego życie  
i pewne wybitne strony zawarte w jego dwóch  
głównych pismach historyczno-politycznych.  
Rozprawa czytana w Towarzystwie poznańskim  
Przyjaciół Nauk na dniu 4 maja 1861. 10 sgr.

INSTYTUT  
BADAŃ LITERACKICH PAN  
BIBLIOTEKA

00-330 Warszawa, ul. Nowy Świat 71  
<http://rcin.org.pl>  
Tel. 26-68-63



K  
1186/ii

Niektóre dzieła z nakładem  
LUDWIKA MERZBACHA  
W POZNANIU.

- Andersena Improwizator**, przekładu Hieronima Feldmannowskiego. 2 tomy. 2 tal. 15 sgr.  
— **Obrazki**, przez H. F. 10 sgr.
- Bolesławita B.** Para czerwona. Obrazek współczesny narysowany z natury. 2 tomy. 3 tal.  
— **Moskal.** Obrazek współczesny. 1 tal. 15 sgr.  
— **Na Wschodzie.** Obrazek współczesny narysowany z natury. 1 tal. 10 sgr.  
— **Zagadki**, Obrazy współczesne. Część pierwsza. 2 tomy. 3 tal.  
Część druga. 2 tomy. 3 tal.
- Feuillet, Julia Trécoeur.** Nowella tłum. z francuskiego. 12 sgr.
- Garczyński Stefan.** Pisma. Wydanie drugie pomnożone przez Stanisława Hr. Skórczewskiego z portretem i życiorysem autora. Wyd. ozd. 8 maj. 3 tal.
- Kraśiński Zygmunt.** Poezye pośmiertne wydane z niedrukowanego rękopismu przez Mieczysława Dzikońskiego. 15 sgr.
- Kraszewski J. I.** Ciepła wdówka. Komedia w 3 aktach wierszem. 22½ sgr.  
— **Sfinx**, Powieść, 2 tomy. 2 tal.  
— **Wieczory drezdeńskie.** 1½ tal.
- Sabowski, W.**, Dwie. Komedia opowiedziana. 22½ sgr.
- Wilkońska, P.** Fata Morgana. Powieść. 2 tomy. 2½ tal.  
— **Irena.** Powieść. 2 tomy. 2 tal.  
— **Kazimira.** Powieść. 2 tomy. 2 tal.  
— **Na pograniczu.** Zarys piórem nakreślony. Opowiadanie z przeszłości. 1 tal.  
— **Pani podkomorzyna.** Powieść. 1¼ tal.  
— **Obrazek poznański.** Piórem naszkicowała. 1½ tal.  
— **Skalińce.** Opowiadanie z przeszłości. 3 tomy 3½ tal.  
— **Snopek literacki.** Dzieło zbiorowe. 2½ tal.  
— **Pan Wojski.** 1¼ tal.
- Zacharjasiewicz, Jan.** Chleb bez soli. Powieść z czasów rzeczypospolitej polskiej. 1 tal.  
— **Czerwona Czapka.** Z notatek ces. kr. radzcy. 1 tal.





12, 27, 50, 54

31,

16



K

1186

ca 2 t. 1